bezwierszówki

SDP
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY nr 4-5 (130-131) kwiecień-maj 2016 ISSN 1732-7237

CZYTELNIA
10-026 Olsztyn
ul. Stare Miasto 33
tel. 89 535 97 81

Papieskie Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie pomaga prześladowanym Chrześcijanom w Syrii oraz wszystkim, którzy cierpią z powodu wojny.

MOŻESZ POMÓC I TY!

Projekty realizowane w diecezji Tartous w Syrii:

KOSZYKI Z ŻYWNOŚCIĄ dla 492 rodzin
1 koszyk -> **25,00 USD**

PRODUKTY HIGIENICZNE dla 492 rodzin
1 rodzina -> **20,00 USD**

OGRZEWANIE W DOMACH dla 600 rodzin
1 rodzina -> **90,00 USD**

DOFINANSOWANIE WYNAJMU MIESZKANIA dla 100 rodzin
1 rodzina -> **75,00 USD**

PKO BP o/ Warszawa
87 1020 1068 0000 1402 0096 8990

Pomoc Kościołowi w Potrzebie
ul. Wiertnicza 142, 02-952 Warszawa
tel. +48 22 845 17 09

DZIĘKUJEMY

Wykładnia polskości

Tak, jak w roku 1938, tak i dziś 78. rocznica I Kongresu Polaków w Niemczech i ogłoszenia na nim „Pięciu Prawd Polaków" przypomina nam postać legendarnego polskiego kapłana i głównego filaru tamtych wydarzeń – ks. dr. Bolesława Domańskiego, który w płomiennej mowie przypomniał wówczas to, czego świadectwo dawał w swej działalności na co dzień, że „Polskość to dar z nieba, od Boga mi dany" i to, że „żaden król nie jest dość bogaty, by mi moje przekonanie odkupił – przekonanie narodowe".

Po tym przemówieniu ogłoszono i uchwalono „Pięć Prawd Polaków".

Przypomniały one elementarną wykładnię polskości, iż ponieważ „Jesteśmy Polakami" to „Wiara Ojców naszych jest Wiarą naszych dzieci!", to z tej narodowej wspólnoty zakorzenionej w wierze „Polak Polakowi jest bratem!" i na „Co dzień Polak narodowi służy!". Dlatego oczywistym jest, iż – jak mówi ostatnie z przykazań – „Polska Matką naszą i nie wolno mówić o matce źle!".

Jakże proste i oczywiste to słowa. Jakże trudne w godzinie próby. Jakże wymagające na co dzień.

Takie też one były dla mojego Ojca gen. Władysława Andersa, który w półtora roku po ogłoszeniu „Pięciu Prawd Polaków" stanął w obronie Matki – Polski. Kierując się prawdą, iż „Polak Polakowi jest bratem" wyprowadził z sowieckiej niewoli ponad 120 tys. Polaków. Kierując się prawdą, iż na „co dzień Polak narodowi służy" formował Polskie Siły Zbrojne, które walczyły za Polskę i jej dobre imię, bo „Polska jest Matką naszą i nie wolno o Matce mówić źle". Wreszcie kierując się głębokim przekonaniem, iż „Wiara Ojców naszych jest Wiarą naszych dzieci", już w pierwszych rozmowach ze stroną sowiecką przy tworzeniu Armii Polskiej powiedział: „Pragniemy, aby w naszych oddziałach byli kapelani, gdyż ma to dla nas bardzo ważne znaczenie". W tym duchu zawsze dbał nie tylko o podległych sobie żołnierzy, ale również o polską ludność cywilną, w tym osierocone dzieci, które wyciągano z sowieckich sierocińców i tworzono im warunki do wychowania i kształcenia się w duchu polskości i „Pięciu Prawd Polaków".

Dziś jest to dla nas aktualne wyzwanie również wobec Polaków wciąż pozostających poza Polską – zwłaszcza tych na Wschodzie. Dlatego obecnie w imieniu rządu Pani Premier Beaty Szydło zgłaszam nową ustawę repatriacyjną, dzięki której pragnę kontynuować dzieło mojego Ojca gen. Władysława Andersa, doprowadzając do końca sprawę powrotu do Ojczyzny Polaków pozostałych na Wschodzie.

Wierzę, że w tym zakresie będzie to wypełnienie zobowiązania jakimi są dla nas Prawdy Polaków spod Znaku Rodła.

ANNA MARIA ANDERS

Od naczelnego

Chrzest Polski – 966

Według zachowanych źródeł, najbliższy wydarzeniu sprzed ponad tysiąca lat jest biskup Thietmar (pocz. XI w.), który w swojej *Kronice* chwali księcia za roztropność decyzji o przyjęciu chrześcijaństwa (zob. s. 8-9). Potem pojawia się między innymi Gall Anonim (ok. 1113 r.), piszący o duchowym wymiarze tego wydarzenia. Jeszcze później, w XV wieku, chrzest Polski opisuje – z jakże literacką fantazją – Jan Długosz.

O samej dacie chrztu mamy dość późne przekazy: *Rocznik dawny* (XII w.) i *Rocznik kapitulny krakowski* (ok. 1266 r.), który podaje: „DCCCCLXVI *Mesco dux Polonie baptizatur*" (966 Mieszko książę Polski został ochrzczony). Wszystkie inne źródła czerpią z tych dwóch roczników lub ewentualnie korzystają z ich praźródła. Historycy doszli do przekonania, iż ów „prarocznik" mógł pochodzić z Moguncji i że dotarł do Krakowa w latach 70. X stulecia.

Zatem, tylko tak lakoniczne informacje posiadamy o najbardziej przełomowym momencie w dziejach Polski, który diametralnie zmienił sposób życia mieszkańców i przed państwem Polan otworzył zupełnie nowe i nieznane wcześniej możliwości. „Chrzest – jak czytamy w liście z okazji 1050-lecia – wprowadził nasz naród w nowy świat, który wyrażał się przez nową kulturę, nowe instytucje, struktury i zapisy prawne. Doświadczenie wiary przełożyło się na postawy moralne, widoczne także w życiu gospodarczym, politycznym i kulturalnym. Społeczne konsekwencje chrztu Polski pojawiły się później, poczynając od rodziny po naród, a nawet po wspólnotę narodów, jaką dzisiaj stanowi dla nas Europa" (EP, 6 X 2015).

Chrzest księcia Mieszka I – 1050 lat temu – to najważniejsza data w naszych dziejach, „kolebka" rodzącego się narodu, znak budujący naszą polską tożsamość.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

W numerze: Aktualności SDP – *2* • Dni Seweryna Pieniężnego 2016 – *3* • Chrzest Mieszka I (E. Czaczkowska) – *7* • Chrzest Polski w „Kronice Thietmara" – *8* • Smoleńsk z polskiej perspektywy (H. Falkowski) – *10* • Media w Polsce – *12* • Dziennikarz i dziennikarstwo – *16* • Widziane z Warszawy (S. Truszczyński) – *19* • Piórem felietonisty – *20* • Wywiady Błażeja Torańskiego... Paweł Lisicki – *22* • Twarze mediów: Grzegorz Linkowski (A. Brzozowski) – *24* • „Przy kawie" z... Kate Liu (M. Szczygło) – *26* • Dylematy polskiego rynku wydawniczo-księgarskiego – cz. 1 (J. L. Okuniewski) – *28* • Jubileusz Filharmonii (J. Ciepliński, A. Sztumski) – *30* • 78. rocznica „Pięciu Prawd Polaków" (J. Młynarczyk, T. Szczyrbak) – *31* • Święto polskiej młodzieży spod Znaku Rodła – *32* • 30. rocznica śmierci dr. Władysława Gębika (U. Stokłosa, L. Nowacka, I. Bruski) – *34* • Zdążyć z Pomocą (A. Kryszczuk) – *36* • Artystyczne wędrówki: Józef Mehoffer (T. Brzeski) – *39* • O nowomowie politycznej poprawności (P. Ślusarczyk) – *43* • Z Anglii: Dopuśćmy rozum do głosu! (E. Królikowska-Avis) – *44* • Nie walczymy z wiatrakami. Rozmowa z mec. Lechem Obarą (Ł. Kaźmierczak) – *46* • Niemieckie represje wobec Polaków (S. Piątkowski) – *48* • Oddali życie za bliźnich – *52* • To było w nocy... (A. Duda) – *53* • Kultura i oręż (J. Wegner) – *55* • Jak Polacy zbudowali Vancouver – *56* • Kino – telewizja – film – *58* • Z Olsztyna – *62* • Lektury medioznawcy (M. Sokołowski) – *63* • Okiem satyryka (A. Brzozowski) – *63* • Nasze sprawy – *64*

Na okładce: *I* – „ZAPROWADZENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA", Jan Matejko, 1889. Olej na desce, 79 x 120. © MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, *IV* – „KRZYSZTOF GIERAŁTOWSKI". FOT. © PIOTR STASZAK

Zarząd Główny SDP

Członkowie Zarządu Głównego we władzach TVP

Wiceprezes SDP i redaktor naczelny „Forum Dziennikarzy" red. Piotr Legutko – dyrektorem TVP 3 Kraków

FOT. © TVP 3 KRAKÓW

Wiceprezes Piotr Legutko – absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego (filologia polska) – z krakowskim oddziałem TVP współpracował od 1997 roku. Był autorem programów telewizyjnych, głównie o tematyce regionalnej, reportaży i filmów dokumentalnych. W latach 80. współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym". Od 1991 do 1997 pracował w „Czasie Krakowskim" (także jako redaktor naczelny). W latach 2005-2006 – redaktor naczelny kwartalnika „Nowe Państwo" i członek zespołu redakcyjnego tygodnika „Gość Niedzielny" (1999-2005). W roku 2006 pełnił funkcję kierownika redakcji publicystyki TVP1, a do czerwca 2007 – zastępcy dyrektora Agencji Informacji TVP. Był redaktorem naczelnym „Dziennika Polskiego" (2007-2011). W styczniu 2012 roku został publicystą „Gościa Niedzielnego" i kierownikiem krakowskiego oddziału tygodnika. Obecnie w „Gościu Niedzielnym" jest redaktorem działu Polska oraz redaktorem naczelnym SDP-owskiego „Forum Dziennikarzy". 24 lutego 2016 roku red. Piotr Legutko został powołany przez Zarząd Telewizji Polskiej na stanowisko dyrektora – redaktora naczelnego Oddziału Terenowego TVP S. A. w Krakowie.

Członek Zarządu Głównego SDP red. Józef Matusz – dyrektorem TVP 3 Rzeszów

Redaktor Józef Matusz – absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (prawo) i Wyższej szkoły Prawa i Administracji (studia podyplomowe – menedżeryzm) w Rzeszowie – z telewizją związany m. in. jako członek Rady Programowej Ośrodka TVP w Rzeszowie w latach 2006-2013. Wcześniej był członkiem Rady Nadzorczej „Radia Rzeszów" z rekomendacji SDP (2006-2009). W latach 1996-1998 – kierownik Oddziału PAP w Rzeszowie. Przez lata związany z: Dziennikiem Obywatelskim „A-Z" (1990-1992), Gazetą Codzienną „Nowiny" (1992-1998), „Rzeczpospolitą" – jako korespondent w Rzeszowie (1998-2010). Po odejściu z „Rzeczpospolitej" założył Kancelarię Medialną MMEDIA, która zajmuje się m. in. produkcją filmów i spotów telewizyjnych. Równocześnie jest redaktorem naczelnym „Horyzontu Alpejsko-Karpackiego" – magazynu Stowarzyszenia Euroregion Karpacki Polska. Od trzech kadencji prezes Oddziału SDP w Rzeszowie. 3 marca 2016 roku Józef Matusz został powołany przez Zarząd Telewizji Polskiej na stanowisko dyrektora – redaktora naczelnego Oddziału Terenowego TVP S. A. w Rzeszowie.

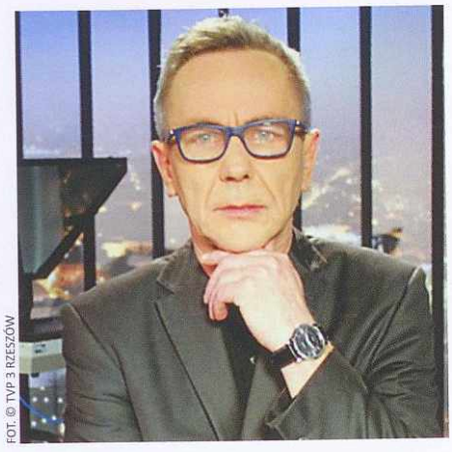

FOT. © TVP 3 RZESZÓW

Stanowisko SDP ws. zmian w mediach publicznych zostało przedstawione Sekretarzowi Generalnemu Rady Europy

Agnieszka Romaszewska-Guzy, wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wzięła udział w spotkaniu z panem Thorbjornem Jaglandem, Sekretarzem Generalnym Rady Europy, na którym organizacje pozarządowe przedstawiły swoje opinie na temat zmian przeprowadzanych w Polsce przez rząd i parlament. Pan Thorbjorn Jagland w szczególności interesował się zmianami dotyczącymi Trybunału Konstytucyjnego oraz mediów publicznych.

Agnieszka Romaszewska-Guzy przedstawiła stanowisko SDP w sprawie reformy mediów publicznych. Jak wiadomo SDP wielokrotnie alarmowało, że media publiczne nie wypełniały swojej misji ani obowiązków i domagało się radykalnych zmian. A teraz oczekuje, że nowa ustawa medialna zapewni mediom publicznym warunki dla rzetelnej realizacji tych zadań.

Na spotkanie, które miało miejsce w Warszawie w dniu 4 kwietnia 2016 roku, zaproszeni zostali przedstawiciele zaledwie kilkunastu organizacji pozarządowych, w tym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

DOROTA ZIELIŃSKA

76. rocznica śmierci S. Pieniężnego – 24 lutego 2016

Szlak Pamięci Seweryna Pieniężnego

SDP

Centralne uroczystości przy grobie Seweryna Pieniężnego na cmentarzu komunalnym FOT. © WOJCIECH CIESIELSKI

Przy pomniku Seweryna Pieniężnego – patrona Olsztyńskich Zakładów Graficznych S.A. FOT. © WOJCIECH CIESIELSKI

Po Mszy w bazylice konkatedralnej, obok kamienicy, w której w 1886 roku mieściła się redakcja i drukarnia „Gazety Olsztyńskiej 1886-1939" FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

126. rocznica urodzin S. Pieniężnego – 25 lutego 2016

Konferencja Naukowa „Seweryn Pieniężny – olsztyński wydawca" w Ośrodku Badań Naukowych

Referaty: dr Jan Chłosta: *Seweryn Pieniężny jako wydawca*, prof. zw. Stanisław Achremczyk: *Uwagi o prasie olsztyńskiej (1945-1989)*, red. Wojciech Reszczyński: *Ciężko być Polakiem*

FOT. © WOJCIECH CIESIELSKI

Gala Dziennikarzy Warmii i Mazur w olsztyńskim Ratuszu

Dziennikarskie wyróżnienia jubileuszowe

Wyróżnienia zespołowe: Redakcja audycji „Droga" z okazji 25-lecia (Mirosław Rogalski, Bogdan Sentkowski) Redakcja audycji „Który przychodzi" z okazji 20-lecia (Zenon Złakowski, Bogdan Sentkowski i Marian Dąbrowski) Miesięcznik Regionalny „Debata" z okazji 100. numeru pisma (Dariusz Jarosiński, Bogdan Bachmura)

FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Wyróżnienia indywidualne: Andrzej Badurek – 50-lecie pracy dziennikarskiej, Henryk Monkiewicz – 40-lecie pracy dziennikarskiej, Jan Rosłan – 40-lecie pracy dziennikarskiej, Jacek Zawadzki i Adam J. Socha – 35-lecie pracy dziennikarskiej, Zbigniew Piszczako i Zbigniew Połoniewicz – 30-lecie pracy dziennikarskiej, Jan Choiński i Zbigniew Kukuć – 25-lecie pracy dziennikarskiej, Ryszard Dobek i Krzysztof Kozłowski – 20-lecie pracy dziennikarskiej, Łukasz Adamski – 10-lecie pracy dziennikarskiej.

Przyjaciele SDP

W rocznicę urodzin Seweryna Pieniężnego, patrona Oddziału SDP w Olsztynie, 25 lutego podczas uroczystej Gali Dziennikarzy Warmii i Mazur w olsztyńskim Ratuszu, po raz pierwszy w dziejach nadano Tytuł „Przyjaciela Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP".

To Honorowe Wyróżnienie – jako wyraz najwyższego uznania wobec osób mających szczególne zasługi dla Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie – otrzymali: Elżbieta Fabisiak, Stanisław Kowalski, Alina i Alfred Prusikowie oraz Stefan Truszczyński.

FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Elżbieta Fabisiak – zasłużona dla regionu Warmii i Mazur animatorka kultury i społecznik. Pracowała m. in. w Muzeum Warmii i Mazur, Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnym „Pojezierze", Bibliotece Głównej ART, Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Departamencie Kultury i Edukacji Urzędu Marszałkowskiego. Związana z Olsztynem i regionem Warmii i Mazur, od ponad 45 lat aktywnie udziela się w organizacjach pozarządowych, m. in. Warmińsko-Mazurskim Stowarzyszeniu Areszt Sztuki, Towarzystwie Kultury Teatralnej, Stowarzyszeniu Obywatele Olsztyna, Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. W 2015 roku współrealizowała projekt upamiętnienia dr. Władysława Gębika Tablicą pamiątkową w Olsztynie, w ramach inicjatywy Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP.

FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Stanisław Kowalski – założyciel i fundator Fundacji Sedeka oraz prezes jednej z największych organizacji pożytku publicznego w Polsce – Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", która prowadzi trzy nowoczesne ośrodki rehabilitacji medycznej w Warszawie. Inicjator i edytor 6-tomowej serii *Złote Myśli Ludzi Wielkiego Umysłu, Talentu i Serca. Twórcy Wizerunku Polski*, autor aforyzmów pt. *Ogrody Świata*, książek i bajek dla dzieci oraz trylogii *Platonium* stanowiącej rozważania nad problemami wiary, nauki oraz sensu życia. Za działalność prospołeczną uhonorowany kilkudziesięcioma odznaczeniami. Zaangażowany w działalność statutową Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP w Olsztynie, zwłaszcza na płaszczyźnie wydawniczej.

FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Alina i Alfred Prusikowie – przedsiębiorcy, właściciele Przedsiębiorstwa Budowlano-Handlowego Renbud s. c., mecenasi środowiska twórców i ludzi kultury. Alfred Prusik był współzałożycielem Fundacji Środowisk Twórczych (2004-2015), twórcą Klubu „Kaliningrad bliżej", którego celem jest wymiana kulturalna pomiędzy Warmią i Mazurami a Obwodem Kaliningradzkim. Dzięki pomysłowi państwa Prusików stworzenia Klubu Środowisk Twórczych przy ul. Nowowiejskiego 5 w Olsztynie, również Oddział SDP znalazł swoją przystań. Tu odbywały się spotkania dziennikarzy, a równocześnie ul. Nowowiejskiego 5 stała się adresem Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

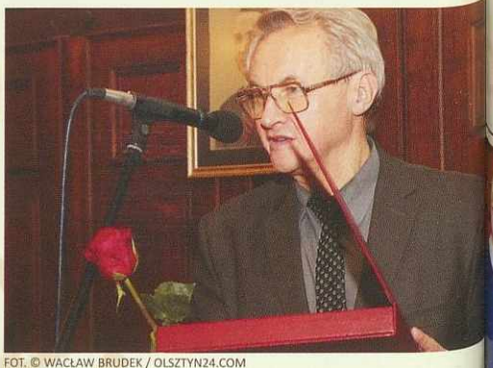

FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Stefan Truszczyński – dziennikarz z pasją, członek SDP od 1967 r., od 2005 – sekretarz generalny SDP. Od 1973 r. pracował w TVP. Członek „Solidarności", zwolniony z TVP w stanie wojennym. Przez 8 lat pracował w różnych zawodach, również zagranicą. W 1989 r. powrócił do Polski. Szef Studia „Solidarność". W latach 1989-2009 związany z TVP i Polskim Radiem oraz prywatnymi telewizjami. W dorobku ma wielkie transmisje bezpośrednie, kilkadziesiąt godzinnych wywiadów na żywo, reportaże i filmy dokumentalne. Kilkakrotnie był korespondentem wojennym, przez ponad 30 lat organizował i realizował filmy o tematyce podwodnej. Ceniony publicysta (m. in. sdp.pl, wPolityce.pl, „Kurier Wnet", „Forum Dziennikarzy"). Zaangażowany w działalność statutową Oddziału olsztyńskiego SDP, członek kolegium redakcyjnego „Bez Wierszówki" – miesięcznika SDP wydawanego w Olsztynie.

Tytuł „Przyjaciela Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP" może otrzymać osoba nie będąca członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, która wykazała się wieloletnim zaangażowaniem w działalność SDP, dużym wkładem finansowym w realizację zadań statutowych, bezinteresownym zaangażowaniem w działania na rzecz podniesienia prestiżu Stowarzyszenia i realizacji projektów prowadzonych przez Oddział SDP w Olsztynie. Honorowe Wyróżnienie będzie mógł otrzymać również członek SDP należący do innego oddziału Stowarzyszenia, spełniający powyższe warunki. Decyzję o nadaniu Tytułu podejmuje Zarząd Oddziału w Olsztynie zgodnie z „Regulaminem" stanowiącym załącznik do Uchwały nr 8/2016 z 4 lutego 2016 r. o utworzeniu Wyróżnienia.

IRENEUSZ ST. BRUSKI
Prezes Oddziału

Finał Konkursu im. Seweryna Pieniężnego za rok 2015

Nagroda Główna

Mariusz Korejwo – autor tekstów na łamach miesięcznika „Debata" FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Grzegorz Linkowski – reżyser filmu „Bo jestem stąd" (Aurum Film, Lublin) FOT. © WACŁAW BRUDEK / OLSZTYN24.COM

Nagroda Wolności Słowa

Redakcja portalu internetowego „Express Olsztyn"
Gratulacje od Artura Chojeckiego, wojewody warmińsko-mazurskiego; od lewej: Katarzyna Niczyperowicz (Express Olsztyn), red. Aneta M. Markowska (Express Olsztyn), mec. Lech Obara – fundator Nagrody, red. Kinga Kamińska (Express Olsztyn) oraz członkowie Kapituły: Stefan Truszczyński, Wojciech Reszczyński, Krystyna Stasiewicz i Grzegorz Radzicki FOT. © W-MUW

Występ Chóru Dziewczęcego Cantabile FOT. © W-MUW

Laureaci Nagrody Głównej i członkowie Kapituły FOT. © W-MUW

Wyróżnienia Honorowe

Mariusz Borsiak z Radia Olsztyn za cykl reportaży historycznych
Adam J. Socha z „Debaty" za dziennikarstwo śledcze FOT. © W-MUW

Fundatorzy Nagród: Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich • Kancelaria Radców Prawnych i Adwokatów „Lech Obara i Współpracownicy" • Warmińsko-Mazurski Urząd Wojewódzki w Olsztynie • Urząd Miasta Pieniężna • Huta Szkła Artystycznego Taras Krynicki w Olsztynku

Fundatorzy upominków: Olsztyńskie Zakłady Graficzne im. Seweryna Pieniężnego S. A. • Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana", Oddział w Olsztynie

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP

List otwarty do Barbary Stanisławczyk ws. Andrzeja Mietkowskiego

Szanowna Pani Prezes, zwracamy się do Pani o wskazanie konkretnych nieprawidłowości czy nadużyć, których miał dopuścić się Andrzej Mietkowski, były już szef portalu Polskiego Radia. Zarzut „niegospodarności" stawiany redaktorowi Mietkowskiemu jest bardzo poważny i wzbudził liczne kontrowersje wśród naszych kolegów, członków SDP, a także pracowników mediów publicznych. Należy podkreślić, że redaktor Mietkowski cieszył się opinią dziennikarza uczciwego i profesjonalnego, a jego pracę doceniało jury nagród dziennikarskich przyznawanych przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

Z wyrazami szacunku
Wiktor Świetlik, dyrektor CMWP SDP
Warszawa, 14 marca 2016

Oświadczenie ws. cofnięcia red. Piotrowi Jaworowi akredytacji

W związku z cofnięciem przez Zarząd Klubu „Wisła Kraków" akredytacji na mecze piłkarskie red. Piotrowi Jaworowi – dziennikarzowi sportowemu Interii, Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP protestuje przeciwko powyższej decyzji.

Z doniesień medialnych wynika, że powodem cofnięcia akredytacji była negatywna ocena pracy dziennikarza przez Zarząd Klubu, związana z jego krytyką dotyczącą zarządzania Klubem. Tymczasem jednym z fundamentów demokratycznego państwa prawnego jest wolność słowa i prasy oraz ściśle z tym związana niezależność dziennikarska. Zgodnie z utrwalonym orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, poruszanie tematów trudnych, niewygodnych, kontrowersyjnych jest nie tylko prawem, ale wręcz obowiązkiem dziennikarzy. O ile krytyka działań i materiałów dziennikarskich jest uprawniona, o tyle zupełnie niedopuszczalne jest warunkowanie akredytacji (niezależnie – jej udzielenia lub cofnięcia) od merytorycznej oceny zadań dziennikarza, jego obiektywizmu, bezstronności itp. Takie postępowanie godzi w podstawową funkcję prasy i wolność słowa w ogóle, gdyż prowadzi do sytuacji, w której docelowo akredytację na imprezy sportowe (i nie tylko) będą posiadać dziennikarze spolegliwi wobec władz spółek, sponsorów, decydentów, polityków itp.

CMWP SDP oczekuje, że akredytacja zostanie red. Piotrowi Jaworowi niezwłocznie przywrócona, a on sam – przeproszony przez Zarząd Klubu „Wisła Kraków".

Wiktor Świetlik, dyrektor CMWP SDP
Warszawa, 23 marca 2016

Oświadczenie ws. ograniczeń możliwości pracy przez dziennikarzy w Sejmie

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP wyraża zaniepokojenie doniesieniami medialnymi na temat planów ograniczenia dziennikarzom możliwości poruszania się po budynku Sejmu. Tego rodzaju decyzje szłyby wbrew zasadzie wolności słowa, której istotnym elementem jest kontrola władzy ustawodawczej poprzez media, a także fatalnie świadczyły o polityce informacyjnej Sejmu RP.

Wiktor Świetlik, dyrektor CMWP SDP
Michał Ł. Jaszewski, doradca CMWP SDP
Warszawa, 24 marca 2016

Porada prawna dla zwalnianych dziennikarzy

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP przypomina dziennikarzom zwalnianym z pracy, zarówno w mediach publicznych jak i prywatnych, o możliwości bezpłatnej konsultacji w zakresie prawa pracy, a także umów cywilno-prawnych i innych kontraktów.

Pomoc taka była świadczona także przez cały okres władzy koalicji PO-PSL kiedy to z TVP i Polskiego Radia, bezpośrednio lub pośrednio (poprzez spółki zewnętrzne) zwolniono, według naszych szacunków, co najmniej 500 pracowników mediów.

Ponawiamy także nasz apel do władz mediów publicznych o nie kierowanie się kryteriami innymi niż merytoryczne przy podejmowaniu decyzji kadrowych.

CMWP SDP

Aktualności z oddziałów SDP

SDP Lublin Oświadczenie ws. odbudowy mediów narodowych

Zarząd Oddziału Lubelskiego SDP jest przekonany, że realizowany obecnie program odbudowy mediów narodowych idzie we właściwym kierunku i będzie służył odbudowie niezależności i rzetelności mediów w Polsce.

W pełni popieramy i oczekujemy realizacji uchwał Nadzwyczajnego Zjazdu SDP dających gwarancję utworzenia mediów reprezentujących wysoki poziom artystyczny i moralny, konstruktywnych wobec programu władzy, przy jednoczesnym krytycznym patrzeniu na ręce jej funkcjonariuszy.

Zgadzamy się także z diagnozą stanu mediów publicznych, zarówno centralnych, jak i regionalnych. Naszym zdaniem wymagają one głębokich reform zarówno w warstwie personalnej, jak i merytorycznej. Oczekujemy, że media publiczne uniezależnione zastaną od wpływów partii politycznych i realizować będą misję, do której zostały powołane.

Jacek Przesmycki, prezes Oddziału
Wojciech Pokora, Jacek Piasecki
Ryszard Surmacz, Lech L. Przychodzki
Lublin, 19 stycznia 2016

Chrzest Mieszka I

Był 14 kwietnia 966 roku. Wielka Sobota, wieczór. Do kaplicy w pałacu książęcym na Ostrowie Lednickim wszedł książę Mieszko I w towarzystwie Dobrawy i dworskiej świty.

Prezbiter, późniejszy biskup Jordan, rozpoczął liturgię chrztu świętego. Mieszko, po wyrzeczeniu się szatana i wypowiedzeniu aktu wiary, ubrany w biały strój katechumena podszedł do kamiennego baptysterium, powoli zanurzył się w wodzie. Jordan, kreśląc znak krzyża, odmówił nad księciem formułę chrztu świętego. Nadał mu nowe, chrzestne imię Dagobert, na cześć świętego władcy z dynastii Merowingów.

„W tym momencie Mieszko I – książę Wielkopolski, Kujaw, zachodniego Mazowsza, północnej Małopolski (nie ma pewności, czy także Pomorza Wschodniego), czyli terenów, które nazywano państwem gnieźnieńskim albo po prostu krajem Mieszka (nazwa kraj Polan jest kwestionowana) – stał się chrześcijaninem". Dołączył do grona innych chrześcijańskich władców ówczesnej Europy. Ale proces chrystianizacji mieszkańców ziem, nad którymi panował i na które niebawem miał rozszerzyć swoją władzę, dając początek naszej państwowości, trwał długie dziesiątki lat.

Świadkami chrztu Mieszka I byli dworzanie Dobrawy, przybyli z księżniczką rok wcześniej z Pragi, rządzonej przez ród Przemyślidów, ochrzczonych niemal wiek wcześniej. Po księciu chrzest na Ostrowie Lednickim przyjęli jego towarzysze – możnowładcy i drużynnicy – podchodząc kolejno do dwu baptysteriów umieszczonych po przeciwległych stronach kaplicy. Na zakończenie, a była to już noc Zmartwychwstania Pańskiego, Jordan odprawił uroczystą mszę świętą, w której po raz pierwszy uczestniczył Mieszko I z grupą dworzan.

Czy tak wyglądał chrzest Mieszka I? Akt religijny, który dał początek chrystianizacji Polski, włączając ją w krąg zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej? Mógł tak przebiegać, ale pewności nie ma. Nie ma jej co do miejsca i okoliczności. Jedyną pewną informacją zaczerpniętą z najstarszych, niemniej późniejszych, bo XIII-wiecznych, polskich roczników dworskich jest nota zapisana pod datą 966, głosząca, iż *Mysko dux Polonie baptizatur* – „Mieszko, książę Polski, został ochrzczony". Natomiast na podstawie informacji tychże kronik oraz znacznie wcześniejszych zapisków kronikarzy biskupa Thietmara (X-XI wiek) i Galla Anonima (XI-XII wiek) na temat czasu przyjazdu z Czech księżniczki Dobrawy, a także zwyczajów związanych z chrztem katechumenów można wnioskować, że Mieszko I ochrzcił się w wigilię paschalną 966 roku, czyli 14 kwietnia.

MAL. JAN MATEJKO

Nie ma też pewności, że chrzest odbył się w kaplicy na Ostrowie Lednickim. Część badaczy przychyla się do twierdzenia prof. Hanny Kóčki-Krenz, że chrzest Mieszka I odbył się na Ostrowie Tumskim w Poznaniu, gdzie kilkanaście lat temu odkryte zostało *palatium* pochodzące z połowy X wieku (badania dendrochronologiczne wskazują, że belka progowa została ścięta po 941 r.). Za Ostrowem Lednickim jako miejscem chrztu przemawia obecność dwóch baptysteriów, odkrytych pod koniec ubiegłego wieku w kaplicy, będącej częścią pochodzącego z lat 60. X wieku dużego zespołu pałacowo-sakralnego (tzw. *palatium*). Baptysteria w kształcie połowy krzyża połączone były ze studnią głębinową, skąd doprowadzano do nich wodę. Badania wskazują na powstanie baptysteriów w połowie X wieku (choć są inne, mówiące o latach 80. X wieku).

Analiza innych źródeł pozwala postawić tezę, że ów obiekt pałacowo-sakralny na Ostrowie Lednickim Mieszko I zbudował dla Dobrawy i jej orszaku, w tym osób duchownych, z którymi przybyła z Czech w 965 roku. Gall Anonim pisał bowiem, że Dobrawa „[...] nie pierwej podzieliła z nim [Mieszkiem – przyp. red.] łoże małżeńskie, aż powoli a pilnie zaznajamiając się z obyczajem chrześcijańskim i prawami kościelnymi, wyrzekł się błędów pogaństwa i przeszedł na łono matki Kościoła". Mieszko I do momentu przyjęcia chrztu i ślubu umieścił zatem Dobrawę w *palatium* na wyspie na jeziorze lednickim, gdzie warunki naturalne oraz drużynnicy mieli zapewnić przyszłej małżonce Mieszka bezpieczeństwo. Czy Mieszko I przyjął na chrzcie imię Dagobert? To również hipoteza, na jaką wskazuje późniejszy dokument *Dagome iudex*.

Dlaczego Mieszko I przyjął chrzest? Na ten temat powstały – i powstają nadal – liczne teorie, choć część z nich się zdezaktualizowała pod wpływem badań źródłowych, odkryć archeologicznych i odejścia od ideologicznego traktowania historii. Efektem takiego właśnie traktowania historii była m. in. teoria o tym, że Mieszko I przyjął chrzest z Czech, aby nie przyjmować go za pośrednictwem Niemiec. Jedno dziś jest pewne: chrzest był autonomiczną decyzją Mieszka I, nienarzuconą przez nikogo z zewnątrz. Nie nastąpił on pod wpływem nacisków cesarza rzymskiego Ottona I. Mieszko I przyjął chrzest z rąk kapelana Dobrawy, Jordana, należącego do diecezji praskiej, która – co trzeba podkreślić – do 973 roku była częścią niemieckiej diecezji ratyzbońskiej. Przyjęcie chrztu tzw. drogą czesko-ratyzbońską wynikało z faktu, że w 964 roku Mieszko I zawarł sojusz z księciem Czech Bolesławem II przeciwko zagrażającym księstwu Mieszka plemionom wieleckim, dotychczas tradycyjnie związanych przymierzem z Czechami. To on, Mieszko I, był inicjatorem sojuszu z Bolesławem II,

który miał zostać umocniony małżeństwem z siostrą księcia – Dobrawą. Kronikarze – Thietmar, Gall Anonim, Kosma – pisali o dużym wpływie Dobrawy na przyjęcie przez Mieszka chrztu. Współcześni historycy podkreślają, że w średniowieczu chętnie wskazywano na taką rolę kobiet. Niemniej nie można definitywnie odrzucić wpływu Dobrawy na Mieszka, a na pewno tego, że nie tylko Jordan, ale i ona mogła uczestniczyć w kilkuetapowym przygotowywaniu Mieszka do przyjęcia sakramentu chrztu.

Jedną z teorii, lansowaną szczególnie w okresie PRL-u, była ta, jakoby Mieszko I ochrzcił się głównie z przyczyn politycznych, gdyż jako pomazaniec Boży miał silniejszą pozycję wobec poddanych i mandat do scalania podległych mu – i podbijanych – ziem w jeden organizm państwowy. Nie można wykluczyć tego elementu, ale trzeba też pamiętać, że w momencie chrztu Mieszko I wiele ryzykował, w tym przede wszystkim niezadowolenie elity władzy i pogańskich kapłanów. Może zatem ma rację amerykański historyk Philip Earl Steele, który twierdzi, że Mieszkiem I kierowały szczere motywy religijne. On uwierzył w chrześcijańskiego Boga. Może, dodajmy, przestał ufać pogańskim bóstwom, gdy on, a także jego przodkowie, odnosili porażki w walkach z pogańskimi Wieletami, a może, gdy poznał Dobrawę. Decyzja nie była łatwa. Ale to ten władca – książę Mieszko I po swoim chrzcie – dokonał zjednoczenia w jeden organizm państwowy ziem, które do dziś stanowią trzon Polski.

EWA CZACZKOWSKA

Artykuł powstał na zamówienie Narodowego Centrum Kultury z okazji obchodów 1050. Rocznicy Chrztu Polski.

Literatura: *Amerykanin wśród Piastów. Z Philipem Earlem Steelem rozmawia Mariusz Majewski*, gosc.pl/doc/2359799.Amerykanin-wsrod-Piastow [dostęp: 10.11.2015]; *Chrzest Polski. Z dr. Andrzejem Pleszczyńskim rozmawia Ewa Zientara*, muzhp.pl/pl/e/1139/chrzest-polski-wywiad [dostęp:13.11.2015]; Labuda G., *Mieszko I*, Wrocław 2002; Górecki J., *Na marginesie lednickich odkryć. Kilka uwag w kwestii urządzeń chrzcielnych z Ostrowa Lednickiego*, „Studia Lednickie", t. 4, 1996, s. 103-136; Kóčka-Krenz H., *Rezydencja pierwszych Piastów na poznańskim grodzie*, [w:] H. Kóčka-Krenz (red.), *Poznań we wczesnym średniowieczu*, t. V, Poznań 2005; Trawkowski S., *Początki Kościoła w Polsce za panowania Mieszka I*, [w:] J. M. Piskorski (red.), *Polska Mieszka I: w tysiąclecie śmierci twórcy państwa i Kościoła polskiego 25 V 992 – 25 V 1992*, Poznań 1993, s. 59-62; Urbańczyk P., *Mieszko Pierwszy Tajemniczy*, Toruń 2012.

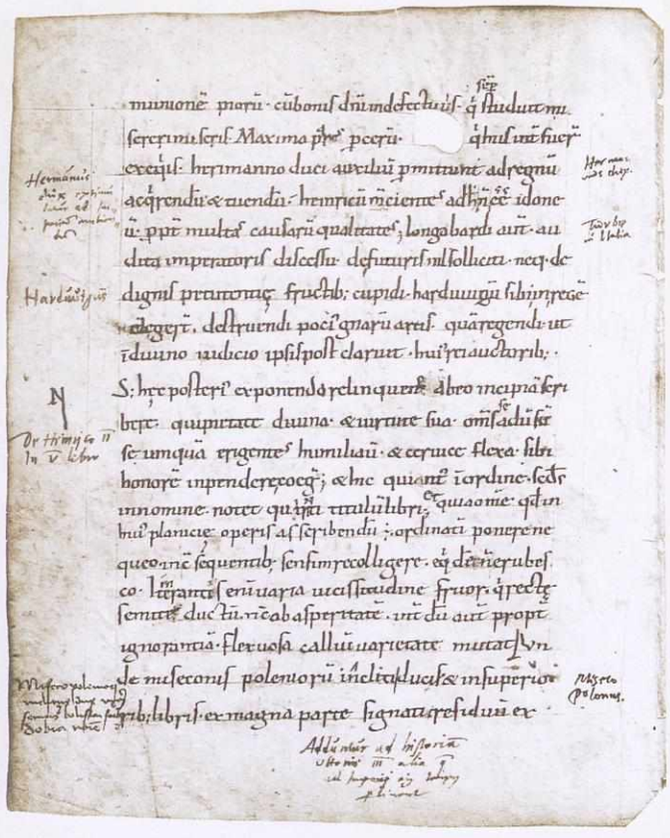

[Et] quia omne, quod in huius planicie operis asscribendum est, ordinatim ponere nequeo, in consequentibus sensim recolligere equidem non erubesco. Iterantis enim varia vicissitudine fruor, qui rectae semitis ductum nunc ob asperitatem, interdum autem propter ignorantiam flexuosa callium varietate mutat. Unde Miseconis, Poleniorum incliti ducis et in superioribus libris ex magna parte signati, residuum ex-

Chrzest Polski w „Kronice Thietmara"

(pocz. XI w.)

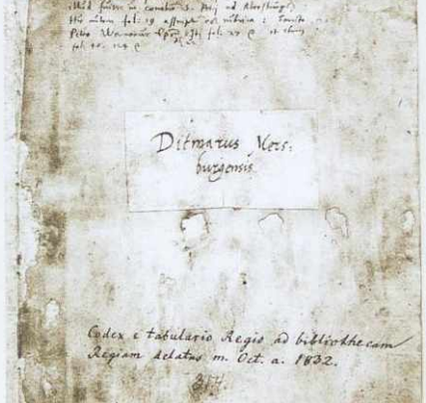

Ponieważ nie mogę przedstawić kolejno tego wszystkiego, co podług planu dzieła powinno być napisane, nie wstydzę się powrócić do niektórych spraw poniżej. Różne wprowadzam zmiany jako ten wędrowiec, który zbacza z właściwego szlaku czy to wskutek trudności drogi, czy to z braku orientacji w zawiłej sieci ścieżek. Dlatego przedstawię resztę czynów znakomitego księcia Polan Mieszka, o którym pisałem szeroko w poprzednich księgach.

W czeskiej krainie pojął on za żonę szlachetną siostrę Bolesława Starszego, która okazała się w rzeczywistości taką, jak brzmiało jej imię. Nazywała się bowiem po słowiańsku Dobrawa, co w języku

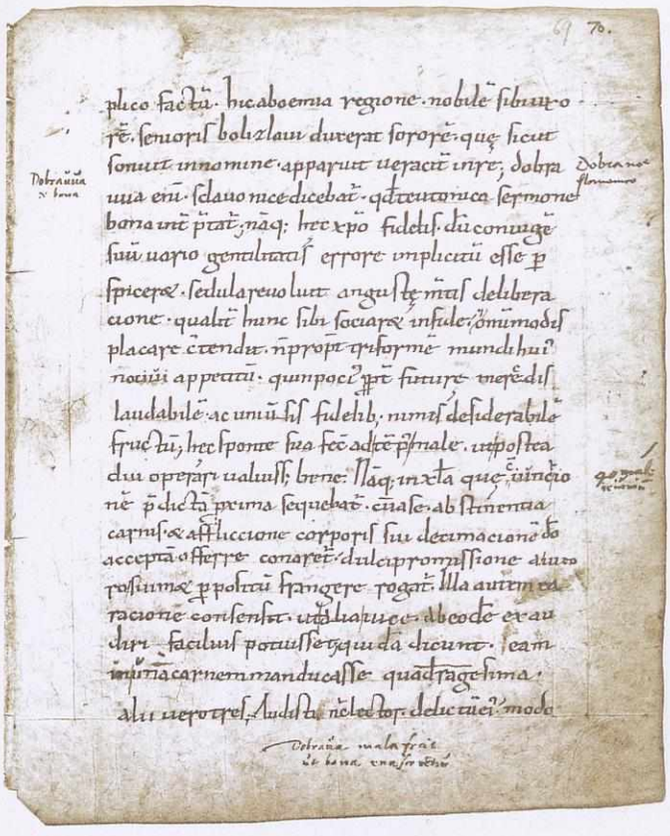

70 a

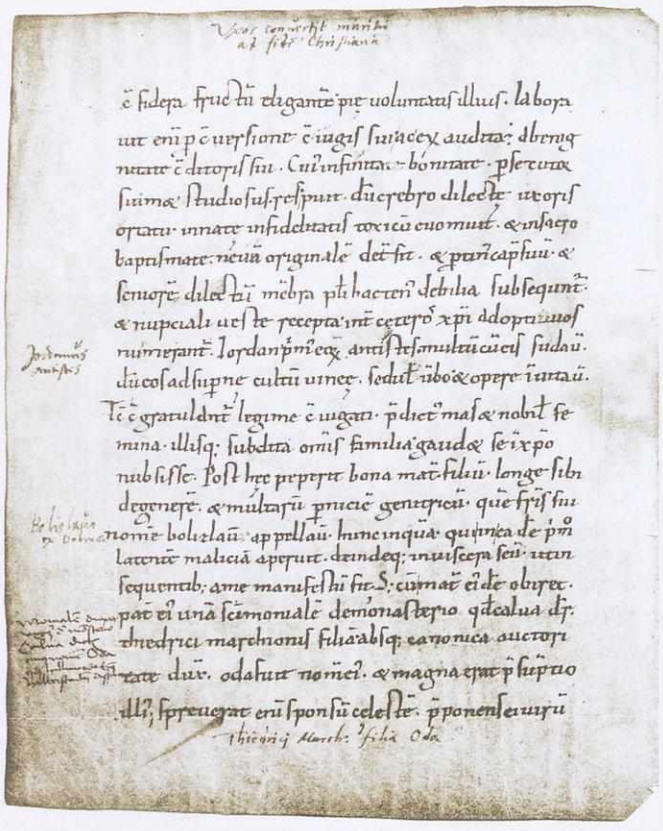

70 b

plico factum. Hic a Boemia regione nobilem sibi uxorem senioris Bolizlavi duxerat sororem, quae, sicut sonuit in nomine, aparuit veraciter in re. Dobrawa enim Sclavonice dicebatur, quod Teutonico sermone Bona interpretatur. Namque haec Christo fidelis dum coniugem suum vario gentilitatis errore implicitum esse perspiceret, sedula revolvit angustae mentis deliberacione, qualiter hunc sibi sociaret in fide; omnimodis placare contendit, non propter triformem mundi huius nocivi appetitum, quin pocius propter futurae mercedis laudabilem ac universis fidelibus nimis desiderabilem fructum.

Haec sponte sua fecit ad tempus male, ut postea diu operari valuisset bene. Namque in quadragesima, quae [con]iuncionem predictam proxima sequebatur, cum a se abstinentia carnis et afflictione corporis sui decimacionem Deo acceptam offerre conaretur, dulci promissione a viro suimet propositum frangere rogatur. Illa autem ea racione consensit, ut alia vice ab eodem exaudiri facilius potuisset. Quidam dicunt, eam in una carnem manducasse quadragesima, alii vero tres. Audisti nunc, lector, delictum eius; modo

considera fructum eligantem piae voluntatis illius. Laboravit enim pro conversione coniugis sui ac exaudita est a benignitate Conditoris sui, cuius infinita bonitate persecutor suimet studiosus resipuit, dum crebro dilectae uxoris ortatu innatae infidelitatis toxicum evomuit et in sacro baptismate nevam originalem detersit. Et protinus caput suum et seniorem dilectum membra populi hactenus debilia subsequuntur et nupciali veste recepta inter caeteros Christi adoptivos numerantur. Iordan, primus eorum antistes, multum cum eis sudavit, dum eos ad supernae cultum vineae sedulus verbo et opere invitavit. Tunc congratulantur legitime coniugati, predictus mas et nobilis femina, illisque subdita omnis familia gaudet se in Christo nubsisse.

***Thietmari merseburgiensis episcopi chronicon*, IV, 55(35)-56.**

Digitale Edition der Chronik des Thietmar von Merseburg

FOT. © MGH-BIBLIOTHE.DE

niemieckim wykłada się: Dobra. Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogła by go pozyskać dla swojej wiary. Starała się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądz tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym.

Umyślnie postępowała ona przez jakiś czas zdrożnie, aby później móc długo działać dobrze. Kiedy mianowicie po zawarciu wspomnianego małżeństwa nadszedł okres wielkiego postu i Dobrawa starała się złożyć Bogu dobrowolną ofiarę przez wstrzymywanie się od jedzenia mięsa i umartwianie swego ciała, jej małżonek namawiał ją słodkimi obietnicami do złamania postanowienia. Ona zaś zgodziła się na to w tym celu, by z kolei móc tym łatwiej zyskać u niego posłuch w innych sprawach. Jedni twierdzą, iż jadła ona mięso w okresie jednego wielkiego postu, inni zaś, że w trzech takich okresach. Dowiedziałeś się przed chwilą, czytelniku, o jej przewinie, zważ teraz, jaki owoc wydała jej zbożna intencja.

Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka i wysłuchał jej miłościwy Stwórca. Jego nieskończona łaska sprawiła, iż ten, który Go tak srogo prześladował, pokajał się i pozbył na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierworodnego. I natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne dotąd członki spośród ludu i w szatę godową przyodziane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone. Ich pierwszy biskup Jordan ciężką miał z nimi pracę, zanim, niezmordowany w wysiłkach nakłonił ich słowem i czynem do uprawiania winnicy Pańskiej. I cieszył się wspomniany mąż i szlachetna jego żona z ich legalnego już związku, a wraz z nimi radowali się wszyscy ich poddani, iż z Chrystusem zawarli małżeństwo.

***Kronika Thietmara*, tłum. M. Z. Jedlicki, Kraków 2002, s. 82-84.**

Smoleńsk z polskiej perspektywy

Powiedzieć prawdę o Smoleńsku. Temat to arcyważny dla każdego Polaka... i to właśnie w perspektywie kwietnia 2016 roku, czasu wielkiej nadziei, kiedy to wyszydzana i poniżana prawda ma szansę wybić się ponad kłamstwo.

W historii Polski już pierwszy epizod związany ze Smoleńskiem budzi uzasadnione emocje. To, co dziś głoszą putinowscy historycy stoi w opozycji wobec faktów ustalonych przez polskich badaczy dziejów. Rzecz tyczy się udziału pułków smoleńskich w bitwie pod Grunwaldem. Pułkami tymi dowodził brat Jagiełły – książę litewski. To te trzy pułki – opisując zwycięstwo pod Grunwaldem – chwalił Jan Długosz. Tylko one spośród wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego i wojsk ruskich – nie rosyjskich! – nie uszły z pola walki. Dzisiejsza historiografia putinowska przywłaszcza je sobie i głosi, że to oni – Rosjanie – wygrali bitwę z zakonem krzyżackim. Tak mówią, ale czy to prawda? Wiemy, że nie.

Mamy rok 1514 – państwo polsko-litewskie po raz pierwszy traci Smoleńsk. Moment ten uwiecznia nasz wielki malarz Jan Matejko. Na obrazie widzimy, że w ciemnym pokoju siedzi błazen króla Zygmunta Starego, w tle na dworze trwa zabawa, a tylko on w niej nie uczestniczy... Wpatruje się w przyszłość – to jest proroctwo Matejki o Smoleńsku. Jeszcze nie powstała krakowska szkoła historyczna a ten genialny malarz już antycypuje dla części polskich historyków smoleński symbol.

200 lat po Grunwaldzie... jest rok 1610, gdy między Smoleńskiem i Moskwą – pod Kłuszynem – Polacy w husarskim stylu pokonują wojska moskiewskie. Wielki triumf, skutkiem którego odzyskujemy Smoleńsk i zajmujemy Moskwę. Moskale odrzucili propozycję unii z Polską, unii na wzór związku polsko-litewskiego jak „równi z równymi". Wybrali realizowaną do dziś w duchu ideologii euro-azjatyckiej koncepcję tzw. trzeciego Rzymu. A przecież nasz polski orzeł jest biały i patrzy w prawo – na Zachód, ich jest czarny i ma dwie głowy – zachłannie spogląda i na Europę, i na Azję. Polska i Rosja – do dziś różni nas tradycja kulturowa. Polska czerpie z tej łacińskiej. Oni chcąc coś osiągnąć, nie zawahają się uciec do każdej metody, byle była skuteczna.

Polski król Władysław IV wygrał wojnę smoleńską, ale po jego śmierci w 1654 roku, Smoleńsk znów utraciliśmy. To było po wojnie domowej w Rzeczypospolitej nazwanej powstaniem Chmielnickiego. Niedocenieni nasi współmieszkańcy poddali się carowi a ten umiał to dla rosyjskich interesów wykorzystać. Znów granica polsko-rosyjska przesunęła się bliżej Warszawy...

Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony, kiedy wieść przychodzi o utracie Smoleńska MAL. JAN MATEJKO, 1862 / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

„O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy".

A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, księga XI

W 1812 roku Polacy wraz z Napoleonem poszli na Moskwę. I znów po 400 latach od Grunwaldu, 200 od Kłuszyna, Smoleńsk jest w naszych rękach, niestety, tylko na chwilę...

Sto lat później, w 1918 roku, Polska odzyskuje niepodległość. W Rosji rewolucja, rządy czerwonego terroru. Polacy bronią wolności zwyciężając bolszewików w bitwie warszawskiej dwudziestego roku. Ratujemy zachodnią Europę. Niedługo sowieci znajdą okazję, by się nam odwdzięczyć – zdradzą nas..., jak zwykle. Władcy Kremla nigdy nam 1920 roku nie zapomną.

Bolszewicy biorą odwet w czasie II wojny światowej. Wiosną 1940 roku mordują w Katyniu pod Smoleńskiem i w innych miejscach ponad 22 tysiące polskich oficerów. Wielu Polaków ginie z rąk NKWD w smoleńskim więzieniu. Stalin morduje, ale winą obarcza się innych. Skąd my to znamy... Po wojnie prawda o sowieckim sprawstwie i winie za mord katyński jest zakazana, przemilczana, aż do momentu, gdy komunizm w Polsce zaczął chylić się ku upadkowi...

Czerwiec 1989 roku to początek drogi do niepodległości. Polacy są wierni swojej tradycji, są wierni prochom swoich bohaterów.

Mamy kwiecień 2010 roku, 600 lat po Grunwaldzie, 400 lat po Kłuszynie, 200 lat po wyprawie Polaków z Napoleonem na Moskwę, 70 lat po masakrze katyńskiej... Polacy – na czele z głową państwa śp. Prezydentem Lechem Kaczyńskim – chcą godnie uczcić pamięć pomordowanych w Katyniu. Samolot startuje... Nagle świat obiega tragiczna wiadomość: pod Smoleńskiem wszyscy zginęli.

Nigdy o tym nie zapomnimy, bo jeżeli zapomnimy, to kiedyś inni zapomną o nas.

Ale przecież padają pytania:

Jeżeli to była katastrofa, to dlaczego do niej doszło?

Jeżeli to zamach, to kto był jego sprawcą?

Te pytania musimy stawiać jeżeli chcemy być po stronie ofiar. Bo nic tak naprawdę nie zostało wyjaśnione. Ówczesne, pozostałe przy życiu władze Polski, nie wystąpiły o umiędzynarodowienie śledztwa. Premier Donald Tusk i pośpiesznie pełniący obowiązki prezydenta marszałek Bronisław Komorowski to historycy. Może pamiętali reakcję Stalina z 1943 roku, gdy rząd polski rezydujący w Londynie poprosił Międzynarodowy Czerwony Krzyż o śledztwo w sprawie katyńskiej – doprowadziło to do zerwania stosunków dyplomatycznych. Czy było to asekuranctwo czy tchórzostwo? – to oceni historia, ale nie tylko historia...

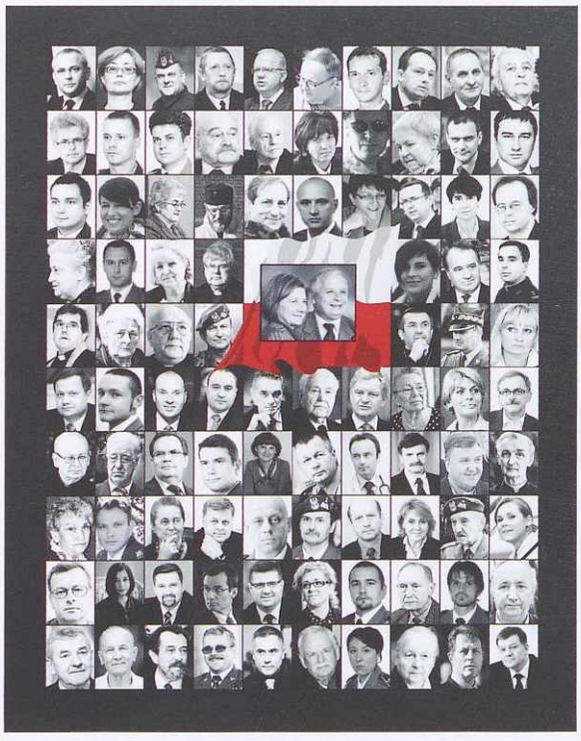

W dziejach Polski mieliśmy parę niewyjaśnionych zdarzeń lotniczych. Katastrofa w Gibraltarze. Dziś część historyków opowiada się mimo wszystko za wariantem zamachu, ale nie ma precyzyjnej odpowiedzi kto był mózgiem tej operacji. Wielu łączy to ze zbrodnią katyńską i dokumentami jakie na pokładzie samolotu premier i Wódz Naczelny Władysław Sikorski wiózł z Bliskiego Wschodu od żołnierzy 2 Korpusu gen. Andersa do Londynu. Nie pamiętamy, że na lotnisku w Gibraltarze stały obok siebie dwa samoloty: polskiego premiera i samolot ambasadora Związku Sowieckiego w Londynie Iwana Majskiego.

I drugie zdarzenie. Wiosną 1945 roku sowiecki generał Sierow przeprowadził operację porwania przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Samolot lecący do Moskwy uległ awarii i tylko dlatego, że zabrakło jednego spadochronu dla załogi rosyjskiej pilot awaryjnie wylądował na polu. Przez dwa miesiące Rosjanie zaprzeczali, że Polacy są w ich rękach, dopiero aby wymóc ustępstwa w negocjacjach z politykami „polskiego" Londynu, wytoczyli proces moskiewski szantażując Mikołajczyka, że jeżeli nie wejdzie do TRJN to zapadną wyroki śmierci.

Silniki TU 154M znajdują się przy ogonie samolotu. Każdy kto lata dzisiaj samolotami pasażerskimi wie, że jest to konstrukcja stara i większość samolotów ma silniki na skrzydłach co ułatwia dotarcie paliwa do nich. Nie trzeba tego paliwa przepompowywać wzdłuż samolotu, co przecież trwa. Od 2007 roku do dziś władze naszego państwa nie zdecydowały się rozstrzygnąć konkursu na zakup nowszych modeli samolotów.

Czarne skrzynki, wrak samolotu, w którym zginęła elita polskiego narodu ze śp. Prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego żoną nadal są w rękach rosyjskich. A przecież samolot prezydencki jest częścią polskiego terytorium, tak jak np. polskie statki. Rosja świadomie łamie prawo międzynarodowe w tym zakresie. Po zestrzeleniu malezyjskiego samolotu pasażerskiego nad Donbasem zwrócono jego szczątki właścicielom. No, ale tam nie dało się ukryć kto był sprawcą...

Bułhakow kiedyś napisał, że rękopisy nie płoną. Jako historyk wiem, że nawet najtajniejsze dokumenty są po jakimś czasie dostępne. A historia lubi się powtarzać. Tym bardziej, że coraz częściej różne ważne osoby z Rosji uciekają spod skrzydeł Putina, i często są to ludzie władzy.

Zrobiono wielką krzywdę polskim pilotom i ich rodzinom. Przy całej tej sprawie środowisko agentury rosyjskiej, szczególnie agentów wpływu, zostało w pełni uruchomione i z czasem będzie to coraz bardziej czytelne. Nawet Tomasz Arabski, szef kancelarii premiera Tuska, mówi obecnie o powszechnym bałaganie w instytucjach przygotowujących wizytę 10 kwietnia 2010 roku w Katyniu. Do opinii publicznej przenikały gry ambasady Rosji w Warszawie rozgrywające konflikt na linii: premier Tusk – prezydent Kaczyński. Przypominało to najgorsze okresy w naszej historii z XVIII wieku, kiedy podobnie zachowywał się tu ambasador carycy Katarzyny II – Michaił Repnin.

Pozostaje nadzieja, że Polacy zrozumieją gry i gierki toczące się wokół tej tragicznej sprawy i nie dadzą się nikomu podzielić, a szczególnie podzielić naszym wrogom.

Boże chroń Polskę!

HENRYK FALKOWSKI

Obiektywne badanie mediów

Byłem na konferencji zorganizowanej przez SDP na temat możliwości obiektywnego badania mediów. W konferencji uczestniczyli m. in. minister Krzysztof Czabański, naukowcy i dziennikarze*. Z ich wypowiedzi w zasadzie zrozumiałem tyle, że można zbadać, czy dane medium jest obiektywne czy nie. Otóż, moim zdaniem, w pełni na to pytanie odpowiedzieć nie można, a przynajmniej jest to bardzo, bardzo trudne.

Zawsze mam z tym kłopot, kiedy wypowiadam się w sprawie obiektywizmu, bo inny mam na tę sprawę pogląd jako dziennikarz, a inny jako naukowiec-medioznawca. Jako dziennikarz uważam, że powinniśmy – dziennikarze, reporterzy czy wydawcy serwisów informacyjnych – dążyć do obiektywizmu (rozumianego jako oddzielenie faktów od komentarza, neutralna i bezstronna postawa, wiarygodność źródeł, dosłowność cytatów, odpowiedzi na najważniejsze pytania itp.). Jako medioznawca uważam, że obiektywizm w sferze epistemologicznej jest niemożliwy, a co najwyżej możemy mówić o tzw. intersubiektywizmie.

Tak naprawdę, to nie tylko ja mam z tym problem. Problem mają najwybitniejsi medioznawcy i filozofowie. Steven Maras, który zebrał poglądy na temat obiektywizmu w książce *Ojectivity in Journalism* (Polity Press, 2013), wskazuje, że dotychczas nie udało się stworzyć powszechnie obowiązującej, zadowalającej wszystkich badaczy definicji obiektywizmu. Można przystać na definicję podaną przez Waltera Cronkite'a, że „Obiektywizm jest relacją o rzeczywistości, o faktach, w takim stopniu, w jakim mogą one być otrzymywane bez dodawania uprzedzeń i osobistych opinii". Ale i ona jest niejasna, bo co oznacza na przykład „relacja o faktach"? Które fakty są istotne dla sprawy, a które nie? Kto ma o tym decydować? Ponadto, fakty występują zawsze w pewnym kontekście. Jak szeroki jest ten kontekst – społecznie, geograficznie, historycznie itd. Czy to, od kogo o danej sprawie się dowiadujemy jest istotne? Oczywiście, że jest. Wobec tego, które źródła należy bezwzględnie wykorzystać, a które można pominąć? Czy *stand-upper* w wiadomościach telewizyjnych może być obiektywny? Teoria framingu pokazuje, że jest on subiektywnym komentarzem, a często ramą, przez którą daną wiadomość ma odczytać – zgodnie z intencjami nadawcy – jej odbiorca. Pisząc informację powinniśmy być bezstronni, neutralni, nie zajmować stanowiska. Ale czy język, którym się posługujemy, nie określa naszej postawy? Szklanka może być do połowy pełna lub do połowy pusta. Rząd w ciągu 100 dni zrealizował jedną obietnicę wyborczą, tylko dopiero jedną, czy już jedną? Takich przykładów użycia języka wartościującego w newsach można podać wiele (o koncepcjach i krytyce obiektywizmu pisałem na stronie sdp.pl (zob. old.sdp.pl/obiektywizm-teoria-i-praktyka)

Obiektywnie można zmierzyć siłę wiatru wiejącego z prędkością 100 km/h, obiektywny może być mój wzrost, waga, obiektywne będą wartości mierzalne. Ale jak zmierzyć obiektywność wiadomości dziennikarskiej (o publicystyce nie piszę, bo ona nie musi być obiektywna, czego wielu czytelników czy telewidzów zupełnie nie rozumie)? Czy skacząc na odległość 8 metrów 90 centymetrów Bob Beamon (na Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku w roku 1968; był to – jak pisano – skok w XXI wiek) osiągnął obiektywnie najlepszy rezultat na świecie? Pomogła mu wysokość, na której odbywały się zawody i rozrzedzone powietrze. A gdyby tak zastosować przelicznik, to o ile wydłużyła jego skok zmniejszona gęstość powietrza – jaki byłby jego rezultat w „normalnych warunkach"? Zauważmy, że dzisiaj w zawodach skoczków narciarskich stosuje się przeliczniki uwzględniające m. in. siłę i kierunek wiatru, a i tak mamy w wielu przypadkach poczucie, że warunki atmosferyczne „zaszkodziły" skoczkowi a punktowa buchalteria nie pomogła i zawodnik został skrzywdzony. Porównajmy jeszcze gimnastykę, skoki do wody, czy taniec, a okaże się, że w tych wszystkich dyscyplinach sędziowie mają trudności z obiektywną oceną. Jeżeli to dotyczy sportu, to na jakiej podstawie mielibyśmy obiektywnie ocenić tak niewymierną dziedzinę, jak wypowiedzi medialne, w tym szczególnie nas interesujące wiadomości? Możemy tylko skonstruować pewne modele badawcze, ze świadomością, że w pełni obiektywnej oceny nigdy nie sformułujemy.

No dobrze, ale czy to oznacza, że w ogóle nie powinniśmy „obiektywizować" wiadomości? Otóż wcale tak nie uważam, mimo, że jestem świadom pewnej ułomności i mityczności pojęcia obiektywizmu. Można dla potrzeb porównawczych stworzyć pewien wzorzec, dowolnie nazwany obiektywizmem, rzetelnością, wiarygodnością czy po prostu wzorcem informacji dziennikarskiej. Później, odnosząc taki wzorzec do konkretnych newsów możemy określić, który z nich w mniejszym czy większym stopniu spełniał owe kryteria rzetelnego/wiarygodnego/obiektywnego newsa, a który tych kryteriów w ogóle nie spełniał.

Mamy na przykład model obiektywizmu sformułowany przez Westerstahla (opisałem go w: *Obiektywizm dziennikarski a dziennikarstwo śledcze. Analiza typologiczna* [w:] *O dziennikarstwie śledczym. Normy, zagrożenia, perspektywy*, praca zbiorowa pod red. Marka Palczewskiego i Moniki Worsowicz, Łódź 2009, s. 65-84). Pozwala on analizować newsy pod kątem obiektywizmu. Ale ma on wiele luk, bo jak na przykład stwierdzić jednoznacznie, czy informacja była w 100 procentach prawdziwa, albo czy reporter zachował równowagę pomiędzy cytowanymi opiniami? Co więcej, samo cytowanie sprzecznych opinii, którą to metodę zaleca amerykańska socjolożka G. Tuchman, nie gwarantuje, że w ten sposób otrzymujemy „prawdziwy" przekaz. Łatwo to wykazać, uświadamiając sobie, że możemy mieć np. do czynienia ze skrajnymi wypowiedziami na temat kształtu Ziemi: jeden z rozmówców stwierdza, że Ziemia jest płaska, a drugi, że jest kulą. Który ma rację? W tym przypadku powinniśmy skorygować obie odpowiedzi, bo Ziemia ma kształt geoidy. Dziennikarz informacyjny, pragnący zachować neutralność w przedstawianiu cytowanych wypowiedzi, rozminie się ww. przypadku z prawdą o rzeczywistości, prezentując oba fałszywe poglądy.

Inna wątpliwość: nakaz zachowania prezentacji różnorodnych poglądów nie mówi wprost, ile wypowiedzi powinniśmy zacytować. Jeśli pytamy o 100 dni rządu, to czy wystarczy zapytać przedstawicieli rządu, PiS, PO, Nowoczesnej, Kukiz'15, PSL? Czy należy o to pytać również, w krótkim materiale informacyjnym, przedstawicieli partii Razem, Korwin, SLD? Czy również ekspertów, naukowców i zwykłych ludzi? W modelu Westerstahla pojawiają się pytania dotyczące

możliwości zbadania wiarygodności źródeł (czasami nad wiarygodnością dokumentów uczeni zastanawiają się przez wiele lat) czy ważności danej informacji dla odbiorcy (to, że jest ona np. na pierwszym miejscu serwisu informacyjnego wcale nie musi oznaczać, że jest ona najważniejsza dla widzów czy słuchaczy). I tutaj też nie zawsze istnieją proste odpowiedzi. Niektórzy uważają, że przed subiektywizmem chroni dziennikarza stosowanie modelu odwróconej piramidy (najważniejsze informacje na początku) i użycie konstrukcji „5 w i 1 h" (*who, what, when, where, why, how*). Krytycy powiedzą, że nie zawsze możemy odpowiedzieć na pytanie „kto?" (np. nie wiemy, kto podpalił budynek, kto wydał rozkaz, itp.), a pytanie „dlaczego?" nie powinno być w ogóle przedmiotem informacji, bo jest próbą interpretacji wydarzenia, czyli stanowi publicystyczny komponent newsa.

Czy zatem stoimy, jako naukowcy próbujący opisać wartość przekazywanych wiadomości, na straconej pozycji? Myślę, że nie, ale powinniśmy jednak wyzbyć się przekonania, że badamy jakiś istniejący niezależnie od nas „obiektywizm" informacji. Nie. Badamy po prostu to, co sami uznamy za model obiektywizmu. A model numer jeden może różnić się od modelu numer dwa. Dlatego za właściwe uznałbym powołanie takiej instytucji (np. Instytutu Medialnego), złożonej z medioznawców i dziennikarzy, która wypracuje odpowiednią metodologię badania informacji dziennikarskich, i która zyska akceptację obu tych środowisk. Taki Instytut mógłby być utrzymywany z wpływów finansowych od organizacji zainteresowanych jego powołaniem i przyszłą działalnością.

Wracając do samego badania newsów i serwisów informacyjnych, to wydaje mi się, że badania ilościowe zawartości mediów nie nastręczałyby kłopotów. Problemy mogą pojawić się na poziomie ich interpretacji. Ale to już pieśń przyszłości.

MAREK PALCZEWSKI

PS. Dziękuję Pani redaktor Teresie Bochwic i Panu redaktorowi Michałowi Orzechowskiemu za zorganizowanie Konferencji, która zainspirowała mnie do tej wypowiedzi. MP

* Konferencja naukowo-medialna „Jaka rada na media?" w Domu Dziennikarza na Foksal, 23 lutego 2016. Organizator: SDP – red. Teresa Bochwic i red. Marek Orzechowski. Uczestnicy: Krzysztof Czabański – wiceminister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, dr hab. T. Kononiuk – UW, dr T. Gackowski – UW, dr M. Kochan – medioznawca, A. Meler – Centrum Monitorowania Dyskursu Publicznego UMK.

Media w jasyrze polityki

Polityka jest zgubna dla mediów. Powoli, ale systematycznie powoduje degenerację tych mediów, które dla osiągnięcia celów politycznych, rezygnują ze swoich powinności, rzetelnego informowania opinii publicznej o najważniejszych wydarzeniach życia społecznego i politycznego.

Wiemy jednak dobrze, że nie tylko te dwa wymienione obszary ludzkiej egzystencji wzajemnie się przenikają. Dodać przecież możemy świat gospodarki, kultury, a nawet sportu. Niedawne to lata, kiedy sport był fragmentem ekspansji politycznej z ukrywaną na drugim planie intencją dominacji nad innymi państwami. Zbyt silne angażowanie się w spory i konflikty polityczne, które są solą polityki, prowadzi do upadku mediów. Przestają one być wiarygodnym źródłem informacji. Prowadzi to do powolnego odpływu odbiorców do innego medium, które staje się dla nich autorytetem, a pierwsze w sposób nie zauważalny dla wielu dawnych odbiorców, znika z rynku. Jeśli chodzi o polskie media, jesteśmy na początku drogi, w których część mediów tak fanatycznie przywiązana jest do poprzedniej władzy, że z premedytacją podaje fałszywe informacje, których zadaniem jest zdyskredytowanie konkurencji. Akurat w tym przypadku, media te stawiają sobie za cel nie tylko zniechęcenie Polaków do obecnej władzy wybranej w wolnych demokratycznych wyborach jesienią 2015 roku, lecz do jej możliwie najszybszego obalenia.

W ostatnim tygodniu marca nastąpiła nieprawdopodobna wręcz kumulacja takich fałszywych wiadomości. Wszystkie one sposób mniej lub bardziej widoczny wiązały się z wizytą Andrzeja Dudy w USA podczas kwietniowego szczytu nuklearnego. Wiadomości te doczekały się już wielu publikacji, toteż przypomnę je jedynie w skrócie. Pierwsza wiadomość, która miała świadczyć o niechęci Obamy do Dudy – czytaj polityki amerykańskiej do Polski – to ta, że Obama nie spotka się z Dudą w osobnej rozmowie. Duda też nie został zaproszony na uroczystą kolację wydaną przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na kolację zaproszony natomiast został Donald Tusk i to były premier będzie rozmawiał z prezydentem Ameryki – mówiła druga wiadomość, mająca na celu „dobicie" Andrzeja Dudy. Jeszcze większy ciężar gatunkowy miała wiadomość trzecia. Według niej Mateusz Kijowski, lider KOD, został zaproszony przez Kongres amerykański, aby tam w obecności senatorów zdać relację ze strasznych rzeczy, jakie mają miejsce pod rządami PiS i lidera tej partii Jarosława Kaczyńskiego. W zapowiedziach klęski Andrzeja Dudy i triumfu Mateusza Kijowskiego przodowały miłośnicy Platformy, Nowoczesnej i oczywiście KOD – „Gazeta Wyborcza" i tygodnik „Newsweek".

Żadna z tych prognoz nie potwierdziła się. Obama spotkał się Dudą i rozmawiał z naszym prezydentem w cztery oczy. O spotkaniu Kijowskiego z Kongresem nikt nie słyszał, podobnie jak o obecności Donalda Tuska na kolacji wydanej przez Obamę dla specjalnych gości.

Jaka jest więc przyczyna takiej kumulacji fałszywych wiadomości. Część komentatorów uznała, że media te same się ośmieszyły, podając tak idiotyczne przewidywania w postaci pewników. Mówi to przede wszystkim o ich ignorancji i nierzetelności.

Dla mnie w tym publicznym rozgłaszaniu fałszywych informacji nie ma żadnego przypadku. Media te całkowicie świadomie przestały pełnić swoją powinność. Przyjęły na siebie rolę agencji uprawiającej marketing polityczny wedle reguł „czarnego pijaru". Stosując go korzystają ze wszystkich chwytów, w tym także fałszywych. Ważne tylko, żeby pijar ten obudować prawdziwymi kontekstami, które sprawią, że fałszywe wiadomości mają walor wiarygodności. To one zgodnie z intencjami ich twórców tworzą obraz przedstawianych osób, zdarzeń i instytucji. One też zapadają w pamięć odbiorców. I tylko niewielki procent tych, którzy ten wykreowany czarnym pijarem świat przyjęli za prawdziwy, gotowi są zmienić swoje wyobrażenia i przekonania pod wpływem nowych informacji.

Jest mi smutno, gdy na to patrzę. Bo widzę jak media stają się narzędziem polityki.

JERZY JACHOWICZ

Nadzieja dla TVP

Czy polska klasa polityczna dojrzała do prawdziwej telewizji publicznej? Dzieli nas od niej tylko pięć kroków.

Trzeba podjąć decyzję, że:
1. Telewizja Polska ma zająć się publicznym oświeceniem,
2. Nie jest ważna ilość widzów telewizji publicznej ale jakość,
3. Rada Nadzorcza TVP wydając decyzję o zmianie celów Telewizji Polskiej na misyjne godzi się ze spadkiem oglądalności,
4. Zarząd TVP przeprowadza stosowne zmiany programowe,
5. Zapewnia się ściągalność abonamentu lub inne finansowanie.

Parę lat temu napisałem w „Rzeczpospolitej" artykuł na ten temat, gdy prezes Bronisław Wildstein okazał się tak niekonwencjonalny, żeby mi zaproponować szefa TVP2. Szefem nie zostałem, ale z przemyśleń wyszedł mi artykuł. Moje obawy sprawdziły się. Nawet intelektualista Wildstein nie oparł się komercji, kiedy minął pierwszy entuzjazm. Taka jest siła logiki spółki prawa handlowego, jaką jest TVP na nasze nieszczęście.

Skrót tekstu wklejam poniżej, bo ileż można mleć ozorem na ten sam temat:

Reforma programu

Po 1989 roku TVP stała się bękartem komuny i rynku. Na korpusie aparatu totalitarnej propagandy wyrósł czerep rubaszny pełen reklam. Zamiast dbać o abonament, TVP SA zaczęła się prostytuować dla zarobku i poszło... Czy ta nazwa nie zobowiązuje? Oddajcie słowo Polska albo weźcie się do pracy intelektualnej dla kraju.

TVP wymaga strukturalnej reformy programu. Niech kanał Pierwszy będzie dostępny dla najprostszego widza, łącząc popularne formy informacji, publicystyki oraz rozrywki. Masowy widz nie rozumie wielu rzeczy. Trzeba zwracać się do niego prostym językiem i podawać informacje oczywiste dla lepiej wykształconych. Ale oczywistości i przesadna prostota odstręczają publiczność na wyższym poziomie. Dlatego kanał Drugi powinien być dla widzów lepiej rozwiniętych umysłowo, czyli dla: 1. inteligencji, 2. inteligentnej klasy średniej, 3. aspirujących do takiego statusu. Inteligent to nauczyciel. Inteligentna klasa średnia to oświecony przedsiębiorca; zarabia lepiej od nauczyciela a ulega pokusie egoizmu, bo kto lubi dzielić się bogactwem. W PRL zniknęły wzorce bogatego obywatela, który troszczy się o innych i jest patronem kultury.

Z takich ludzi trzeba lepić elitę Polaków, by naprawić skutki terroru okupacji, komuny, masowej emigracji niepokornych stanu wojennego i ślepej dzisiaj pogoni za pieniądzem. To jest warstwa społeczna, która powinna mieć poczucie odpowiedzialności za państwo i kulturę. Dla dobra wspólnego musi mieć swoje forum w Dwójce. Zaś kanał Trzeci niech będzie informacyjną konkurencją dla TVN24 i telewizją regionalną.

Pamiętacie Kabaret Starszych Panów Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego? Był szkołą dla inteligentów i szczytem kultury telewizyjnej w PRL. Ale oglądany dziś uderza tonem łagodnej rezygnacji, jaką przyjął inteligent wobec totalitarnego państwa. Niby to ulegał niemocy starszego wieku, kiedy chodziło o niemoc społeczną i polityczną. Starsi Panowie skupili się na ratowaniu formy człowieka wykształconego („Mambo Spinoza"), który zachowuje dystans do świata („Piosenka jest dobra na wszystko") oraz traktuje z rozbrajającą wrogów ironią swoją rolę obrońcy wyższych wartości kulturalnych wobec barbarzyńców.

Postawa Starszych Panów jest dziś do przyjęcia za wyjątkiem łagodnej rezygnacji; nie ma ku niej powodu w wolnej Polsce. Natomiast wykształcenie, dystans wobec zjawisk, na które nie mamy wpływu, i autoironia, życzliwość nawet wobec barbarzyńcy to cnoty tradycyjnej inteligencji oraz klasy średniej. Nie tylko łagodzą skutki wyścigu szczurów. Należą także do klasycznych cech elity społecznej. Tak po prostu zachowuje się człowiek rozumny.

Tymczasem Polska krwawi. Wyjeżdżają najlepsi i najbystrzejsi – za chlebem, lecz także za szerszym oddechem. Uciekają od biedy, ale również skarlenia na prowincji Europy, od naszej klasy politycznej, od prostactwa. Gombrowicz orzekł: „Na Polakach najbardziej odcisnęła się epoka saska; naród jest ciemny, chamski, zadzierzysty". Trzeba więc ciągle odtwarzać zanikającą elitę społeczną. Służy temu oświata, zaś telewizja jest – po szkole – wychowawcą o najszerszym zasięgu. Może ukazywać Polskę jako zadanie dla obywateli. Nie gódźmy się na dyktaturę ciemniaków. Po epoce saskiej niechaj przyjdzie Oświecenie. Potrzeba nam nowego Hugona Kołłątaja, krzewiciela kultury rozumu na saskim ugorze.

Zmiana kursu TVP

Zawracanie tankowca w pełnym biegu na morzu trwa 24 godziny. Zawracanie TVP z błędnego kursu musi odbywać się z ramówki na ramówkę. Potrwa nawet dwa lata. W tym celu można wykorzystać Dwójkę. Ale ostrzegam przed losem telewizji Arte, która wyrobiła sobie opinię tak elitarnej, że masowa widownia nie ogląda w niej też filmów bardzo kasowych. Stopniowe podnoszenie poziomu przekona telewidzów, że wysiłek umysłu nie jest taki trudny. TVP2 może pozyskać dla wyższej kultury ludzi, którzy nie przyszliby do programu założonego od nowa, jak się stało z TVP Kultura.

Widz widzowi nierówny. Ważne, co zrobi z energią duchową, jaką otrzyma w telewizji, i komu przekaże dalej. Lekarz i nauczyciel mają wpływ umysłowy na setki ludzi, ksiądz na tysiące, pisarz na dziesiątki tysięcy czytelników, a reżyser filmowy na setki tysięcy. Jeden widz dobrej Dwójki jest wart dla życia zbiorowego tyle, ile setki a czasem tysiące innych, źle wykształconych i źle poinformowanych, ospałych umysłowo telewidzów.

Wątpię jednak, by Zarząd Telewizji Polskiej odepchnął dużą część widowni do stacji prywatnych. Proponuję więc rozłożyć reformę programową na etapy. Będzie dość czasu, żeby poprzesuwać publiczność między kanałami; to zależy od koordynacji pracy anten i dobrej promocji zmian. Niech kanał informacyjno-regionalny TVP3 uwalnia Jedynkę od części zadań informacyjno-publicystycznych. TVP1 może wtedy zmieniać profil, aby przejąć część widzów Dwójki, szukających popularnej rozrywki. Aż Dwójka stanie się czym powinna – klejnotem Telewizji Polskiej.

Herbert patronem TVP2

Niech nadejdzie czas, gdy można będzie patronem Dwójki ogłosić – ni mniej,

ni więcej – Zbigniewa Herberta. Stawianie tego poety przed oczami naszej klasie średniej, nawet tej inteligentnej, wydaje się szaleństwem. Dla wielu biznesmenów świat zaiste wygląda jak rzeźnia o poranku. Cnota, która przez zaciśnięte usta mówi wielkie nie, nie cnotą jest dla nich, lecz głupotą. Jednak pamiętajmy, że ikony kultury pełnią różne role. Dla części ludzi są wzorem do naśladowania wprost. Innym dopełniają własną małość i grają rolę terapeutyczną. Widać to wyraźnie w wypadku ikon religijnych. Między ikoną a wiernym jest przepaść, a przecież daje pociechę i nadaje kierunek życiu. Herbert pasuje więc na patrona elity Polaków w Unii Europejskiej. Ten poeta sceptyk metafizyczny, obywatel Europy, głosiciel obowiązku. I nadaje się na patrona odrodzonej Dwójki.

Słowa Herberta do młodych aktorów o zadaniach artysty, dotyczą każdego pracownika kultury: Chcemy zmusić naszych bliźnich do refleksji nad własnym losem, do trudnej miłości, jaką winni jesteśmy sprawom wielkim, także pogardy dla tych wszystkich, którzy z uporem godnym lepszej sprawy starają się człowieka pomniejszyć i odebrać mu godność... Bądźcie w każdej chwili, w każdym wypowiedzianym ze sceny słowie po stronie wartości, za pięknem w rzemiośle, przeciw tandecie, za nieustającym wysiłkiem woli i umysłu. Przeciw łatwej manierze, za prawdą przeciw obłudzie, kłamstwu i przemocy. I nie bądźcie na litość boską nowocześni. Bądźcie rzetelni. Hodujcie w sobie odwagę i skromność... Życzę wam trudnego życia, tylko takie godne jest artysty.

To dobre motto dla pracownika prawdziwej telewizji publicznej. I nie ma także lepszej dyrektywy dla szefa inteligentnego programu, jeśli ujrzy na Woronicza światło rozumu.

W TVP toczy się bój o ducha naszej kultury. Telewizja Polska ma dźwigać umysłowo obywateli tego kraju i umacniać elitę. Dlatego nie może utrzymywać się z reklam. Hojne finansowanie musi zapewnić ustawą partia rządząca, skoro pragnie zachować państwo narodowe.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

Przywrócić odwagę

Zdominowanie mediów w Polsce przez pseudo dziennikarstwo, zajmujące się nieustannym manipulowaniem informacją, czy też doprowadzenie niektórych mediów do nędznego stanu organizacyjnego i finansowego, to nie największy problem. Większym jest to, co zrobiono z dziennikarską odwagą i godnością.

Manipulatorów można usunąć z redakcji w jeden dzień. Sprawną organizację i poprawę finansów można przywrócić w kilka tygodni lub miesięcy, ale czy uda się w tak krótkim czasie przywrócić dziennikarską odwagę?

Przez ostatnie lata dziennikarze tracili pewność, że ktokolwiek stanie w ich obronie w przypadku opublikowania ostrego materiału, który groził procesem. Mówię tutaj głównie o materiałach śledczych i politycznych, bowiem zemsta bohaterów takich produkcji była zawsze niemalże pewna.

Pamiętamy o przypadkach, w których dziennikarzy mordowano. Do dzisiaj nie wyjaśniono tych spraw. Częściej jednak dziennikarze poddawani byli presji, która miała wzbudzić u nich lęk. Pomijam przypadki, gdy autorowi groził jakiś gangster z przestępczego półświatka, czy też inny ze świata polityki. Najczęstszymi przypadkami budzenia lęku, były te wewnątrzredakcyjne.

Wydawca lub redaktor naczelny wstrzymywał materiał, który poparty był dowodami, tylko dlatego, że dotyczył on jakiegoś znanego polityka lub afery gospodarczej, w której pojawiały się popularne przecież nazwiska. To grozi procesem – słyszał autor – nikt ciebie nie będzie bronił. Jeśli dziennikarz się oburzał, że nie na tym polega jego zawód, to słyszał, że na jego miejsce jest dziesięciu chętnych. Nawet, jeśli udało się opublikować jakiś materiał w Internecie poza redakcją, to redaktor naczelny interweniował, aby tekst usunąć – bo przecież kojarzony jest z redakcją.

Ci bardziej odważni dziennikarze i wydawcy – bez nich publikacja czy emisja nie byłaby możliwa – w przypadku wytoczenia procesu tracili pracę, jeszcze przed zakończeniem postępowania sądowego. Takie przypadki dawały innym jasny sygnał – nie wychylaj się! Milcz, nawet gdy masz w ręku dowody największych świństw jakich dopuścili się co niektórzy politycy, samorządowcy czy przedsiębiorcy. Ten stan pogłębiał tylko lęk i łamał dziennikarską godność. Szczególnie tam, gdzie środowisko dziennikarskie było słabsze, gdzie brak też alternatywy zatrudnienia w branży – czyli najczęściej w pozastołecznych regionach. W nich też mocniejsza jest miejscowa oligarchia, która nie przebacza tym, którzy w mediach pokazują prawdę. Tym bardziej, że te media najczęściej w ten czy inny sposób kontrolują. Więc gdy zdarzy się przez przypadek taki „afront", to autor albo żegna się z pracą, albo z możliwością publikowania większości swoich materiałów. Czasem cichcem wprowadzi się dla takiego „rozrabiającego dziennikarza" zakaz zatrudniania na terenie regionu. Wszak to oni nierzadko kontrolują różne agencje i urzędy.

Stany lękowe dziennikarzy, poza nielicznymi przypadkami, osiągnęły apogeum. Czas na zmiany. Czas na przywracanie dziennikarskiej odwagi i godności. Czas, aby dziennikarze zaczęli głośno mówić o sytuacji swojej redakcji, o wydawcach i redaktorach naczelnych, którzy stosując presję czy wręcz mobbing ograniczali swobodę dziennikarską. A przede wszystkim najwyższy czas, aby wreszcie ktoś się ujął za tymi, którzy żyją prawdą.

ANDRZEJ KLIMCZAK

SDP
Najnowsze informacje, rozmowy dnia, felietony, opinie, analizy, blogi dziennikarzy...
na stronie internetowej
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
www.sdp.pl
zapraszamy

Dlaczego potrzebny nam jest instytut medialny?

Nawet stare demokracje jak Wielka Brytania – które mają monitoring i kontrolę mediów wpisane w system – dorobiły się takich dodatkowych instytucji jak OFCOM (The Office of Communications). A przecież prasa i media elektroniczne są tam upominane przez parlament, organizacje pozarządowe, jednostkowych obywateli oraz, tak, same media.

Przypomnijmy, że skandal hakerski w imperium prasowym Ruperta Murdocha został ujawniony i nagłośniony przez „Guardiana", a Jonathan Ross i Russell Brand, bohaterowie *„fuck culture affair"* wymieceni z BBC Radio 2 przez falę protestów słuchaczy tego programu. A za zamknięciem murdochowskiego „News of the World" oraz pozbyciem się Rossa i Branda głosowały i lewicowo-liberalny „Guardian", i konserwatywny „Daily Telegraph", bo chodziło tu o oczyszczenie całego systemu.

Jeśli w państwie, gdzie obecne są instytucje uprawnione do monitoringu mediów, powołuje się dodatkowe jak OFCOM, to cóż dopiero w takim kraju jak Polska, gdzie porządek demokratyczny dopiero się rodzi, organizacje pozarządowe są jeszcze słabe, pluralizm mediów w stosunku 50 do 50, to odległa przyszłość, a obywatele nie bardzo zdają sobie sprawę, że są w stanie cokolwiek zmieniać. No i ta nikła wiedza o wspólnym dla społeczeństwa oraz władzy kodzie wartości – prawda jako jedyne kryterium oceny, uczciwość, odpowiedzialność, nadrzędność interesu społecznego, racji stanu – na podstawie którego można wpadki mediów oceniać i osądzać.

Od 1945 roku w polskiej polityce oraz mediach żaden „kod etyczny" nie istniał, najpierw rugowany przez „etykę socjalistyczną/ludową", potem relatywizm moralny, a ostatnie osiem lat poczyniło w tej sferze prawdziwe spustoszenia. Mainstream przekonywał, że w mediach „nie ma jednej prawdy", że „prawda jest relatywna", i w dodatku mają na ten relatywizm patent. Z kolei dziennikarstwo niezależne zarzucało mainstreamowi manipulowanie opinią publiczną, deptanie standardów dziennikarskich, antyegalitaryzm, wywoływanie niepokojów społecznych, nakręcanie spirali nienawiści i prowokowanie do przestępstwa. Słowem, to było dla polskich mediów bardzo niedobrych osiem lat. Wydaje się, że dziś, w sytuacji „po potopie", podobna instytucja jak OFCOM – organ państwowy? obywatelski? mieszany? monitorujący nasz rynek medialny – może stać się artykułem potrzebnym od zaraz.

W Polsce mamy kilka instytucji, powołanych z myślą o monitoringu i kontroli rynku medialnego. Jednym z nich jest Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Ma ona jednak bardzo poważne wady, uniemożliwiające jej skuteczne pełnienie statutowych ról. Po pierwsze – członkowie KRRiTV wybierani są z partyjnego klucza – przez prezydentów oraz parlament – więc traktowana jest przez ugrupowania partyjne jako rodzaj „łupu politycznego", co oczywiście dyskwalifikuje ją jako organ niezależny i społecznie

Dziennikarzu! Najpierw znajdź kod dostępu!

Studia dziennikarskie to oszustwo. Wyciąganie kasy z państwa i od studentów. Beneficjentami są dziennikarze-wykładowcy. Tylko oni mają pracę – napisał na Twitterze Jacek Naliwajek z Radia Gdańsk.

A mnie nasuwa się pytanie: kogo trzeba znać, żeby w ogóle odpowiedział, że pracy dla ciebie nie ma?

Ciężkie jest życie freelancera bez znajomości. Sprzedanie materiału graniczy dziś z cudem. Redakcje w Polsce pilnie strzegą wrót do swoich wierszówek. Byle kto tam się nie przeciśnie. Byle kto nie dowie się nawet, że nie ma na jego pracę zapotrzebowania. Ba! Nawet nie usłyszy: pocałuj mnie babo w de!

Dlaczego?

Bo strony większości mediów wyglądają dziś, jak strony CIA: dużo treści, za to kontakt do pracowników mocno ograniczony. O ile jestem w stanie pojąć politykę CIA, to w przypadku tygodnika czy codziennego portalu i gazety nie jestem w stanie tego zrozumieć. Mogłoby się wydawać, że w dziennikarstwie kontakt z człowiekiem, np. z czytelnikiem, jest kluczowy. Widać jestem w błędzie. Chyba że kontakt z czytelnikiem jest, tylko z dziennikarzem nie ma. I tak na kilkanaście wysłanych do mediów

użyteczny. A jej mocno niewystarczający budżet nie pozwala na stałe i konsekwentne monitorowanie wszystkich stacji telewizyjnych i rozgłośni radiowych, publicznych i komercyjnych oraz regularna kontrolę zgodności z Prawem prasowym, Kodeksem Etyki Dziennikarskiej SDP etc. Mamy także ośrodki uniwersyteckie, Instytut Badań Prasoznawczych UJ czy Instytut Dziennikarstwa UW, ale ich badania nie mają ani charakteru stałego, ani kompleksowego, brak stałej współpracy z instytucjami publicznymi czy agendami rządowymi, a więc ich praca nie może spełniać kryteriów Instytutu Mediów, o który nam tutaj chodzi.

Stąd konieczność powołania w Polsce – śladem Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i innych państw demokratycznych – Instytutu Mediów, który by w sposób ponadpolityczny, kompleksowy i kompetentny monitorował i kontrolował nasz rynek, pilnowałby nie tylko ładu i porządku medialnego, a także standardów dziennikarskich, zawartych w Wielkiej Brytanii w „*media code*", a u nas w bardzo podobnych paragrafach Kodeksu Etyki Dziennikarskiej.

A więc na początek, co to takiego OFCOM? Office of Communications, to organizacja, powołana przez Office of Communications Act 2002, organ „*government approved*", czyli „z inspiracji i akceptacji rządu", nadzorujący i kontrolujący brytyjski rynek mediów i telekomunikacji. I w tym miejscu rozpoczynamy i kończymy zainteresowanie się tym drugim członem kompetencyjnym, czyli usługami i skargami telefonicznymi i pocztowymi. Statutowym obowiązkiem OFCOM-u jest reprezentowanie interesu obywateli poprzez promowanie konkurencji oraz ochronę społeczeństwa przed treściami szkodliwymi lub ofensywnymi. Główne pola aktywności wynikają z aktu założycielskiego z 2002 roku i przewidują: kształtowanie polityki i dalekosiężnej strategii rynku medialnego, badanie stanu mediów, ochronę odbiorców przed szkodliwym działaniem mediów oraz osób fizycznych i prawnych przed nieuczciwym potraktowaniem w programach telewizyjnych i radiowych, odpowiadanie na skargi i zażalenia.

Dbałość o przestrzeganie standardów jakości i przyzwoitości w mediach, o dobrą kondycję ekonomiczną mediów elektronicznych, z typową dla tej instytucji minimalną ingerencją regulatora oraz naciskiem na samokontrolę nadawcy. Jest finansowany z funduszów płynących z regulacji rynku mediów elektronicznych oraz granty od brytyjskiego rządu.

Utworzenie OFCOM zostało zaanonsowane w przemówieniu Elżbiety II w parlamencie w czerwcu 2001 roku. W rok później instytucja została powołana do życia aktem założycielskim Office of Communication Act 2002, a w 2003 roku OFCOM przejął kompetencje pięciu istniejących przedtem urzędów i zaczął działać. Przestały zatem istnieć: Broadcasting Standards Commission, Independent Television Commission, Office of Telecommunications, Radio Authority i Radiocommunications Agency.

Dziś OFCOM ma potężne kompetencje i wypowiada się przy okazji każdego medialnego skandalu – co nie znaczy, że nie jest notorycznie krytykowany. Niedawno natknęłam się na artykuł pt. „Czy to prawda, że OFCOM owszem, często szczeka, ale nigdy nie gryzie?", a więc jest głośny, lecz mało skuteczny. Jednak wydaje się to – przynajmniej z polskiej perspektywy – zwykłym czepialstwem. Poczuła to na swojej skórze MTV, kiedy niedawno została ukarana 235 tys. funtów za program „zawierający bardzo ofensywny język oraz materiały". W 2008 roku komercyjna ITV musiała zapłacić 5,675 mln funtów za zbyt często korzystanie w popularnych programach z drogich linii telefonicznych. BBC została ukarana 400 tys. funtów za „złamanie stałych zasad obowiązujących audycje konkursowe z udziałem publiczności" oraz kolejnych kilkaset tysięcy w związku z łamaniem standardów w wymienionej na początku „Ross – Brandgate".

Ostatnie badania opinii publicznej w Wielkiej Brytanii pokazały, że w ubiegłym roku jeden na pięciu odbiorców znalazł w programach telewizyjnych coś ofensywnego. Najczęstszą przyczyną skarg jest ofensywny, wulgarny język, przemoc oraz seks. Ale także obraza uczuć religijnych – zwykle chodzi o protest brytyjskich chrześcijan przeciw nietolerancji religijnej liberalnej lewicy, do której „należy" BBC, postkomunistyczny Channel 4, ale także komercyjna ITV.

Już z tej perspektywy dokonań widać, jak daleka przed nami droga. Ale „każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku", i dla nas tym pierwszym krokiem mogłoby być powołanie Instytutu medialnego, „polskiego OFCOM-u".

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

w Polsce e-maili dostaję tylko dwie odpowiedzi. Odpisuje mi Sylwester Latkowski z Kulisy24.com oraz Ewa Ablewicz-Rzeczkowska z IAR. Pani Ablewicz-Rzeczkowska dzwoni nawet do mnie wyjaśniając, jak wygląda u nich sytuacja z zatrudnieniem. Pan Latkowski znajduje czas na spotkanie i rozmowę.

Reszta nie raczy zareagować wcale. W końcu modne w Polsce od lat: „skontaktujemy się tylko z wybranymi osobami" usprawiedliwia wszystko.

Zajadły dziennikarz-freelancer nie odpuszcza jednak tak łatwo. W dobie Internetu znalezienie kogoś na Facebooku nie powinno być w sumie problemem. Szczególnie, jeśli jest to redaktor naczelny konkretnego medium.

I tak na trzech redaktorów naczelnych, do których nie ma szans się dodzwonić przez telefon podany na stronie medium i „dopisać" na redakcyjnego e-maila – na prośbę o kontakt wysłany na Facebooka odpisuje tylko jeden – Bartosz Węglarczyk. Dwóch pozostałych wiadomości nie widzi. Nie ma jednak powodów do zmartwień. Żyją! Regularnie publikują na łamach gazet, dla których pracują.

Żyje też pan z biura ogłoszeń i reklamy; on jeden biedny nie może zignorować telefonu. W końcu jest źródłem pieniędzy dla swojego pracodawcy. Bo jeśli to właśnie dzwoni reklamodawca? Dzwonię jednak ja, więc pan nie może mi pomóc. Nie ma żadnych telefonów do redakcji. Jak współpracuje z redakcją? Nie współpracuje. Aha.

Pozostaje numer telefonu do kontaktu z czytelnikami. Komórkowy. Również zaklęty w sokoła. Niejaki pan Paweł, wyznaczony na stronie do tegoż kontaktu, nie odbiera telefonu i nie oddzwania.

Postawiam sprawdzić, jak to wygląda u naszych sąsiadów. Wysyłam propozycje współpracy do redakcji niemieckojęzycznych. Jeszcze tego samego dnia dostaję odpowiedź od niejakiej Pauli z taz.de. Następnego dnia odpisuje też Meike Stapf ze „Spiegla", który informuje mnie, że przekazuje mojego e-maila do działu „Polityka". Na przekazaną przez niego korespondencję odpisuje mi Nadja Behrens; kontaktuje się ze mną także Walter Asperl z unzensuriert.at. Można? Można. Ale nie w Polsce. Tu pracę rzeczywiście mają chyba tylko dziennikarze wykładowcy i nieliczni wybrańcy znający kod dostępu do drzwi. Można też zadzwonić – zbyrcokiem. Na święta wielkanocne – dla owcy i barana – jak znalazł.

IZA MAŁKOWSKA

Odcinanie symbolu wolności

Władze Sejmu i Senatu chcą jeszcze bardziej ograniczyć dostęp dziennikarzy do parlamentarzystów i przenieść ich do pomieszczeń Straży Marszałkowskiej, naprzeciw wejścia głównego. Od połowy stycznia dziennikarze, fotoreporterzy i operatorzy nie mogą już wchodzić do wąskiego korytarza otaczającego salę plenarną, ani czatować przed drzwiami marszałków.

Beata Mazurek, rzeczniczka prasowa klubu PiS tłumaczy to tak: „Prawdą jest, że czasami trudno przejść obok państwa w parlamencie. Ale prawdą jest również to, że czasami przejście obok państwa jest prawdziwą przyjemnością". Dziennikarze solidarnie krytykują kolejne, planowane obostrzenia.

Jacek Czarnecki, Radio ZET:

Restrykcje wobec dziennikarzy w Sejmie rozpoczął marszałek Ludwik Dorn, pogłębił je Bronisław Komorowski. Zaczęło się od zamknięcia nam dostępu do Nowego Domu Poselskiego. Teraz ograniczenia są kontynuowane: zamknięto nam kuluary. Z tych regulacji posłowie potrafią się jeszcze wytłumaczyć, wyjaśnić, dlaczego to robią, ale zapowiedzi, że chcą nas zepchnąć do bocznego korytarza na parterze Sejmu nie dadzą się obronić.

To jest próba odebrania nam wolności, którą dostaliśmy w 1989 roku. Od tego czasu dziennikarze mogli wejść wszędzie i kontrolować posłów. Jak Aleksander Kwaśniewski uciekał oknem, jak chlali wódkę czy się bili, mówiliśmy o tym. W kuluarach nagraliśmy pijaną posłankę PiS Elżbietę Kruk, chwiejącego się na nogach Ludwika Dorna czy posłankę SLD Małgorzatę Ostrowską, która śpiewała nam w barze „Za kratą": „Jeszcze idzie pierwsza para...". Teraz posłowie mogą robić, co chcą i nikt się nie dowie, bo nie mamy dostępu do Nowego Domu Poselskiego. Pretekst do zamknięcia kuluarów pojawił się za czasów marszałka Radosława Sikorskiego. Tłumaczono, że dziennikarze blokują kuluary i w przypadku pożaru ewakuacja byłaby utrudniona, tym samym naruszają normy bezpieczeństwa. Bzdurna argumentacja. Ale rozumiem, że politycy nie chcą tam dziennikarzy. Nam najwygodniej było czekać na polityków w kuluarach, w korytarzu okalającym salę plenarną. Tam najczęściej nagrywaliśmy wypowiedzi prezesa Jarosława Kaczyńskiego, jeśli w ogóle chciał się wypowiadać. Teraz wymyślają restrykcje, aby posłom dać więcej wolności, odciąć ich od nas. Dla mnie, dziennikarza pracującego w Sejmie od dwudziestu lat, jest to stopniowe ucinanie naszej swobody, niszczenie symbolu dziennikarskiej wolności, możliwości kontrolowania polityków. Jeśli restrykcje wejdą w życie, nie będziemy mogli tego robić.

Agnieszka Rucińska, Informacyjna Agencja Radiowa:

Nie jest tak, że dziennikarze mogą robić wszystko. Zdarzało się, że nadużywaliśmy wolności w Sejmie, ale przekraczanie granic nie było wynikiem braku kultury, tylko nieuwagi, przypadku. Operatorzy często poruszają się tyłem i bywa, że kogoś potrącą, ktoś komuś nadepnie na stopę, szturchnie, zawadzi kamerą o głowę. Takie sytuacje jednak w niczym nikomu nie zagrażają. Nie ma w tym niczego dramatycznego. Swobodne poruszanie się dziennikarzy po korytarzach Sejmu miało na celu spokojną obserwację tego, co robią politycy. Nie jest najważniejsze, że czasami przyłapaliśmy ich pod wpływem alkoholu, ale takie sytuacje też dowodzą, kogo do Sejmu wybieramy, z kim mamy do czynienia. Kolejne, planowane ograniczenia nie pozwolą nam już takich przypadków zaobserwować. Może to mieć znamiona delikatnej cenzury. Tymczasem ważne, aby współpraca była obopólna, bo wiadomo, że politycy bez mediów nie istnieją i będzie to utrudnienie szczególnie dla opozycji.

Wykonujemy swoją pracę, ale politycy swoją. Jestem za utrzymaniem zakazu wstępu dziennikarzy do restauracji, który obowiązuje od dawna, a także kuluarów – niechaj to będą miejsca, w których politycy mogą spokojnie porozmawiać bez mikrofonów. Ale wyrzucanie dziennikarzy do innego budynku czy na koniec korytarza może utrudnić dostęp polityków do mediów i odwrotnie. Nie widzę żadnego uzasadnienia, aby aż tak drastycznie z nami postępować. Myślę, że dla wspólnego dobra jesteśmy w stanie z kancelarią Sejmu się porozumieć, aby nie utrudniać nam pracy i znaleźć rozwiązanie w ramach kultury.

Łukasz Jankowski, Radio WNET:

Nie od dziś politycy uważają, że Sejm jest zbyt demokratyczny, za bardzo otwarty na dziennikarzy i powinno się to ukrócić. Nie sądziłem jednak, że ktoś będzie chciał te zapowiedzi wcielać w życie. Ograniczenia, jak wiadomo, już wprowadzono. Dziennikarze nie mogą wchodzić do kuluarów. Zamknięty jest też korytarz, gdzie są gabinety marszałków. To już utrudnia pracę korespondentom, coraz trudniej odnaleźć miejsca, w których można spokojnie porozmawiać. W tym tygodniu dowiedzieliśmy się od marszałka Sejmu, że planuje się zamknięcie wszystkich korytarzy i przeniesienie dziennikarzy do pomieszczeń zwalnianych przez Straż Marszałkowską. To zakrawa na skandal, bo zamknie możliwość rozmowy z posłami, ministrami. Pewnie chodzi o to, aby skończyły się gonitwy dziennikarzy za politykami, co znamy z telewizji, ale to często była jedyna szansa, aby cokolwiek uszczknąć rąbka tajemnicy o tym, co się dzieje w rządzie. To są złe pomysły, ograniczające dotychczasowy model demokracji przyjaznej dla dziennikarzy. Całe środowisko dziennikarskie powinno dać wyraźny głos, że nie ma zgody na odseparowanie się od członków parlamentu, bo to szkodzi polskiej demokracji. Mam tylko jedno pytanie: ciekawe, jak marszałek będzie chciał rozwiązać udział dziennikarzy w komisjach sejmowych, skoro planuje zamknąć korytarze.

Opracował BŁAŻEJ TORAŃSKI

Łapicki i inni

Polipy które miał w nosie Pan Andrzej nadawały jego głosowi oryginalne brzmienie. Był bardzo przystojny, z inteligenckiej rodziny, był świadkiem gehenny ludzi w Powstaniu Warszawskim. Postanowił żyć pełnią w czasach zakłamania i strachu. To oczywiście był cynizm, ale w ładnym i dźwięcznym opakowaniu.

Do czytania komentarzy „Polskiej Kroniki Filmowej" UB-cka nie tolerująca sprzeciwu władza namówiła najpierw Pana Władysława Hańczę – talent pierwszej wody z potężnym aparatem rezonacyjnym wydającym niskie tony. Ale najwidoczniej szybko późniejszy filmowy książę Radziwiłł zorientował się, że zmierza ku przepaści będąc wykorzystywany do czytania gadzinowych komunikatów – i zrejterował. Kolejnym lektorem „Kroniki" był, niestety, Jeremi Przybora. Przeczytał parszywy tekst komentujący krwawą rozprawę generała Tatara z generałem-prokuratorem Zarakowskim w roli głównej. Jeszcze za poprzedniej władzy Edward Mikołajczyk w swoim autorskim telewizyjnym programie powiedział o tym wprost i po imieniu, puścił wygrzebane z archiwum PKF taśmy z głosem „starszego pana". Wtedy był to szok. Dziś już nikogo takie odkrycia nie dziwią.

Straszną schedę z ulicy Chełmskiej przejął Andrzej Łapicki. Oczywiście czytał wszystko, co mu nakazano. Znamy dziś te kroniki, bo są często przywoływane.

W czerwcu 1989 roku byłem szefem Studia „Solidarność" w Telewizji Polskiej. Wyrzuceni z pracy w stanie wojennym, na mocy porozumień Okrągłego Stołu, otrzymaliśmy mini redakcje w ośrodkach regionalnych i oczywiście w centrali w Warszawie. W kampanii wyborczej naszym zadaniem było przedstawienie naszych kandydatów. Walczyliśmy jak lwy. Wielu ludzi nam pomagało. Strona rządowa wystawiła w Śródmieściu Warszawy Jerzego Urbana, „Solidarność" – Łapickiego. Były rzecznik rządu z okresu stanu wojennego miał za sobą potężny aparat propagandy. Studio „Solidarność" jedynie bardzo krótkie czasy na telewizyjnej antenie.

Pan Andrzej – jak mi doniesiono – bardzo się wystraszył. Był pewien, że Urban walcząc z nim o mandat wyciągnie właśnie te paskudne taśmy. Sam, zbyt dumny, nie zatelefonował do mnie osobiście. Choć mnie znał, bo przed wybuchem stanu wojennego robiłem z nim i spotykałem się często przez miesiąc całodobowy program retrospektywny. Współpraca układała się bardzo dobrze. Dorobek tego niezwykle popularnego wówczas aktora, a także i reżysera – jest niemały i atrakcyjny. Przynajmniej wtedy był. Oczywiście o trefnych kronikach nie wspominaliśmy. Zatelefonowała do mnie pani Zofia, małżonka, prosząc bym zaprosił do programu rekomendującego kandydatów – Bohdana Tomaszewskiego, który zgodził się opowiedzieć o udziale Łapickiego w Powstaniu Warszawskim. Niestety pan Bohdan – jak to on – elegancko ale zdecydowanie odmówił, usłyszałem: „Wie pan, pani Zofia naciskała, choć mówiłem, że przecież w tamtym czasie nie znaliśmy się i nigdy nie spotkali. Co ja miałbym powiedzieć w studio?" – mistrz sportowego mikrofonu ubolewał. Lubiłem Bohdana Tomaszewskiego i cieszyłem się jego sympatią (wpisy do podarowanych książek mogą o tym świadczyć) więc bardzo chciałem wybrnąć z tej trudnej sytuacji.

Oczywiście panu Andrzejowi też chciałem pomóc. „Wziąłem sprawę w swoje ręce" – to było wówczas popularne hasło wyborcze. Przypomniałem sobie o Stefanie Mellerze. Był moim kolegą z plutonu w czasie zmagań w ramach szkolenia studenckiego na studium wojskowym UW. Trochę nawet byliśmy zaprzyjaźnieni. Późniejszy minister spraw zagranicznych, ambasador w Moskwie i Paryżu miał w swoim życiorysie epizod pracy w Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie gdzie rządził Łapicki. Meller był człowiekiem uczynnym i wystąpił w wyborczym studio telewizyjnym pod nadzorem Tadeusza Mosza, a prowadzonym przez Marka Siwca. Wypadł oczywiście świetnie. Łapicki dostał się do sejmu tylko ja oberwałem: pani Łapicka dowiedziawszy się, jeszcze przed programem, że nie namówiłem Tomaszewskiego, zrobiła mi karczemną awanturę twierdząc, że odwiodłem pana Bohdana od występu przed kamerami.

Taki to już los dziennikarza. Skutki zadawania się z aktorami bywają różne. Teraz znowu mamy problem z kolejnym idolem. Naprawdę świetny aktor, szlachetny człowiek o miłej dla oka powłoce: Jerzy Zielnik. Jego też ludzie bardzo lubią. No, może teraz niektórzy mniej. Ale co zrobić z pasztetem, który wyszukał redaktor Cezary Gmyz. Mleko się wylało.

Myślę, że trzeba po prostu wziąć kawał szmaty i wytrzeć. I na tym zakończyć całą sprawę. Chłopak, który podpisał paskudny dokument był młody i głupi. Uroda przysporzyła popularności i zaszumiało w głowie. Ale potem zrobił i robi nadal bardzo wiele dobrego. Przyznał się, pokajał, przeprasza. Wystarczy!

Jakie z tego wszystkiego są wnioski? Może należy mniejsze znaczenie przywiązywać do tych z ekranów i scen. Oni przecież nie mówią swoimi tekstami (zresztą: broń Boże). Oni grają. Lepiej lub gorzej. Ale są to ozdoby naszej codziennej rzeczywistości. Towarzysze radosnych przeżyć i wzruszeń. Choć tak naprawdę są to często bardzo słabi ludzie i niezbyt mądrzy. Robią w czasie różnych akcji srogie miny. Pamiętacie? „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj, pomóż". I rzeczywiście wtedy pomogli i to nawet bardzo. W tamtym czasie prawie wszyscy byli po właściwej stronie, po stronie wielkiej nadziei i oczekiwań. Wyszło jak wyszło.

A teraz człapią w przemarszach KOD-u, a ponoć niektórzy nawet szykują się na „majdan". Niech im wszystkim ziemia lekką będzie. Tym co już odeszli i tym co sobie pójdą.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH ZAPRASZA NA
„MAJ NA FOKSAL"
DEBATY FILMY KONCERTY WIECZORY AUTORSKIE KIERMASZ KSIĄŻEK

DOM DZIENNIKARZA
UL. FOKSAL 3/5
WARSZAWA
WSTĘP WOLNY!

Piórem Krzysztofa Kłopotowskiego Smoleńskie spekulacje

Skąd przeciwnicy hipotezy zamachu w katastrofie smoleńskiej wiedzą, że zamachu nie było? Informacje zebrane przez zespół parlamentarny Antoniego Macierewicza kazałyby zachować chociaż ostrożność w ocenach. Jednak zaprzeczają z taką pewnością siebie, jak gdyby nie brali pod uwagę, że może trzeba będzie zmienić zdanie.

Nie chodzi tutaj o Tomasza Arabskiego, który musi zaprzeczać, żeby się bronić przed najcięższym zarzutem udziału w mordzie na prezydencie Rzeczpospolitej oraz delegacji państwowej. Wcale tego nie twierdzę. Zarzut nie został udowodniony w sądzie. Jednak ciarki chodzą po plecach na myśl o zgrozie, jaką czuje b. szef kancelarii premiera Tuska.

Zostawmy Arabskiego. Chodzi mi o polityków obecnej opozycji z PO nie zamieszanych wprost w sprawę, oraz o kolegów publicystów.

Czy naprawdę sądzicie, że dowód zamachu leży w interesie PiS, który gra tragedią dla zysków politycznych? No to pomyślcie jeszcze raz. Można było racjonalnie podejrzewać PiS o takie wyrachowanie póki był w opozycji. Hipoteza zamachu stawiała rząd PO pod ścianą, a byłaby to ściana straceń. Politycznych, bo w Polsce nie ma kary śmierci nawet za zdradę stanu.

Ale teraz PiS zdobył pełnię władzy. I Antoni Macierewicz wznowił śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej, tym razem w imieniu państwa polskiego. Można sądzić ze składu komisji, że hipoteza zamachu będzie bardzo poważnie rozpatrywana. Jeżeli ta hipoteza zostanie udowodniona, to rząd PiS będzie musiał wziąć na siebie jej skutki. Któż by tego chciał przy zdrowych zmysłach? Tylko ktoś działający w stanie najwyższej konieczności.

Bo jakie mogą być skutki udowodnienia zamachu? Taka operacja na terytorium Rosji nie byłaby możliwa tylko siłami polskich zdrajców. Udział Rosjan byłby nieodzowny. Czy byłaby wykonalna bez wiedzy Putina? Bardzo wątpliwe. Co dalej? Polska ogłasza światu, że prezydent Rosji odpowiada za zgładzenie prezydenta Polski – członka NATO, całości dowództwa sił zbrojnych i części elity politycznej kraju. Czy to nie jest aby „*casus belli*", powód wypowiedzenia wojny?

W takim wypadku rząd w Warszawie miałby niesłychanie trudną sytuację. Polacy nie chcą wojny z Rosją – wyrażenie takiej myśli nawet jako zaprzeczenia brzmi absurdalnie. Zachód też nie chce wojny z Rosją z ważniejszych dla siebie powodów aniżeli Smoleńsk. Ogłaszając zamach z jakimś udziałem prezydenta Putina – rząd PiS oddałby się na łaskę i niełaskę zachodnich sojuszników. Poprą nas w konflikcie z Rosją, czy nie poprą?

Jeżeli historia daje wskazówki, w lutym była rocznica konferencji w Jałcie. Czyli należy brać pod uwagę wymuszone przez Zachód obalenie rządu w Warszawie - w celu odrzucenia wyników śledztwa katastrofy smoleńskiej, jeśli byłyby groźne dla pokoju w Europie. Nie wiem, czy tak będzie. Może nie będzie, ale trzeba się z tym liczyć choćby z małym prawdopodobieństwem.

Dlaczego PiS w to brnie? Widocznie musi. Być może kierownictwo partii ma większą wiedzę, niż dostępna publicznie. Zapewne uważa, że tego wymaga powaga państwa. Ta tragedia nie może pozostać bez wskazania winy i wymiaru kary. Racja moralna jest po naszej stronie... jak tyle razy w historii... jak we wrześniu 1939... jak w sierpniu 1944... i jak w Jałcie 1945. Mam tylko nadzieję, że rząd Polski jest tym razem przygotowany na najgorsze i wie, jak wybrnąć z sytuacji. Bo w roku 1943 odrzucił pierwsze kłamstwo katyńskie i w rezultacie Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z polskim rządem. Jak postąpi teraz, po obnażeniu drugiego kłamstwa katyńskiego? Czy będzie potrzebne więc trzecie kłamstwo, ograniczenia sprawców do Polaków, choćby byli w tym Rosjanie?

A co się tyczy kolegów publicystów. Jedni uprawiają propagandę, inni wolną refleksję. Wybór należy do nas.

Piórem Stefana Truszyńskiego Pan Poziomka

Codziennie. Najpierw ze wsi Bramki do Błonia, potem do Warszawy. To w sumie kilkadziesiąt kilometrów. A potem przez 6-8 godzin na „posterunku" przed URM-em w Alejach Ujazdowskich, między KOD-owcami.

Pan Zygmunt Poziomka wielkimi białymi literami na czarnym T-shirt'cie, ma na piersiach napis: BRAWO PiS – TAK TRZYMAĆ. W ręku biało-czerwona. I cały czas macha flagą. KOD-owcy też machają. Przyzwyczaili się już do siebie. Już nie protestują, że stoi między nimi. No, bo w końcu skoro miłośnicy pana Kijowskiego mogą tutaj sobie machać – wolno i eksgórnikowi. „TAK TRZYMAĆ". I Pan Poziomka trzyma się dzielnie.

Rozmawiałem z Panem Zygmuntem, jest górnikiem emerytem z 25-letnim stażem w kopalni „Wujek". To silny mężczyzna. Pracował przez cały czas pod ziemią, jak mówią – na przodku. Teraz stoi tu w Alejach Ujazdowskich sam jeden i od samego początku protestu KOD. Aha, ma jeszcze na plecach wypisaną dodatkową informację: NIE LUBIĘ LEWACTWA.

Ci w namiotach zmieniają się często. A on sam jeden codziennie po kilka godzin stoi wytrwale. Daje tym świadectwo, że nie zgadza się z demonstracją ludzi, którzy protestują tu na służbowym wikcie, leżąc w służbowych śpiworach, w namiotach. To protest samotny, naprawdę społeczny, przeciwko protestowi zorganizowanemu wymyślonemu tam gdzieś u „góry". I nawet nie bardzo wiadomo przez kogo, ani za czyje pieniądze.

„Młodości, ty nad poziomy wylatuj" – pisał z nadzieją bardzo dawno temu poeta. Potem były jeszcze w naszej najnowszej historii tak zwane struktury poziome. W roku '80 zbuntowała się przeciwko władzy część partii pseudorobotniczej i jeszcze mniej chłopskiej. Chcieli działać w strukturach poziomych – między innymi w Toruniu, Bydgoszczy. Ale matka partia szybko wybiła im to z głowy. Potem było jeszcze ostrzej – protestujących solidarnościowców w bydgoskim ratuszu pobito i wywleczono z urzędowej sali na bruk.

Pan Poziomka nie ma struktur, ani samochodu. Nie dostaje diet. Sam musi sobie wszystko kupić – bilety do Warszawy, aprowizację na cały dzień. Nawet flagę. Ale on właśnie protestuje naprawdę z głębi serca i rozumu.

Może ktoś – np. z Telewizji Polskiej – zainteresuje się tym prawdziwym protestem obywatela.

Szczęść Boże – jak mówią idąc na szychtę górnicy.

Piórem Teresy Bochwic Chińskie przysłowia

Najbardziej znane z chińskich przysłów to chyba przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach!". Jak bardzo czasy są ciekawe, pokaże odpowiedź na pytanie: ile oglądasz/słuchasz teraz wiadomości, programów informacyjnych itp.? Marzena Paczuska, nowa szefowa „Wiadomości" TVP1, podała ostatnio wyniki ich oglądalności, oparte na dość twardych danych telemetrycznych. Oglądalność wzrosła, znacząco wzrosła.

Osobiście rozmaite programy informacyjne i publicystyczne zaczęłam ostatnio oglądać regularnie. Przedtem nawet krótkie spotkanie trzeciego stopnia, a nawet drugiego tylko, z reguły kończyło się odruchem wymiotnym, złością, a w najlepszym razie wzruszeniem ramion. Pomijanie informacji, kadzenie władzuchnie, przeprowadzanie zamawianych politycznie „akcji", i jeden głos, jeden wielki chór, jedna wizja świata, rzeczywistości, słuszności. Żadnej dyskusji, nawalanka na przemian z naparzanką. Z nadziei, że „czego oczy nie widzą, o to serce nie boli, czego uszy nie słyszą, to ich nie oburza".

Kto obawiał się odwrócenia wektorów w kierunku kadzenia nowej władzy, chyba już nie musi. Zarówno pozostali na swoich miejscach redaktorzy, nowi/starzy, jak i całkiem nowi, trzymają jak na razie dostateczny poziom zróżnicowania zapraszanych gości, nie zauważyłam, żeby komukolwiek kadzili, nie wahają się krytykować rządu i prezydenta, nie dbając, że czasem bardzo to politykom nie w smak. W ogóle bardzo przykładają się do pracy, czytają, sięgają do źródeł, często okazuje się też, że naprawdę nieźle orientują się w tym, co robią, czego jeszcze niedawno rzadko dawali dowody. Nie widzę też tematów tabu. No i znikło chamstwo na antenach, dzięki Bogu.

„Człowiek, który mówi: tego się nie da zrobić, nie powinien przeszkadzać TEMU, który TO robi". Z jakąż przyjemnością oglądałam w którymś dzienniku nowe wyniki popularności partii, podane w sposób, który zrozumie niemal każdy widz, bez manipulacji, chowania niewygodnych danych pod sukno. Przejrzysta infografika, spokojne głos prezentera. Teraz są takie, potem będą się zmieniały, ale mam nadzieję, że sposób omawiania nadal nie będzie pozostawiał nic do życzenia. Pojawiły się też zupełnie nowe twarze ekspertów, o nigdy nie pokazywanych wcześniej dziennikarzach nie mówiąc. Okazuje się, że do tej pory był wąski zestaw nazwisk dobrych na każdy temat, teraz jest szansa na dyskusję. „Gdy wilkołak zamienia się w człowieka, ogon zawsze mu pozostaje".

„Gdy wieją wichry zmian, jedni budują mury, inni budują wiatraki". Widzowie, którzy nie korzystali z mediów tzw. drugiego obiegu (ten drugi obieg – co za hańba tak naprawdę choćby dla mediów publicznych), muszą być zaskoczeni nowością wielu tematów. Nigdy nie spodziewali się, że Rosjanie naprawdę nie oddali do tej pory wraku Tupolewa i że nadal będzie się badać sprawę Smoleńska i odpowiedzialności za zaniedbania, że rząd może opanować mafię komorniczą itd. Sprawę Trybunału rozumie mało kto bez przygotowania prawniczego i trudno ją wytłumaczyć w dwóch zdaniach, ale trzeba przyznać, że media starają się wyjaśnić powstałą sytuację.

Polacy też mają niezgorsze przysłowia, np. „Jedynie prawda jest ciekawa", Józef Mackiewicz.

A co tam, panie, w polityce? „Chińczyki trzymają się mocno". A to już Wyspiański w „Weselu" (informacja dla młodzieży z dzisiejszej szkoły). Też mądry.

Piórem Jerzego Jachowicza Taśmy tabu

To były na razie ścinki, nie film. Bulwersujące. Demaskujące. Dwa kilkunastominutowe odcinki pokazane w TVP Info. Oglądaliśmy uczestników rozmów w Magdalence w 1989 roku oraz ich rozmowy podczas przerw na papierosa. Po zjedzeniu posiłków suto zakrapianych wódeczką. Też utrwalone na taśmie. Autentyczne. Przez nikogo nie grane. Nieudawane. Nieinscenizowane. Mógłbym go już dziś zatytułować: „Droga zdrady". Widzimy bowiem za jak niską cenę komuniści kupują swój udział we władzy. Jak liderzy „Solidarności" nadskakują Kiszczakowi i innym komunistycznym bonzom.

Kręcili fachowcy z „Paramount Pictures SB". Dla swoich najwyższych szefów. I przede wszystkim dla gen. Jaruzelskiego, który całe pełnomocnictwo przekazał w ręce gen. Czesława Kiszczaka i nadzorującego bezpiekę z ramienia Komitetu Centralnego PZPR Stanisława Cioska. W Magdalence w rozmowach udziału nie brał, ale Kiszczak do raportów zatytułowanych „Wszystko idzie w dobrą stronę!", dołączał obrazki w pełni to potwierdzające. Negocjacje odbywały się między tzw. stroną partyjną – rządową a społeczną zwaną też „solidarnościową". Każda miał własnego lidera. Kiszczak przewodził komunistom, a naprzeciwko niego siedział nasz przywódca, Lech Wałęsa.

W emitowanych ścinkach dźwięk jest wysoce niedoskonały. Praktycznie Nie słyszymy nic, choć bohaterom nie zamykają się buzie. Kiedy ruchome obrazki zostaną wzbogacone słyszalnymi dobrze przemówieniami, rozmowami, toastami, dowcipami i komentarzami uczestników, materiał zdjęciowy zyska kilkakrotnie. Już teraz jest fascynujący. Nigdy wcześniej nie pokazywany. Zasługa to Instytutu Pamięci Narodowej i w dużej mierze Czarka Gmyza. To on dowiedział się, że przed laty taką filmową dokumentację z Magdalenki 1988/89 telewizji publicznej przekazał gen. Kiszczak. Nieprawdopodobne jest to, że nikt w telewizji nie rzucił się na ten materiał, by go wyselekcjonować i stworzyć dokument pokazujący kulisy najważniejszego fragmentu naszej najnowszej historii. To wprost nie do wiary.

Co kierowało prezesami telewizji, że uznali ten esbecki materiał, jako nie ważny, nie wart, by sobie zaprzątać nim głowę? Tego się pewnie nie dowiemy. Fakty są jednak mocno kompromitujące kilka poprzednich ekip rządzących telewizją, z których musimy wyłączyć PiS. Łatwo sobie wyobrazić, co by się stało za kilka lat, gdyby telewizją rządzili prezesi namaszczeni przez Platformę. Pudełka z nagraniami z Magdalenki, byłyby prawdopodobnie przygniatane kolejnymi filmami, aż do czasu, kiedy zostałyby wycofane z archiwum z powodu „przedawnienia". Odpowiedzialni za odcinek „film" na Woronicza, wszyscy twórcy telewizyjni musieli go traktować jako materiał niebezpieczny, do którego lepiej się nie dotykać. Zagrażający ich karierze telewizyjnej. Film tabu. Dopiero zmiana kierownictwa telewizji publicznej stworzyła sprzyjające warunki do jego pokazania. Na razie w stanie surowym. Jest jednak nadzieja...

Cel: ochrona tajemnicy dziennikarskiej

FOT. © MATEJ BATHA / WIKIMEDIA

Z Pawłem Lisickim o inwigilacji dziennikarzy rozmawia Błażej Torański.

Błażej Torański: Ile pan miał aparatów komórkowych kierując „Rzeczpospolitą"?

Paweł Lisicki: Czasami dwa, ale przeważnie jeden.

Miał pan poczucie, że może być inwigilowany, podsłuchiwany?

Dopuszczałem taką myśl, ale nie wpływała ona na moje zachowanie i postępowanie. Widziałem, jak działa ówczesna władza, spodziewałem się, że może próbować na różne sposoby zdobywać informacje o dziennikarzach, których uważała za przeciwników. Z drugiej strony wydawało mi się, że byłoby to tak daleko naruszeniem reguł państwa prawa, że nawet poprzednia władza by się przed tym jednak cofnęła.

Nie przewidywał pan, że władza może się zachowywać jak w powieściach Orwella?

Nie spodziewałem się, bo na liście inwigilowanych przez rząd PO-PSL opublikowanej przez tygodnik „Do Rzeczy" są nie tylko dziennikarze śledczy, ale także publicyści, komentatorzy, redaktorzy. Załóżmy, że celem racjonalnym służb specjalnych była chęć dowiedzenia się – w sposób naganny i bezprawny – jak i gdzie dziennikarze zdobywają informacje, które publikują. Ale gromadzono nie tylko wiedzę o źródłach informacji, także o życiu prywatnym samych dziennikarzy. Władza mogła ją wykorzystać przeciwko dziennikarzom: jako haki, szantaż. Zawsze zdobywając informacje na temat czyjegoś życia prywatnego można nimi grać.

Ma pan na myśli kochanki, alkohol, hazard czy preferencje seksualne?

Dziennikarze, jak inni ludzie, nie są aniołami. Zbieranie informacji w sposób poufny na czyjkolwiek temat bez jego wiedzy i zgody może być wykorzystane do szantażowania. Tak działają wszystkie służby specjalne zarówno w państwach totalitarnych, jak i – jak widać – w państwie demokratycznym. Różnica jest taka, że w drugim przypadku powinny istnieć uzasadnione powody, aby móc zbierać takie informacje, np. możliwość popełnienia przez tę osobę przestępstwa, udział w zorganizowanej grupie przestępczej itd. W tym przypadku chodziło wyłącznie o to, żeby chronić interesy rządzących.

Nie chronić państwa przed zagrożeniami, tylko własnych interesów ludzi władzy? Ale jakich interesów? Grupowych? Partyjnych? Mafijnych?

Na pewno własnych interesów politycznych. Geneza tej inwigilacji jest taka, że w „Rzeczpospolitej" ukazał się artykuł o aferze hazardowej. Uwikłanych w nią było dwóch wysokich rangą polityków Platformy Obywatelskiej.

Szef klubu parlamentarnego Zbigniew Chlebowski i skarbnik partii Mirosław Drzewiecki.

Weszli w zażyłe związki z działającym w sposób niejasny biznesmenem. Z rozmów, jakie z nim prowadzili wynikało, że zachowywali się w jego interesie jak lobbyści. Realizowali w swej działalności politycznej jego zlecenia, pomysły, idee. Oczywiście takich rzeczy nie robi się za darmo, więc można założyć, że istniał wspólny interes, jednoczący tych panów. Ten interes mógł prowadzić do korupcji, wymiany darów i przywilejów. Wymagało to zbadania przez służby. Tymczasem służby zajęły się nie związkami polityków z biznesmenem, tylko dziennikarzami, którzy tę aferę ujawnili. Próbowały ustalić,

Paweł Lisicki – rocznik 1966, dziennikarz, publicysta, pisarz, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy". Przed laty kierował „Rzeczpospolitą" i tygodnikiem „Uważam Rze". Prawnik z wykształcenia. Autor esejów filozoficznych, publikował między innymi we „Frondzie" i „ZNAK-u". Hobby: podróże, włoska kuchnia.

w jaki sposób informacje do dziennikarzy dotarły.

Afera była frapująca, gdyż Zbigniew Chlebowski spotkał się z biznesmenem S. nawet na cmentarzu.

No właśnie. W sam raz do zbadania dla służb specjalnych, bo jak ktoś spotyka się na cmentarzu, to znaczy, że ma coś do ukrycia. Nie chce, aby go inni obserwowali. Pamiętam, co wynikało z podsłuchu rozmów. Uderzała służalczość polityków wobec biznesmena. Mogło to sugerować, że zachowują się tak w zamian za solidne wsparcie. W normalnych warunkach szef największego, rządzącego klubu w Sejmie nie jest chłopcem na posyłki. Taki polityk powinien cenić swoją pozycję, być rozgrywającym. A w tych relacjach wyraźnie było widać pana biznesmena i sługę polityka.

Na pana doświadczenie, obserwacje życia politycznego: Platforma Obywatelska traktowała Polskę jak państwo prywatne? Czy może decydowały pozapartyjne koterie, grupy interesów, u których górę – ponad interesem państwa – brały pycha i żądza pieniądza?

Nie sądzę, żeby Platforma doszła do władzy z zamiarem prywatyzowania państwa. Trudno takiej tezy bronić. Ale w miarę upływu czasu – kiedy wydawało się, że te rządy będą trwały wiecznie, bo miały poparcie większości mediów, a w sondażach gigantyczną przewagę nad PiS-em – na pewno w jakiejś grupie polityków władzy powstało przekonanie pewności siebie i przeświadczenia, że nie oddadzą władzy. Nadmiar poczucia pewności i pychy zwykle doprowadza do prywatyzacji państwa. Grupy interesów grają na swoich liderów, nawzajem zwalczają się. Wydaje mi się, że konkretna sprawa afery hazardowej jednoczyła wszystkich przywódców Platformy Obywatelskiej, bo z ich punktu widzenia – a było to tuż po wyborach parlamentarnych – mogło poważnie uderzyć w wizerunek partii. Komisja śledcza powołana przez większość sejmową i Donalda Tuska zajmowała się głównie tym, jak pewnych wątków, które wymagały wyjaśnienia, nie poruszać. Była to swoista antykomisja, powołana wyłącznie w ramach hipokryzji wyborczej, żeby ludziom pokazać, że „badamy, sprawdzamy", ale tak naprawdę chodziło o ukrycie afery.

Służby szukały źródeł informacji, aby ukręcić łeb sprawie i znaleźć haki na dziennikarzy. Podobne mechanizmy działały także przy aferze „marszałkowej", taśmowej, korupcji w Sądzie Najwyższym. Czy były też próby storpedowania publikacji? Spotykał się pan z naciskami – lub sugestiami polityków – żeby nie publikować tekstów?

Z czymś takim nie. Za to wielokrotnie słyszałem od prezesa Presspubliki, Norwega Trulsa Velgaarda, że ówczesne władze domagają się od Mecomu – brytyjskiej spółki, która była większościowym udziałowcem „Rzeczpospolitej" – zmiany redaktora naczelnego. Jak sądzę miałem taką opinię, że nikt nie próbował u mnie bezpośrednio wpływać na pojawienie się takiego lub innego tekstu, ale władze chciały rozwiązać ten problem przez odwołanie mnie. To się nie udało, więc podjęto próbę inwigilacji.

Uważa pan, że teraz dziennikarze są wolni od inwigilacji ze strony służb?

Trudno mi powiedzieć. Nie wiem, ale mam nadzieję, że do takich rzeczy nie dochodzi. To, o czym rozmawiamy, jest nauczką dla każdej następnej władzy, że nie wolno prowadzić pozaprawnych działań, bo i tak wcześniej czy później wyjdą one na jaw. Ktoś mógłby powiedzieć: o co tyle hałasu? W końcu ciągle ktoś kogoś w Polsce podsłuchuje: biznesmenów, polityków czy dziennikarzy. Ważne, aby zrozumieć, jak istotną instytucją życia publicznego jest tajemnica dziennikarska. O nią tak na prawdę chodzi.

O ochronę źródeł informacji.

Bez niej nie ma dziennikarstwa. To jest podstawa działania tego, co nazywamy czwartą władzą. Dziennikarz jest pośrednikiem między osobą zainteresowaną ujawnieniem niekorzystnych dla władzy faktów a opinią publiczną. Informator nie zawsze działa z pobudek szlachetnych, często z niskich, aby się na kimś zemścić, komuś zaszkodzić. Dla ujawnienia informacji żąda poczucia bezpieczeństwa. To jest istotne, bo bez zapewnienie źródłom informacji ochrony opinia publiczna o tych aferach by się nie dowiedziała. Tajemnica dziennikarska jest sposobem zabezpieczenia wolności słowa i wolności czwartej władzy. Dlatego prowadzenie przez służby specjalne tego typu inwigilacji jest karygodne.

Dziennikarz i tak jest bezbronny wobec technik służb. Niewiele daje wyjmowanie baterii z telefonów czy ukrywanie aparatów w szafie.

Rzeczywiście dziennikarz w starciu z techniką przegrywa. Mnie najbardziej uderzyło, że tak liczna była grupa przesłuchiwanych, a wśród nich dziennikarze, którzy nie mieli nic wspólnego z działalnością śledczą.

Zwykli reporterzy czy komentatorzy. Na koniec: jest pan szczególnie ostrożny rozmawiając przez telefon?

Nie, bo nie uważam, abym miał coś do ukrycia.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał BŁAŻEJ TORAŃSKI

Otrzymaliśmy

Erwin Kruk, *Nieobecność*, Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Olsztynie, Olsztyn 2015, ss. 120.

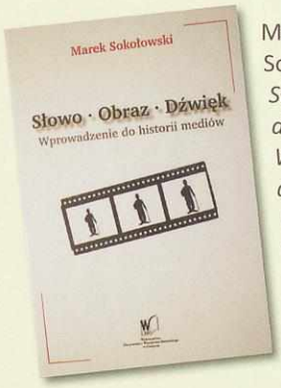

Marek Sokołowski, *Słowo, obraz, dźwięk. Wprowadzenie do historii mediów*, Wydawnictwo UWM, Olsztyn 2016, ss. 290.

Wojciech K. Szalkiewicz, *Złoto Kopernika. Opowieść historyczno-sensacyjna z XVI i XXI wieku*, Agencja WIT, Olsztyn 2016, ss. 208.

Z Węgorzewa do Kazimierza. Laureaci Jarmarków Folkloru w Węgorzewie na Festiwalach w Kazimierzu Dolnym, red. Jerzy Łapo, Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, Węgorzewo 2012, ss. 74.

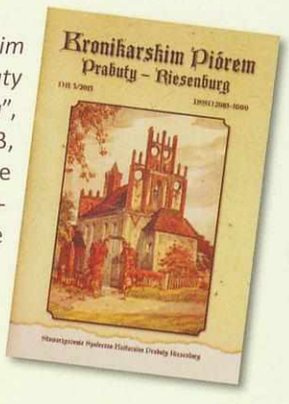

„Kronikarskim Piórem. Prabuty – Riesenburg", nr 3/2013, Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Prabuty – Riesenburg, ss. 88.

Grzegorz Linkowski – szokuję widza w inny sposób

FOT. © RAFAŁ PASTWA

Andrzej Zb. Brzozowski: Jest Pan laureatem wielu nagród filmowych, czy Nagroda im. Seweryna Pieniężnego jest tylko kolejną, jedną z ich?

Grzegorz Linkowski: Ta nagroda z racji patrona i miejsca jej przyznania, pokazuje także, że tego co robię, nie da się wykonać bez pewnej pracy dziennikarskiej. Być docenionym przez kolegów dziennikarzy to duży zaszczyt. Ja robię film przez rok, dwa lata, dziennikarz musi swoją robotę wykonać znacznie szybciej.

Skąd wziął się pomysł na udział w Konkursie, który nie jest konkursem *stricte* filmowym?

Informacja o konkursie dotarła do mnie przez kolegę, dziennikarza telewizyjnego Krzysztofa Ziemca. Będąc członkiem Stowarzyszenia Filmowców Polskich kilkakrotnie współpracowałem ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich (głównie w Lublinie), brałem udział w różnego rodzaju spotkaniach. I tak się znalazłem w tym konkursie.

Nie jest Pan rodowitym Warmiakiem, skąd więc u Pana zainteresowanie nie tyle tym regionem, co historią jego mieszkańców?

W swojej pracy zajmuję się tematyką, która częściowo wiąże się z pytaniem o tożsamość miejsca, rodziny, osoby, małą ojczyznę. Te miejsca, które są takimi enklawami dla Polski, odkrytymi przez ostatnie 70 lat, wcześniej mniej znane, stają się coraz bardziej ciekawe.

Warmia ma niesamowity, niezwykle ciekawy rodowód chrześcijański. Ciekawą rzeczą jest też protestantyzm na Mazurach i terenach wschodnich, gdzie bardzo często burzono stereotyp mówiący, że protestant to musi być Niemiec. Okazuje się, że protestantami byli tam też Polacy. Proweniencja chrześcijańska, poczynając od Zakonu Krzyżackiego, przez Świętą Warmię, biskupów, jest dla mnie takim ciekawym tworem. Co z tego mogło zostać, co jest w tych ludziach? Można często odnaleźć taką tradycję katolicką w mieszkańcach pruskich.

Czy mógłby Pan trochę przybliżyć tematykę nagrodzonego filmu „Bo jestem stąd", ponieważ poza jury, chyba nie wszyscy mieli okazję go obejrzeć?

To jest film, który próbuje coś więcej opowiedzieć na temat tożsamości Warmiaków poprzez pryzmat tragicznych wydarzeń 1945 roku, tj. wkroczenia Armii Czerwonej na tereny, które nazywali Germanią. Interesowało mnie, co z tamtego okresu pozostało w ludziach. To jest swego rodzaju konflikt pamięci. Co innego pamiętają ci, którzy mieszkali na tych terenach, tu się urodzili, a co innego ci, którzy na te tereny zbrojnie wtargnęli, pozostawiając duże zmiany w psychice mieszkańców i niszcząc ich dobytek. Film pokazuje jak ci ludzie współcześni, którzy jeszcze mają jakąś pamięć, opisują te sytuacje, gdzie są tożsamościowo, kim się czują? O nich jest ten film. Jedni mówią – „bo jestem stąd", inni mówią – „moim językiem jest język niemiecki, bo to jest dla mnie ważniejsze", a jeszcze inni – „jestem Polakiem". To jest dla mnie o tyle ciekawe, że postrzegam nasz kraj jako taki trochę kulturowy witraż.

Jest Pan autorem scenariuszy swoich filmów. Ich tematyka to potrzeba chwili, chęć spojrzenia w przeszłość, czy kulturowych rozliczeń?

W swoim dorobku mam kilka filmów dotyczących rozliczeń z PRL-em. „Historię pewnego sumienia" krytycy uznali za jeden z lepszych filmów dotyczących

Grzegorz Linkowski – scenarzysta, reżyser i producent filmów dokumentalnych. Pomysłodawca i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych „Rozstaje Europy". Laureat wielu nagród i wyróżnień na festiwalach i przeglądach filmów dokumentalnych. W Konkursie o Nagrodę im. Seweryna Pieniężnego za rok 2015, organizowanego przez Warmińsko-Mazurski Oddział SDP, za film „Bo jestem stąd" otrzymał Nagrodę Główną.

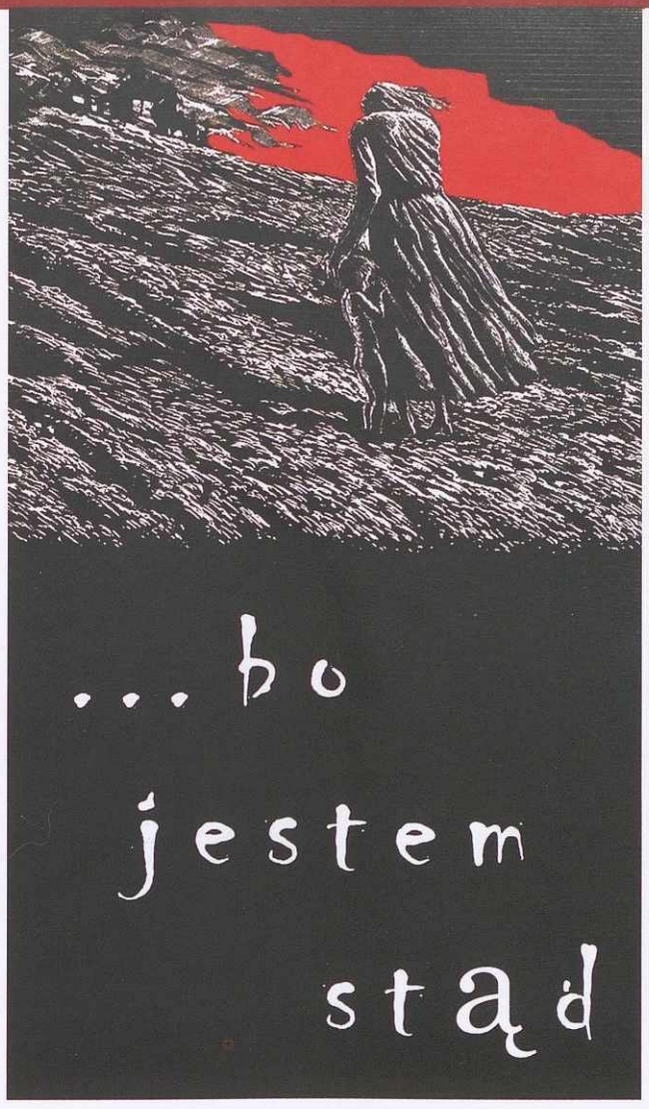

rozliczenia z tamtym okresem. Jest to historia człowieka, który był współpracownikiem służby bezpieczeństwa w Lublinie na KUL-u. Przez pryzmat tej postaci widać, co komunizm potrafił wyrządzać jednostce. Bohater innego mojego filmu „Wpisany w gwiazdę Dawida krzyż" ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, katolicki kapłan, nosi na szyi gwiazdę Dawida z wpisanym w nią krzyżem, na znak nierozerwalnych więzi łączących obie religie.

Interesują mnie rzeczy, które dotyczą minionych czasów i jaki to ma wymiar dla przyszłości.

Na tyle warto grzebać się w tradycji, na ile ona ma szanse coś przynieść ludziom na przyszłość. Między innymi pokazać dialog kultur w momencie gdy sami jesteśmy w Europie w bardzo trudnej sytuacji, gdzie dialog kultur się załamuje i cały projekt multikulti ponosi klęskę. Uważam, że zajmując się tożsamością kulturową i religijną człowieka, zajmuję się czymś, co dotyczy przyszłości. Zrozumienie własnej tożsamości i jej zagrożeń jest najlepszą drogą do patriotyzmu. Nie wystarczy wychodzić na ulicę ze sztandarami.

W czasie realizacji filmu ma Pan wszystko do końca zaplanowane, czy jest może miejsce na twórczą improwizację?

Języka do realizacji i montażu filmu szukam zawsze w bohaterach. Współpraca z takim człowiekiem jest czymś bardzo otwartym. On to przecież opowiada, jeszcze raz to przeżywa, pokazuje swoje emocje. Do tego dochodzi także otoczka materialna tych historii, różnego rodzaju zdjęcia, dokumenty, pamiątki. Tu musi być pełna otwartość. Jak się ma na planie filmu dokumentalnego jakąś *idée fixe*, to się polegnie. To są przecież żywi ludzie. Zdarza się, że robi się jakiś film, coś się założy, a później trzeba to zmienić, bo się okazuje, że to nie tak było. Że pewne informacje, które docierały, okazały się trochę, lub nawet zupełnie inne.

Festiwal Filmów Dokumentalnych „Rozstaje Europy", którego jest Pan pomysłodawcą i dyrektorem ma swoją określoną tematykę?

Ten festiwal ma teraz przerwę. W Lublinie budowane są nowe miejsca kultury, powstają nowe sale i będziemy ten festiwal reaktywowali w przyszłym roku, na 700-lecie Lublina.

„Rozstaje Europy" to festiwal filmowy o tożsamości, o dialogu kultur, o pograniczu, o szeroko rozumianym spotkaniu innych i z innymi. Nie chodzi tylko o koegzystencję, ale także o konflikty. Ma on zasięg międzynarodowy. Do tej pory prezentowane na nim były filmy krótkometrażowe (do 30 minut) i pełnometrażowe (do 60 minut). Ciekawostką tego festiwalu jest specyficzna nagroda. Oprócz finansowej, laureaci otrzymują statuetkę w postaci słupa granicznego złożonego z dwóch postaci świętych, Cyryla i Metodego. Są oni odwróceni od siebie tyłem, tak jakby zostali zaklęci w ten słup graniczny. Całość ma kształt obelisku o wysokości około 50 cm.

Czy ma Pan jakieś dowody na to, że poprzez swoje filmy udało się chociaż trochę zmienić punkt widzenia na niektóre sprawy?

Oczywiście, że tak. Mam tego bardzo dużo. Kiedy np. jeździłem z filmami „Wpisany w gwiazdę Dawida krzyż" i „Marsz żywych" po świecie, w środowiskach amerykańskich spotykałem się z takim trochę sceptycznym podejściem i antypolonizmem. Dotyczyło to głównie stereotypowego przekonania o polskim antysemityzmie. Po obejrzeniu tych filmów otrzymałem dużo listów, e-maili i sygnałów od wielu ludzi, że zaczęli na te sprawy zupełnie inaczej patrzeć. Agnieszka Holland powiedziała kiedyś, że dokumentalistom się wydaje (i bardzo często się sprawdza), że potrafią swoimi filmami i ideami łagodzić nastroje, napięcia i konflikty. Po wojnie w Serbii i Jugosławii próbowano robić coś w rodzaju wysyłanych kaset z filmami. Ludzie nagrywali siebie w różnych miejscach i było to pokazywane jako taka łączność po tej tragedii, sposób na poszukiwanie ludzi, próba dialogu, przeproszenia kogoś.

To jest bardzo trudny rodzaj dokumentu. Ja nie lubię dokumentu takiego, który jest dla odbiorcy atrakcyjny, bo pokazuje pewne anomalia, patologie, ekstremalne sytuacje, lub ciemną stronę natury ludzkiej. Tylko po to, żeby zaszokować widza. Ja chcę widza szokować w inny sposób. Ja chcę mu pokazać, że istnieje inna droga dotarcia człowieka do człowieka. Że można się porozumieć, że można sobie wiele wybaczyć.

Czy jest jakiś film, jakiś temat, którego z różnych powodów nie udało się Panu zrealizować?

Jest ich trochę. Między innym pod koniec lat 90. dotarłem do informacji, że jest w Niemczech człowiek, który przyznał się, że był jednym z członków plutonu egzekucyjnego, który wykonał kilkanaście egzekucji poczynając od Lwowa, aż po Majdanek. Szykowano mu proces. Próbowałem więc zrobić z nim wywiad. Od prokuratury niemieckiej dostałem pozwolenie na zrobieniem półgodzinnego wywiadu i niestety w ostatnie chwili zostało to odwołane. Okazało się, że rodzina też miała prawo do widzenia i dla mnie już nie wystarczyło czasu.

Na koniec poproszę o jakąś anegdotę związaną z Pana profesją i oczywiście pańskim udziałem.

Taka trochę dziennikarska sytuacja. W trakcie realizacji filmu „Marsz żywych", doszło do spotkania na terenie obozu Auschwitz mojego bohatera ks. Waszkinela (który będąc księdzem katolickim dowiedział się, że jest Żydem uratowanym z getta) z synem zbrodniarza Martina Bormanna. Trzymaliśmy to w dużej tajemnicy. Do spotkania miało dojść w trakcie marszu. Tuż przed rozpoczęciem dostałem telefon, od pewnej słynnej (później) dziennikarki, która dowiedziała się o tej wizycie i chciała mówiąc kolokwialnie „wyrwać" mi tego Bormanna do wywiadu. Pierwszy raz miałem taką sytuację, że musiałem uciekać przed kamerami innej ekipy. Niesamowity dyskomfort, ale ze względu na dużą ilość grup biorących udział w marszu, udało się.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Chopin tworzył piękną i silną muzykę

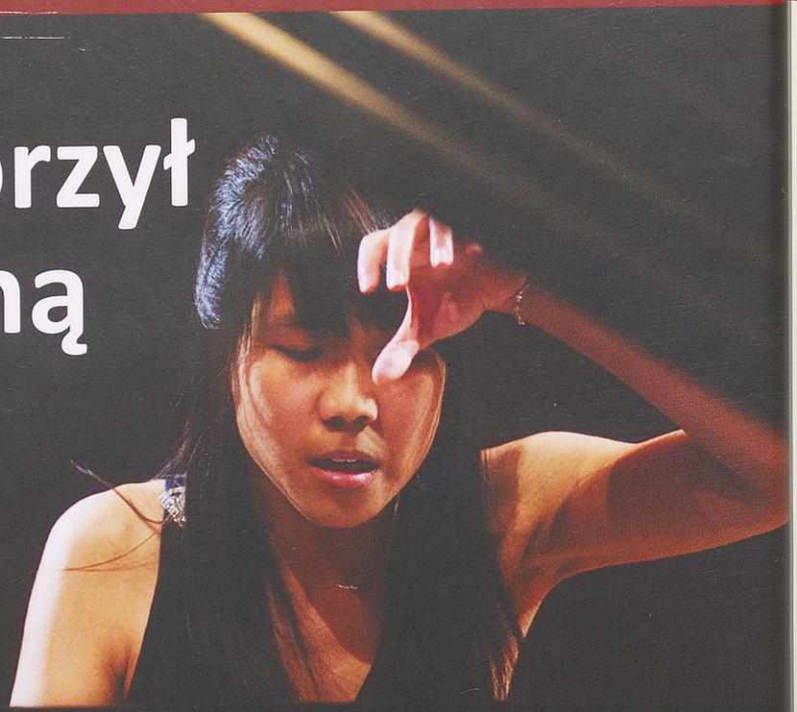

FOT. © BARTEK SADOWSKI / NIFC

Z Kate Liu rozmawia Monika Szczygło.

Monika Szczygło: Witaj Kate. Miło Cię gościć w Olsztynie. Jak się czujesz w stolicy Warmii i Mazur?

Kate Liu: Świetnie, zawsze miło jest być znowu w Polsce. Olsztyn jest dla mnie nowym miastem, więc nie mogę się doczekać, żeby poznać je lepiej. Mam nadzieję, że uda mi się to podczas mojego pobytu.

Myślę, że spodoba Ci się Olsztyn. Jakie znaczenie ma w Twoim życiu nagroda, którą zdobyłaś podczas Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego?

Ten konkurs był podsumowaniem wszystkiego, nad czym pracowałam i wszystkiego, co cenię w muzyce. Dla mnie ta nagroda nie jest tylko nagrodą. Niezwykle cenię sobie to, że doświadczeni sędziowie i muzycy, których bardzo podziwiam i na których się wzoruję uznali moje interpretacje za dobre, ciekawe i przyjemne dla ucha. To, że podobała im się moja muzyka było dla mnie najważniejszą nagrodą w tym Konkursie.

Nagroda to jedno, ale coś sprawiło, że grasz muzykę Chopina. Co najbardziej w niej lubisz i co najbardziej Cię w niej ujmuje?

Jego muzyka skupia się bardzo na emocjach. Fryderyk Chopin miał w sobie więcej pierwiastka żeńskiego niż męskiego, a jednocześnie komponował bardzo silną muzykę. Ma ona żelazny kręgosłup i strukturę. Dodatkowo zostały w niej ukryte ogromne pokłady emocji na partyturze i w nutach. Mówi to bardzo wiele o pisaniu dźwięków i tak naprawdę o to właśnie chodzi w tworzeniu – o emocje i o uczucia. Oprócz technicznych umiejętności gry to właśnie interpretacja wyciąga to, co najlepsze z jego muzyki – tak przynajmniej uważam.

Jacy kompozytorzy oprócz Chopina są ważni w Twoim życiu?

Mam wielu ulubionych i wielu z nich szanuję. Nie potrafię jednak wymienić listy nawet pięciu najbardziej przeze mnie podziwianych. Odkąd pamiętam kocham Schuberta, Beethovena, Mozarta, Brahmsa i wielu kompozytorów muzyki romantycznej.

Uwielbiam Bacha, którego kochał także Chopin. Był on po prostu geniuszem. Lubię wielu kompozytorów, bo każdy z nich ma coś do przekazania.

Jesteś bardzo lubiana przez polską publiczność, grasz wiele koncertów w Polsce. Twoje interpretacje mazurków

bardzo podobały się tutejszym melomanom. Jak się czujesz w Polsce?

Polska to niezwykły kraj. Bardzo lubię tu bywać. Jestem tu miło przyjmowana. Oczywiście dotychczas najlepiej poznałam Warszawę, gdzie miałam okazję być wiele razy. W tym też przez miesiąc w trakcie Konkursu Chopinowskiego. Zatem bardzo dobrze poznałam Waszą stolicę. Lubię grać w Polsce i lubię tu wracać.

Grasz od zawsze. Kiedy dokładnie rozpoczęła się Twoja przygoda z muzyką? Słyszałam, że zaczynałaś grę na fortepianie jak miałaś cztery lata.

Moja przygoda z muzyką rozpoczęła się dokładnie wtedy, ale na poważnie dopiero w wieku chyba... dwunastu lat. Gdy miałam cztery lata było to raczej hobby. Mojej mamie zależało, aby w naszym domu rozbrzmiewała muzyka, zatem już od najmłodszych lat uczyła nas gry na instrumencie. W tym celu także sama wcześniej musiała się podszkolić.

Podobno Twoją pierwszą inspiracją była starsza siostra i to ją starałaś się naśladować?

Tak, ona zawsze mnie inspiruje... jak to bywa u młodszego rodzeństwa. Jesteśmy umuzykalnione i obie kochamy muzykę.

Kiedy poważnie zaczęłaś myśleć o swojej karierze?

Tak bardzo poważnie w wieku 16 lat. Moi rodzice myśleli bardzo realistycznie o życiu i tego mnie także uczyli. Bycie muzykiem nie jest porównywalne do bycia lekarzem, gdzie ma się w miarę stabilną pracę. Ja jednak kochałam muzykę i zaczęłam myśleć o dalszej edukacji. Doszłam do wniosku, że chcę zająć się właśnie muzyką, bardziej niż czymkolwiek innym. Z tego, co widzimy wyszło mi to na dobre. Mam nadzieję, że nie tylko mi.

Czym masz swojego muzycznego mistrza? Kto jest ważny pod tym właśnie kątem w Twoim życiu?

Mam ulubionego wykonawcę – Grigorija Sokolova, światowej sławy rosyjskiego pianistę. Rozpoczął naukę gry na fortepianie w tym samym wieku co ja. Słucham jego wykonań i lubię chodzić na jego koncerty.

Czego można Ci życzyć na kolejne lata twórczości? Co jest Ci potrzebne? Na co najbardziej stawiasz?

Hm... koncertów zakończonych sukcesem i tego, żebym nigdy nie straciła pasji do grania. Może jeszcze szczęścia?

Zatem, niech marzenia się spełnią. Dziękuję za rozmowę.

Dziękuję bardzo.

Rozmawiała MONIKA SZCZYGŁO

Kate Liu – amerykańska pianistka urodzona w Singapurze. Kształciła się w Instytucie Muzyki w Chicago u Alona Chowa, Micah Yui i Emilia del Rosario. Obecnie przygotowuje dyplom licencjacki w Curtis Institute of Music pod kierunkiem Roberta McDonalda. Zdobyła nagrody na międzynarodowych konkursach pianistycznych (New York 2010, Oberlin 2010, Rochester 2012, Montreal 1014, Daegu 2015). Laureatka III nagrody na XVII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w 2015 roku. Tam zdobyła też nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków. Pod koniec 2015 roku rozpoczęła w Polsce trasę koncertową. Wystąpiła m. in. w Katowicach, Poznaniu, Białymstoku i Warszawie. Wydarzenia te cieszyły się ogromnym zainteresowaniem publiczności i całkowicie wypełniały sale koncertowe. Pianistka wystąpiła podczas obchodów Jubileuszu 70-lecia Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie. W bieżącym roku nominowana do nagrody „2017 American Pianists Award".

Koncert Kate Liu podczas obchodów 70-lecia Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie, 11 marca 2016 FOT. © ARKADIUSZ KORCZIN

Dylematy polskiego rynku wydawniczo-księgarskiego cz. 1

W ostatnich dwóch latach 2014--2015 wartość produkcji wydawniczej (liczonej według cen wydawnictw) to około 2,5 mld złotych, w przeliczeniu na euro to około 630 tys. Jeżeli odejmiemy od tego przychody ze sprzedaży podręczników szkolnych i wydawnictw fachowych to wartość oferty rynkowej (tzw. kolorówka) skurczy się do poziomu około 800 mln złotych, czyli w przeliczeniu na euro do wartości około 180-190 mln.

Tak dla ciekawości – polski rynek książki stanowi niecałe 3 proc. europejskiego rynku wydawniczego, którego wartość sięga rocznie 24 mld euro. Natomiast liczba ludności naszego kraju stanowi 7,5 proc. ludności Unii Europejskiej. Aby więc dorównać do średniej europejskiej w „produkcji" książki, w Polsce jej wartość powinna przekraczać rocznie 6 mld złotych, czyli około 1,5 mld euro. To dla rodzimego rynku zadanie wręcz karkołomne i niemożliwe do zrealizowania w najbliższych i dalszych latach. Dla uściślenia polscy wydawcy są w stanie tak wysoką produkcję zrealizować. Rzecz w tym, że tej zwiększonej „produkcji" książek rynek polskich czytelników (nabywców książek) nigdy nie wchłonie.

Produkcja książki

Wartość wydawanych książek od kilku lat obniża się dość widocznie. W ostatnim 15-leciu najpomyślniejszym dla książki okresie były lata 2008-2010, w których owa wartość zbliżyła się do poziomu 3 mld złotych. Późniejsze lata to już ewidentne spadki „produkcji" do niespełna 2,5 mld złotych. W styczniu 2011 roku książki zostały opodatkowane 5 proc. podatkiem VAT i między innymi w tym upatrywana jest podstawowa przyczyna spadającej „produkcji".

Regresom wartości produkcji wydawniczej towarzyszy spadek nakładów książek, z prawie 147 mln egzemplarzy w 2007 roku (apogeum) do poziomu 105 mln w roku 2014. Tak więc w ostatnich 7-8 latach spadek liczby wydanych egzemplarzy książek wyniósł blisko 30 proc.

Pocieszeniem może być liczba wydanych tytułów, których wzrost w latach 2000--2015 wyniósł blisko 74 proc. (według danych Biblioteki Narodowej: 20 298 tytułów w 2010 roku i 35 280 tytułów w 2014). Ponad połowę wydanych w kraju tytułów stanowią tzw. pierwsze wydania.

Maleją też nakłady przypadające przeciętnie na jeden tytuł. O ile w 2006 roku wskaźnik ów wyniósł blisko 7 tys. egzemplarzy (dokładnie 6 707), o tyle w roku 2014 przeciętny nakład spadł o niewiele ponad 3 tys. egzemplarzy (dokładnie 3 236).

Jak zauważamy rośnie wprawdzie liczba wydawanych tytułów, ale do potentatów w tym względzie nie należymy. Inne kraje wydają znacznie więcej tytułów. Jeżeli za miernik przyjąć liczbę wydawanych tytułów w przeliczeniu na 1 mln mieszkańców, to dla naszego kraju wskaźnik ten wynosi ponad 900 tytułów, co lokuje nas pośród europejskich średniaków. Dla przykładu takie potęgi wydawnicze jak Niemcy, Francja czy Wielka Brytania wydają dużo więcej tytułów (odpowiednio około 1 200, ponad 1 000, ponad 3 000) – wiąże to się głównie m. in. z wielkością zasięgu i znaczenia języków: niemieckiego, francuskiego, a przede wszystkim angielskiego. Na zbliżonym do Polski poziomie, legitymuje się także Rosja.

Wzrosty cen przeciętnych jednego egzemplarza książki rosną bardzo wolno, a właściwie nie rosną; w roku 2015 zanotowano spadek. Widoczny wzrost ceny egzemplarza książki miał miejsce tylko w 2011 roku i wiązał się z wprowadzeniem na książki podatku VAT.

Przeciętna cena egzemplarza książki w Polsce nie przekracza 40 złotych (czyli około 10 euro). Potocznie uważana jest za cenę wysoką i stanowi ponoć jedną z głównych przyczyn niskiej „konsumpcji" książki. Trudno jednakże z taką opinią się zgodzić. W Niemczech przeciętna cena książki wynosi też 40, tyle, że euro. W moim przekonaniu ceny książek w Polsce – chociażby na tle widocznego wzrostu jakości wydań i estetyki książek – są niskie (nawet zbyt niskie), a ich wzrost o – dajmy na to chociażby – 10 proc. bardzo by rynek książki, a w szczególności dystrybucji, umocnił i rozwinął.

W kraju działa blisko 40 tys. wydawnictw, ale 98 proc. rynku książkowego zapełnia zaledwie 300 wydawców. Jednakże rola owych 2 proc. wydawców wydających książki tzw. niszowe, jest nie do przecenienia. Stanowią oni bardzo istotny komponent kultury, niedoceniony na rynku, którym niezwykle trudno dotrzeć ze swoją ofertą czytelniczą do szerokiego spektrum czytelników.

Dystrybucja i sprzedaż

Największe problemy i dylematy na polskim rynku książki sprawia dystrybucja, w szczególności w sferach hurtu i detalu.

Aktualnie w kraju działa około 120-140 hurtowni (bądź oddziałów) księgarskich. Widać tu wyraźnie procesy konsolidacyjne (w roku 2 000 hurtowni takich było blisko 500), ale i tak liczba hurtowni w Polsce w stosunku do wielkości oferty wydawniczej i detalu jest o wiele za wysoka i nadal dość słabo „oprzyrządowana", pomijając kilka największych hurtowni jak np. OSDW Azymut, Platon czy firma wydawniczo--hurtowo-detaliczna braci Olesiejuków.

Szacuje się, że obecnie w kraju prowadzi działalność 1 600-1 700 księgarń i ich liczba coraz szybciej maleje. W roku 2000 było ich blisko 2 800, w 2005 – 2 500, w 2010 – 2 400. Trend spadkowy jest więc dobrze widoczny i wyniósł w ostatnim 15-leciu blisko 40 proc.

Aktualnie w Polsce na jedną księgarnię przypada przeciętnie ponad 23 tys. mieszkańców. U naszego południowego sąsiada – w Czechach, o 10,5 mln liczbie ludności, funkcjonuje ponad 600 księgarń. Oznacza to, że jedna księgarnia przypada statystycznie na 17,5 tys. mieszkańców.

Można zaryzykować twierdzenie, z dużą doza trafności, że malejąca w naszym kraju liczba księgarń stanowi jedną z przesłanek spadku czytelnictwa. Zabrzmi to paradoksalnie, ale równocześnie (można powiedzieć lawinowo) rośnie ilość innych, alternatywnych czy też uzupełniających księgarnie punktów sprzedaży.

W kraju książki sprzedawane są w ponad 100 tys. punktów sprzedaży kioskowej (Ruch, Kolporter, salony Inmedio), a skończywszy na sprzedaży w centrach handlowych i wielkich sieciach handlowych typu Biedronka (2 700 sklepów), Lidl, Stokrotka, Kaufland i inne. Oczywiście oferta tytułowa w tych jednostkach jest bardzo uboga, liczy od kilkunastu do kilkudziesięciu, a miejscami do ponad 100 tytułów. Ale rola i znaczenie tych punktów, jako tzw. alternatywnych kanałów dystrybucji, w obrotach na rynku książek szybko rośnie i wynosi już ponad 60 proc. (20 lat temu niespełna 40 proc.) kosztem głównie księgarń indywidualnych (tzw. niezależnych), których udział w obrotach książką wynosi niepełne 10 proc. (w 1995 roku wraz z Domem Książki blisko 60 proc.).

Warto też dodać, że rośnie znaczenie sieci księgarskich (Empik, Matras, Świat Książki, Książnica Polska), których udział w rynku wzrósł do prawie 30 proc. Dominują dwie sieci: Empik i Matras, dysponujące łącznie ponad 400 salonami i księgarniami, które w ciągu minionych dziesięciu lat zwiększyły się o prawie 50 proc. Dla przykładu sprzedaż książek w sieci Empik wyniosła w roku 2015 dokładnie 999 mln złotych (licząc w cenach detalicznych).

Tyle uwag i dylematów o stronie „produkcyjno-dystrybucyjno-sprzedażowej" tego rynku. Pora na rozważenie przyczyn i problemów z takim a nie innym ukształtowaniem tego rynku i jego wielkością.

Czytelnictwo

Problem numer jeden stanowi stan czytelnictwa w Polsce:

– 63 proc. Polaków (niemal 20 mln) nie czyta książek. Co siódmego Polaka cechuje 100 proc. bierności w „konsumpcji" tekstów zawartych w książkach, gazetach, czy też w Internecie. Owych trzech głównych generatorów kultury, wiedzy i informacji – mówiąc kolokwialnie – nie tykają,

– tylko co dziesiąty Polak czyta sześć książek w roku,

– książkę jako prezent uznaje zaledwie co dwudziesty Polak,

– książek nie czyta jedna czwarta osób z wyższym wykształceniem, jedna trzecia uczniów i studentów, niewiele ponad jedna trzecia kierowników i specjalistów oraz połowa pracowników administracji i sfery usług,

– tylko 8 proc. nastolatków (uczniów) – czyta codziennie.

Czytelnictwo w Polsce jest jednym z najniższych w Europie. Na przykład w Czechach nie czyta książek zaledwie 17 proc. populacji. 75 proc. Francuzów czyta co najmniej jedną książkę w roku, w tym ponad 40 proc. – 9 książek w roku. Bardzo wysokie wskaźniki czytelnictwa notuje Skandynawia, w tym w szczególności Szwecja i Dania, także Holandia (86 proc. czytających), Słowacja, gdzie dochody gospodarstw domowych nie odbiegają od polskich.

Znany amerykański pisarz, twórca literatury fantastycznej, Ray Bradbury twierdził, że „nie trzeba książek palić, żeby zniszczyć kulturę. Wystarczy, by ludzie przestali je czytać".

Coraz częściej w dyskusjach nad stanem czytelnictwa w Polsce pojawiają się twierdzenia, że jeśli tego stanu nie zmienimy Polakom grozić będzie to, co nazywamy analfabetyzmem funkcjonalnym, co będzie przejawiać się w nieumiejętności poprawnego pisania, komunikowania się, czytania tekstów rozmaitych pism ze zrozumieniem, absencji w uczestnictwie w demokratycznej wspólnocie i aktywności społecznej – co oczywiście grozić będzie w konsekwencji wykluczeniem społecznym.

Pomimo rozmaitych i nasilających się działań promujących książkę i czytelnictwo, na razie ich rezultaty praktyczne są – mówiąc delikatnie – mizerne. Myślę, że obecny poziom „konsumpcji" książki ma wiele zaszłości i uwarunkowań kulturowych, historycznych i społecznych, a droga jego poprawy będzie długa i wyboista.

JERZY LESZEK OKUNIEWSKI
Prezes Zarządu „Książnicy Polskiej"
Członek Rady Polskiej Izby Książki

O zagrożeniach przed jakim stoi polski rynek książki, a równocześnie zwiastunach „dobrej zmiany" w następnym numerze „Bez Wierszówki".

Źródło: TNS Polska dla BN

Czytanie książek w latach 2002-2015

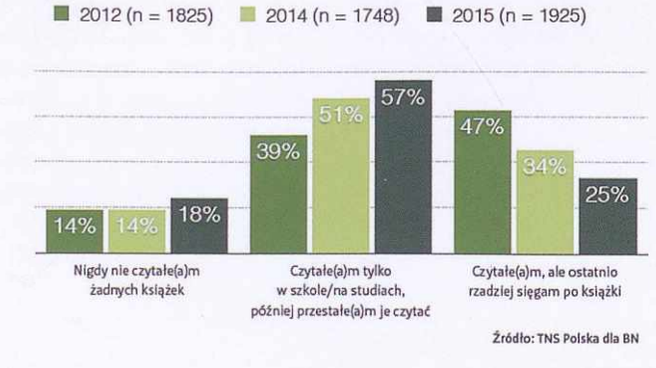

Źródło: TNS Polska dla BN

„Zerwania" z książką

Odsetki nieczytających

Cykliczne badania czytelnictwa prowadzone są przez Bibliotekę Narodową od 1992 roku. Edycja za rok 2015 prowadzona była przez TNS Polska dla Biblioteki Narodowej metodą wspomaganego komputerowo wywiadu kwestionariuszowego (CAPI) na reprezentatywnej próbie około 3 tys. Polaków w wieku przynajmniej 15 lat FOT. © BIBLIOTEKA NARODOWA

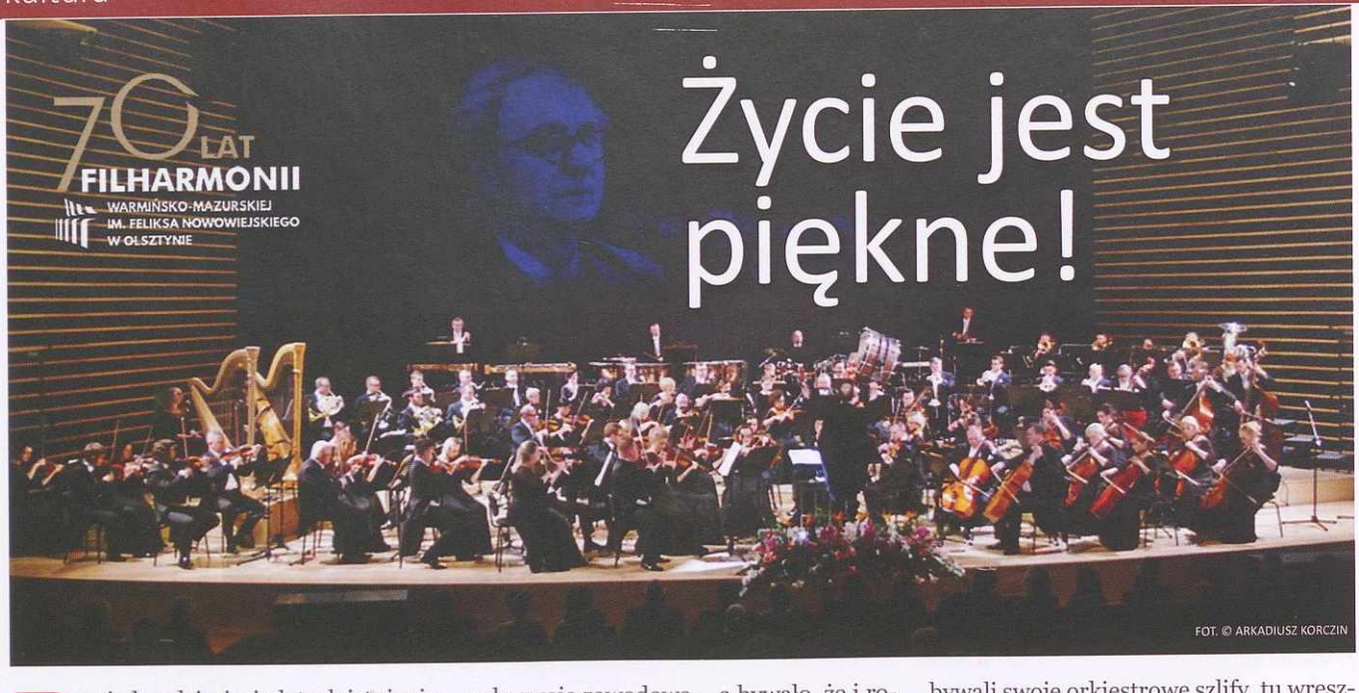

Życie jest piękne!

FOT. © ARKADIUSZ KORCZIN

Po siedemdziesięciu latach istnienia w Olsztynie orkiestry, nie sposób dziś sobie wyobrazić naszego miasta bez Filharmonii. Nie sposób wyobrazić sobie bez niej również Warmii i Mazur.

Wspominając minione czasy, warto pamiętać, że wielu ludzi dla tej instytucji, dla muzyki, dla naszych wiernych melomanów poświęciło całe swoje zawodowe – a bywało, że i rodzinne – życie. Dla wielu filharmoników, w tym również pracowników administracji czy obsługi, Filharmonia była i jest czymś znacznie więcej, niż tylko miejscem pracy.

Tu rodziły się i gasły miłości, tu podczas różnych sporów i konfliktów rozgrywały się ludzkie dramaty, tu młodzi muzycy zdobywali swoje orkiestrowe szlify, tu wreszcie spotykały nas wszystkich najgłębsze i najpiękniejsze wzruszenia, których nie zazna nikt, kto muzyce nie oddał swojego serca. I tych uniesień, tych wzruszeń, tych wzlotów duszy życzymy Szanownej Jubilatce i wszystkim jej miłośnikom na kolejne dziesięciolecia. **JANUSZ CIEPLIŃSKI**

Wystawa o Patronie Filharmonii

Z okazji obchodów 70-lecia Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii w Olsztynie w foyer Jubilatki można oglądać wystawę „Feliks Nowowiejski – ze zbiorów dr Ilony Dulisz".

Materiały zgromadzone w gablotach wystawowych zostały podzielone na następujące tematy: w kręgu niemieckiego romantyzmu, regionalizm w twórczości Feliksa Nowowiejskiego, w kręgu polskiej tradycji narodowej, przedwojenne śpiewniki Feliksa Nowowiejskiego, wydawnictwa powojenne dzieł kompozytora z lat 1946-1955, wydania powojenne dzieł kompozytora po roku 1955 oraz muzyka religijna Feliksa Nowowiejskiego.

„Wystawa cieszy się dużym zainteresowaniem osób odwiedzających Filharmonię Warmińsko-Mazurską, a szczególnie liczną rzeszę oglądających ma podczas przerw w wydarzeniach artystycznych odbywających się naszej siedzibie – zauważa Piotr Sułkowski, dyrektor naczelny i artystyczny Filharmonii. – Jesteśmy wdzięczni pani dr Ilonie Dulisz za udostępnienie filharmonicznej publiczności prywatnych eksponatów związanych z osobą Feliksa Nowowiejskiego".

Ilona Dulisz jest absolwentką muzykologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (praca magisterska „Rola instrumentacji w baletach Igora Strawińskiego") oraz germanistyki Uniwersytetu Gdańskiego (praca magisterska „Zür Musik in der Suggestopädie"). Ilona Dulisz. Pracę doktorską nt. „Twórczość religijna Feliksa Nowowiejskiego. Cechy stylistyczno-warsztatowe i recepcja" obroniła na Akademii Muzycznej im.

FOT. © ARKADIUSZ KORCZIN

Karola Szymanowskiego w Katowicach (2008); jest doktorem sztuk muzycznych w zakresie kompozycji i teorii muzyki, ze specjalnością: teoria muzyki. Dr Ilona Dulisz zajmuje się badaniem muzyki współczesnej, twórczością kompozytorską Feliksa Nowowiejskiego oraz kulturą i historią muzyki Prus Wschodnich.

Wystawa będzie czynna do 15 kwietnia. Zapraszamy! **ANDRZEJ SZTUMSKI**

Otrzymaliśmy

Wydawnictwo jubileuszowe Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii im. Feliksa Nowowiejskiego w Olsztynie

Z notatnika olsztyńskiego muzyka. 70 lat Filharmonii, Teksty J. Ciepliński, rysunki P. Banasiuk, Warmińsko-Mazurska Filharmonia im. Feliksa Nowowiejskiego, Olsztyn 2016, ss. 80.

Autorzy wydawnictwa

Paweł Banasiuk – muzyk-solista Filharmonii, pracujący w orkiestrze od 1975 roku, przez wiele lat pierwszy trębacz, posiadający bogate doświadczenie estradowe i sceniczne; prywatnie między innymi utalentowany rysownik i dowcipny komentator olsztyńskiego życia artystycznego.

Janusz Ciepliński – muzyk, w latach 1998-2013 pierwszy trębacz, solista Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej, prelegent koncertów symfonicznych, rodzinnych; założyciel (2010) i dyrektor Powiatowej Szkoły Muzycznej I st. W Dywitach, Barczewie, Biskupcu, Olsztynku i Dobrym Mieście.

78. rocznica „Pięciu Prawd Polaków”

Berlin 1938 – 6 marca – Wrocław 2016

6 marca na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu obchodzono 78. rocznicę ogłoszenia Prawd Polaków spod Znaku Rodła. Wydarzenie zostało wpisane w jubileusz 1050. rocznicy Chrztu Polski z myślą przewodnią: „Wiara Ojców naszych jest Wiarą naszych dzieci”.

W tym roku ogólnopolskie święto młodzieży spod Znaku Rodła zgromadziło kilkaset młodych osób z całej Polski. Do historycznej stolicy Śląska przyjechali goście między innymi ze Szczecina, Kaszub (Ugoszcz i Kościerzyna), Słupska, Olesna, Kwidzyna, Olsztyna, Dąbrówki Wielkopolskiej, Raciborza, Krakowa, Opola, Babimostu, Puław, Nysy, Bytomia, Warszawy, Gietrzwałdu, Zielonej Góry, Bytowa, Debrzna, Wrocławia oraz nasi rodacy z Hamburga, Berlina i USA.

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Na bogaty patriotyczny program złożyły się między innymi Hołd Polakom spod Znaku Rodła przy tablicy kościoła św. Marcina, I Marsz Rodła przez Ostrów Tumski z udziałem kilkudziesięciu pocztów sztandarowych (m. in. Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu, Straży Miejskiej Wrocławia, Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Krakowie i Raciborzu, bractwa kurkowego, harcerzy, szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich) oraz uroczysta Msza św. w archikatedrze wrocławskiej pw. św. Jana Chrzciciela z udziałem Henryka Kardynała Gulbinowicza, arcybiskupa seniora archidiecezji wrocławskiej. Liturgię, pod przewodnictwem ks. prał. Mariana Kopko, kustosza Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie, sprawowali ks. Jacek Bielski – salezjanin z wrocławskiej parafii Chrystusa Króla, ks. kan. dr Ireneusz St. Bruski z Olsztyna, ks. prał. Jan Nikiel – proboszcz bazyliki metropolitalnej we Lwowie, ks. kan. Stanisław Draguła – kapelan Rodziny Rodła we Wrocławia i ks. prał. Marian Biskup – dyrektor Wydziału Duszpasterskiego Kurii Metropolitalnej Wrocławskiej. Podczas liturgii modlono się także za śp. Władysława Gębika (1900-1986) – współtwórcy i dyrektora Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie, inaugurując równocześnie ogólnopolskie obchody 30. rocznicy jego śmierci (Wrocław – Szczyrzyc – Kwidzyn – Olsztyn – Kraków).

Kolejne punkty przebogatego programu obchodów, jak wypuszczenie w niebo 78 balonów z Prawdami Polaków, degustacja 105-kilogramowego tortu oraz ciekawy i dynamiczny program słowno-muzyczny z udziałem dzieci i młodzieży w auli Papieskiego Wydziału Teologicznego pokazały, że można skutecznie promować patriotyzm spod Znaku Rodła w XXI wieku w nowych formach przekazu. Tą część programu rozpoczął koncert Reprezentacyjnej Orkiestry Wojsk Lądowych we Wrocławiu pod batutą kapelmistrza mjr. Mariana Dziubka.

Prawdy Polaków spod Znaku Rodła proklamowane przez naszych przodków na Kongresie Polaków w Berlinie 6 marca 1938 roku, w największej sali widowiskowej Theater des Volkes, jako katechizm narodowy – „mały dekalog” polskości, stały się ogólnonarodowym dobrem, swoistym depozytem i międzypokoleniowym testamentem. „Jesteśmy Polakami! Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci! Polak Polakowi bratem! Co dzień Polak Narodowi służy! Polska Matką naszą, nie wolno mówić o Matce źle!” – to zdania mądre, uniwersalne, ponadczasowe i bardzo potrzebne dzisiejszym pokoleniom Polaków w Polsce i poza jej granicami.

„Pięć Prawd Polaków”, ogłoszonych uroczyście w trakcie Berlińskiego Kongresu, jest w istocie przysięgą, krzepiącym serca drogowskazem oraz wyznaniem polskości i miłości do Ojczyzny. Dzięki wrocławskiej tradycji, jedynej takiej w Polsce od 2004 roku, testament naszych przodków zrzeszonych w Związku Polaków w Niemczech możemy przypominać, kultywować i przekazywać kolejnym pokoleniom Polaków.

JÓZEF MŁYNARCZYK
b. prezes Związku Polaków w Niemczech
TADEUSZ SZCZYRBAK
prezes Rodziny Rodła we Wrocławiu

FOT. © JERZY STEMPLEWSKI

Święto polskiej młodzieży spod Znaku Rodła

Hołd Polakom spod Znaku Rodła przy Tablicy na murze kościoła św. Marcina FOT. © SP 99, WROCŁAW

I Marsz Rodła przez Ostrów Tumski FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Msza w archikatedrze wrocławskiej FOT. © JERZY STEMPLEWSKI

78. rocznica ogłoszenia „Pięciu Prawd Polaków”

Spotkanie w auli Papieskiego Wydziału Teologicznego FOT. © ANDRZEJ MAS

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

FOT. © ANDRZEJ MAS

FOT. © ANDRZEJ MAS

30. rocznica śmierci dr. Władysława Gębika (1900-1986)

Kraków – Wrocław – Szczyrzyc – Kwidzyn – Olsztyn

Doktor Władysław Gębik zmarł w Krakowie 23 marca 1986 roku, pochowany został na cmentarzu parafialnym w rodzinnym Szczyrzycu. 6 marca br., w archikatedrze wrocławskiej zainaugurowano ogólnopolskie obchody 30. rocznicy śmierci dr. Gębika, które odbywać się będą od marca do listopada w różnych miejscach Polski, związanych z jego życiem i działalnością. W rocznicę śmierci – 23 marca – uroczyste obchody odbyły się w Szczyrzycu, Kwidzynie i Olsztynie.

Szczyrzyc

Uroczystość przy grobie dr. Władysława Gębika na cmentarzu parafialnym: zapalenie znicza przez uczniów Gimnazjum im. Jana Pawła II. Wspomnienie postaci Wł. Gębika – Syna Ziemi Szczyrzyckiej na lekcjach historii i języka polskiego.

URSZULA STOKŁOSA

Kwidzyn

Msza w kościele św. Wojciecha w intencji śp. Władysława Gębika z udziałem dyrekcji, nauczycieli, pracowników, uczniów i harcerzy oraz pocztów sztandarowych kwidzyńskich szkół noszących imię dr. Władysława Gębika – Szkoły Podstawowej nr 6 i I Liceum Ogólnokształcącego dawn. Polskiego Gimnazjum.

Całodzienna Warta Honorowa przy popiersiu Patrona Szkoły, pełniona przez wyróżnionych uczniów.
Uroczystości w Szkole Podstawowej nr 6 rozpoczęto od Apelu Pamięci na dziedzińcu szkoły zakończony odśpiewaniem hymnu szkoły – „Pieśni Kwidzyniaków" autorstwa Władysława Gębika (od wielu lat codziennie, w samo południe, wybrzmiewa z kwidzyńskiego ratusza jako Hejnał Miasta Kwidzyna).

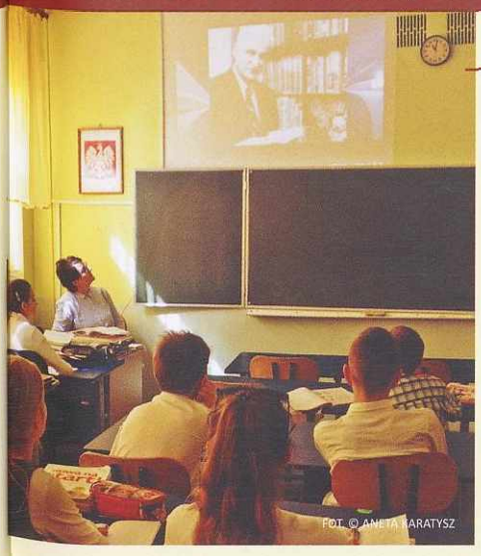

W klasach IV-VI na lekcjach historii przypominano działalność Władysława Gębika, między innymi w latach 1937-1939 na terenie Kwidzyna. Na lekcjach języka polskiego omawiana była jego twórczość, w której można odnaleźć wiele mądrości i wartości cechujących dobrego Polaka, znającego i szanującego historię swojego kraju.
W ramach obchodów podsumowany został także „Konkurs Wiedzy o Patronie Szkoły", który w klasach IV-VI przeprowadzono tydzień wcześniej. Nagrodzono 15 osób, które wykazały się wyjątkowo dobrą znajomością życiorysu dr. Gębika oraz wiedzą o jego działalności i twórczości.
Ponadto na „telebimach", zawieszonych na korytarzach szkolnych, można było obejrzeć wykonane przez uczniów krótkie filmy (prezentacje) o Patronie Szkoły, a na stojących tablicach – interesujące wystawy fotograficzne z życia dr. Władysława Gębika.

LIDIA NOWACKA

„Turniej Wiedzy o Patronie" dla uczniów klas I-III zorganizowany metodą projektu przez Samorząd Uczniowski, w którym wykorzystano m. in. puzzle, rozsypanki literowe i rebusy. Dostarczył on najmłodszym mnóstwa radości ze wspólnej zabawy. Dzieci nie tylko sprawnie układały portret patrona i właściwie go podpisywały, ale rozpoznawały książki napisane przez dr. Gębika. Wiedzą, kim był i skąd pochodził. Zainspirowane muzyką góralską, z przygotowanych dla nich materiałów, wykonały i zaprezentowały ciekawe stroje góralskie. Wykazały się znajomością słów hymnu szkoły. Poznały ważną symbolikę Rodła.

Olsztyn

W ramach obchodów olsztyńskich, zorganizowanych przez Warmińsko-Mazurski Oddział SDP, w bazylice konkatedralnej św. Jakuba uczestniczono we Mszy św. w intencji śp. Władysława Gębika oraz odbył się Apel Pamięci przy Tablicy dr. Gębika. Wspominano Doktora, Monika Gębik-Czajkowska odczytała wiersz Marii Zientary-Malewskiej o swoich dziadkach pt. „Przyjaciele" oraz złożono kwiaty i zapalono znicze. Uroczystości zakończyło spotkanie w mieszkaniu nr 7 przy ul. Wyzwolenia 9, w którym w latach 1946-1964 mieszkali Maria i Władysław Gębikowie, a którego obecnymi właścicielami są Katarzyna i Piotr Niczyperowiczowie – kierujący portalem internetowym express.olsztyn.pl, który w bieżącym roku został wyróżniony Nagrodą Wolności Słowa w Konkursie im. Seweryna Pieniężnego. **IRENEUSZ ST. BRUSKI**

Na zdjęciu obok, od lewej: Piotr Niczyperowicz, Joanna Gębik, Konrad Piskuła, Monika Gębik-Czajkowska i Ireneusz St. Bruski

Anielka Płochocka z mamą

FOT. © PIOTR „VASCO" WASILKOWSKI

Z życia Fundacji Dzieciom

Z Moniką Sadową, rzecznikiem prasowym Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", rozmawia Anna Kryszczuk.

Anna Kryszczuk: Ilu podopiecznych obecnie zrzesza Fundacja?

Monika Sadowa: Niedawno informowaliśmy o 28-tysięcznej podopiecznej Ani Mrówczyńskiej, a w tej chwili mamy pod opieką już 29 tysięcy dzieci. To jest efekt przejrzystego i transparentnego sposobu działania Fundacji. Nie pobieramy prowizji od darowizn, wpłat 1 % podatku oraz prowadzenia subkont. Służymy pomocą i wsparciem rodzinom dotkniętym problemem choroby dziecka. Dlatego rodzice rekomendują sobie nawzajem skorzystanie z pomocy Fundacji.

Nasza 29-tysięczna podopieczna trzyletnia Anielka Płochocka cierpi na nowotwór gałki ocznej – skórzakotłuszczaka. Dziewczynka została zakwalifikowana do operacji u dr. Davida Abramsona w Klinice w Nowym Jorku, podejmującej się leczenia najtrudniejszych przypadków chorób okulistycznych. Koszt operacji jest niestety bardzo wysoki, wynosi ponad 360 tys. złotych. Dzięki zaangażowaniu wielu osób udało się zebrać połowę potrzebnej kwoty, jednak nadal konieczne jest wsparcie Anielki, aby jak najszybciej mogła rozpocząć leczenie. Czas ma znaczenie.

Czym aktualnie zajmuje się Fundacja?

Dla podopiecznych prowadzimy trzy ośrodki rehabilitacji w Warszawie: AMICUS, BIOMICUS i CEMICUS wraz z zakwaterowaniem. Ośrodki wyposażamy w nowoczesny sprzęt, a terapeuci stale podnoszą swoje kwalifikacje i poszerzają ofertę rehabilitacyjną.

W ubiegłym miesiącu koordynatorzy wszystkich ośrodków rehabilitacji odwiedzili krakowską Klinikę CenterMed, w której wykonywane są operacje unikalną metodą Ulzibata. To minimalnie inwazyjny i uniwersalny zabieg stosowany w leczeniu organicznych przykurczy mięśniowych występujących między innymi w dziecięcym porażeniu mózgowym. Jedynie sześć klinik na świecie operuje tą metodą. Nasze ośrodki przygotowały się do rehabilitacji pacjentów operowanych metodą Ulzibata.

W najbliższym czasie wprowadzimy także kolejne metody rehabilitacji logopedycznej, tak aby nasi pacjenci otrzymali kompleksową pomoc rehabilitacyjną dostosowaną do ich schorzenia lub stopnia niepełnosprawności. Dla podopiecznych spoza Warszawy prowadzimy pięć hosteli usytuowanych w ośrodkach lub w ich pobliżu.

Czy Fundacja proponuje swoim małym podopiecznym zajęcia, które pozwolą im się oderwać od codziennej rehabilitacji?

Tak, zależy nam, aby dzieci się rehabilitowały także poprzez sztukę, rozrywkę i kontakty ze zdrowymi rówieśnikami. Taki cel przyświeca Klubowi Myszki Norki, który od wielu lat prowadzi dla dzieci niepełnosprawnych, ale także dla tych zdrowych, zajęcia integracyjne – edukacyjne, artystyczne, sportowe.

W ramach Klubu Myszki Norki działa między innymi szkółka taneczna i piłkarska. Myszka Norka organizuje zajęcia z cyklu „Mali Artyści", „Mali Odkrywcy", „Podróże z Myszką Norką", lekcje muzealne w Muzeum Narodowym. W warszawskim kinie Praha oferujemy seanse filmowe dla klubowiczów. Maluchy mogą wziąć udział w bezpłatnych pokazach bajek połączonych z warsztatami twórczymi. Organizowane są bezpłatne comiesięczne spotkania w warszawskim ZOO, gdzie Myszka Norka wraz z przewodnikiem oprowadza dzieci i ich rodziców po terenie ogrodu.

Co udało się Fundacji zrealizować w roku 2015?

W ośrodku AMICUS wprowadziliśmy metodę rehabilitacji ruchowej w kombinezonach Atlant. Kombinezony usprawniają ośrodki układu nerwowego poprzez wykonywanie odpowiednich ćwiczeń. W kombinezonie umieszczone są komory powietrzne, do których tłoczone jest powietrze. Komory w efekcie rozszerzają się i naciągają tkaninę, co zapewnia stabilizację i pionizację

Podopieczni podczas rehabilitacji...

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Klaudia na bieżni w Ośrodku AMICUS

Alicja w kombinezonie Atlant

Piotr w trenażerze chodu

postawy ćwiczących osób. Kombinezon Atlant przeznaczony jest dla dzieci i dorosłych z porażeniem mózgowym, dyskopatią oraz schorzeniami układu ruchu.

W ośrodku BIOMICUS daliśmy podopiecznym możliwość skorzystania z unikalnej terapii chodu z wykorzystaniem automatycznego trenażera chodu – Prodrobota. Został skonstruowany w 2011 roku przez Grzegorza Piątka, ówczesnego studenta AGH, z myślą o dwóch braciach bliźniakach – podopiecznych Fundacji cierpiących na dziecięce porażenie mózgowe. Wynalazkiem zainteresowała się firma, która wprowadziła urządzenie do produkcji, a ośrodek BIOMICUS jako pierwszy w Polsce mógł zaproponować terapię chodu na tym innowacyjnym urządzeniu. W kwietniu rusza projekt, w ramach którego rodzice skorzystają z cyklu 20 spotkań po dwie godziny tygodniowo treningu pod okiem fizjoterapeuty.

W ośrodku CEMICUS uruchomiliśmy zajęcia terapeutyczne dla dorosłych osób niepełnosprawnych. Obejmują one rehabilitację ruchową, konsultacje neuropsychologa i neurologopedy, psychoterapię oraz terapię EEG Biofeedback. Ośrodek CEMICUS prowadzi terapię ruchową, wykorzystując również kombinezony Atlant.

Jakie plany ma Fundacja w najbliższym czasie?

Z okazji Dnia Matki organizujemy, jak co roku, imprezę dla mam naszych podopiecznych, aby uhonorować ich codzienny trud i oddanie. W tym roku uroczystość odbędzie się w Teatrze Syrena. Staramy się sprawić radość tym wyjątkowym kobietom, które obchodzą swoje święto. Mamy nadzieję, że dużą przyjemność sprawi im spektakl teatralny w reżyserii Wojciecha Malajkata pt. „Pajęcza sieć" z udziałem takich gwiazd, jak Magdalena Wójcik, Piotr Polk, Tadeusz Borowski, Piotr Szwedes. Nie zabraknie także podarunków i bezpłatnej loterii fantowej, w której panie będą mogły wylosować atrakcyjne nagrody.

Myszka Norka nie zapomni natomiast o Dniu Dziecka. Z tej okazji nasi podopieczni będą mogli zaznać wspaniałej zabawy i wielu dodatkowych atrakcji na Placu Zabaw Jupi Park w Warszawie. Nie zabraknie malowania buziek, spotkań z ciekawymi gośćmi i innych przyjemności. Z okazji Dnia Dziecka Myszka Norka weźmie udział w licznych imprezach, między innymi w Domu Dziecka w Julinie, Centrum Rehabilitacji, Edukacji i Opieki Towarzystwa Przyjaciół Dzieci HELENÓW i innych.

W nieco dalszej perspektywie, bowiem w październiku pragniemy zorganizować „Orszak Przyjaciół". To impreza, do udziału w której chcemy zachęcić dzieci wraz z ich zwierzątkami. Inicjatywa ma na celu uwrażliwienie opinii publicznej na problemy ubogich, niepełnosprawnych i chorych. Tworzymy bowiem społeczeństwo, w którym potrzeba osób zaangażowanych w niesienie im pomocy. Jednocześnie chcemy, aby to wydarzenie, w którym wezmą udział całe rodziny razem z własnymi pupilami, miało radosny charakter.

Z kolei Ośrodek CEMICUS ma ambicję zaspokojenia oczekiwań seniorów, rzadziej uczestniczących w życiu kulturalno-społecznym. Planuje uruchomić Klub Seniora oferujący zajęcia grupowe oraz indywidualne dostosowane dla osób w wieku emerytalnym. W planach jest „Gimnastyka dla Zawałowców", „Rozciąganie z elementami jogi", „Klub Dyskusyjny", zajęcia międzypokoleniowe oraz potańcówki „Dyskoteka Seniora".

Życzę wiele satysfakcji w pracy na rzecz potrzebujących i bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała ANNA KRYSZCZUK

Jeżeli chcielibyście Państwo pomóc Anielce...

Darowizny:

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą"
01-685 Warszawa, ul. Łomiańska 5
Konto: 15 1060 0076 0000 3310 0018 2615
z dopiskiem: „29000 Anielka Płochocka – darowizna na pomoc i leczenie"

1 % podatku dochodowego:

Wystarczy w rozliczeniu rocznym, w rubryce „Wniosek o przekazanie 1 % podatku należnego na rzecz organizacji pożytku publicznego (OPP)" wpisać w polach:
KRS 00000037904
Cel szczegółowy 1 %: 29000 Anielka Płochocka

Dziękujemy za 1% podatku

Fundacja zrzesza ponad 29.000 dzieci.
Pomaga im w walce o życie i powrót do zdrowia.

Podopiecznych Fundacji można wspierać przez cały rok, przekazując darowizny na konto:

92 1060 0076 0000 3210 0019 6507

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”
ul. Łomiańska 5 • 01-685 Warszawa
www.dzieciom.pl • www.abcrehabilitacji.pl • fundacja@dzieciom.pl

Polub nas na Facebooku:)

Lubię

Józef Mehoffer
Pochwała radości życia

Sztuka Józefa Mehoffera ulegała wyraźnym przeobrażeniom w okresie 50 lat pracy twórczej. Tendencje nurtujące sztukę europejską na przełomie XIX i XX wieku pozwoliły zachować odrębny i indywidualny charakter twórczości artysty.

Malarstwo sztalugowe

Sztuka Mehoffera afirmowała życie i jego uroki. Znaczną część twórczości artysty stanowi malarstwo sztalugowe. Skłonność do operowania czystymi, nasyconymi kolorami, ustąpiła miejsca barwom przełamanym, jaśniejszym. Kontur odgrywający dużą rolę dekoracyjną, uległ znacznej redukcji, zacierany plamami barw. Przykładem może być seria portretów – poznanych w Paryżu w 1895 roku – panien Jankowskich, z których starsza Jadwiga została jego żoną i matką jedynego syna Zbigniewa. W tych obrazach Mehoffer zdołał uchwycić nastrój chwili, ulotny moment, atmosferę. Ukazał kobietę szczęśliwą, adorowaną, ufną w czar głosu i świetną przyszłość. Ważną rolę odgrywa w nich światło, które wydobywa wyraźnie materię kobiecych strojów. Tło zamyka często, dekoracyjna tkanina. Artysta najczęściej ukazywał Jadwigę w wykwintnych strojach, pięknych sukniach. Oddawał każdy szczegół i detal sukni żony, wraz ze strojnym kapeluszem. Śledził nowinki w modzie, przywiązywał ogromną wagę do dekoracyjnych aspektów sukien, ornamentów i detali z obrazów i kartonów w tle jej portretów, tak jak w „Portrecie żony – Na letnim mieszkaniu" z roku 1904 czy „Portrecie żony na tle Pegaza" z 1913 roku.

Każdego roku, jak większość krakowskiego środowiska artystycznego, rodzina Mehoffera wyjeżdżała latem na wieś. Z powstałych wówczas obrazów jawi się piękny widok na ogród pełen pąsowych malw, dalej sad starych rozłożystych jabłoni. Rozpoznajemy mniszek, koniczynę czy jaskry. Fascynacja epoki florą, procesami wzrostu i dojrzewania, pełną pierwotnej jedności naturą, tak jak w dzieciństwie – wieku niewinności. Ulubiony w okresie secesji motyw ogrodu, sadu z owocującymi drzewami, i w ten słoneczny dzień, między drzewami uginającymi się od owoców dostrzegamy w pełnym słońcu dziecko w złocistej czuprynie, trzymające w rękach dorodne malwy. Między drzewami wplecione girlandy kwiatów. Z cienia wyłania się kobieta w szmaragdowej toalecie, sięgająca po dojrzały owoc. Elementem secesyjnym jest ogromna ważka błękitno-zielona, która przeleciała przed naszymi oczyma, mieniąc się blaskiem drogich kamieni. Migoce drobnymi światełkami jak z innej bajki. Tak powstawał obraz „Dziwny ogród" (1902-1903), który znajduje się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Józef Mehoffer, autoportet, 1944 © MUZEUM POMORZA ŚRODKOWEGO W SŁUPSKU

Józef Mehoffer doświadczył pełnej satysfakcji w życiu osobistym i zawodowym, przez ponad czterdzieści wspólnie przeżytych szczęśliwych lat. Stałym „repertuarem" jego płócien była ogrodowa sceneria, jak i portret kobiety w najmodniejszych strojach. W urokliwie położonej, malowniczej wiejskiej posiadłości, w Jankówce koło Wieliczki, projektował ogrody i kwietniki dla swych przyjaciół. Intencja utworzenia kwietnej mozaiki

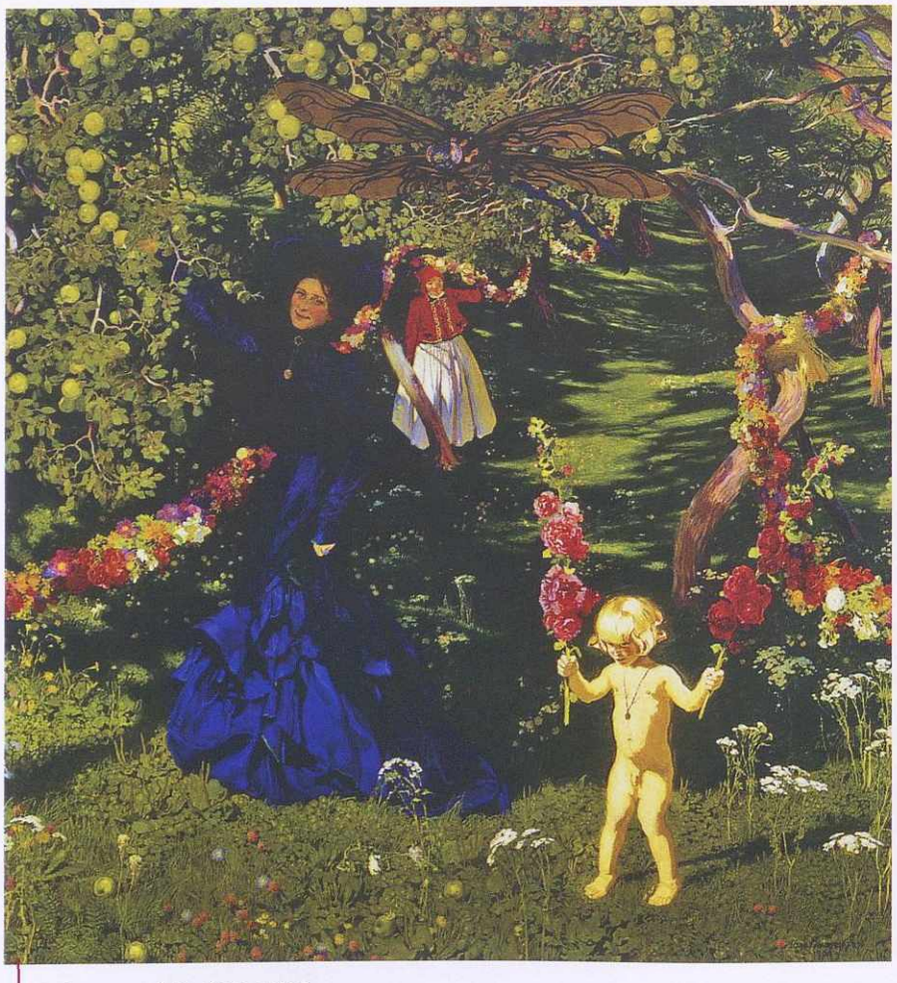

„Dziwny ogród", 1902-1903
© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

„Portret żony – Na letnim mieszkaniu", Zakopane, 1904 © MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

z odrębnymi gatunkami kwiatów, wśród których ścieżki snuły się jak złote pasemka. Tymi kolorowymi tematami chętnie posługiwał się w pejzażu.

Polska sztuka secesyjna

W roku 1898 powstało Towarzystwo Artystów Polskich „Sztuka", które miało dużą rolę w kształtowaniu sztuki polskiej. Józef Mehoffer zaangażował się w jego działalność, jako współzałożyciel z Chełmońskim, Axentowiczem, Tetmajerem, Stanisławskim, Wyspiańskim i Wyczółkowskim. Organizowali wspólnie wystawy.

„Sztuka" natychmiast zwróciła uwagę Polaków i Europejczyków. Pozytywnie byli oceniani przez krytyków w Wiedniu, Pradze, Monachium, Wenecji, Berlinie, Budapeszcie. Prace Mehoffera utrzymane w duchu secesyjnym przy projektowaniu wystroju Sali „Sztuki" na IX Międzynarodową Wystawę Sztuki w 1905 roku w Wiedniu. Stylowo jednolita całość o charakterze ogrodowej werandy. Motywy kwiatów, motyle, zieleń oraz stylizowany motyw ludowy na fryzie. Obrazy i rzeźby zestawione z wykwintnym estetycznym smakiem w zharmonizowaną z dekoracyjnym otoczeniem, całość. W centralnym miejscu sztandarowe dzieło „Dziwny ogród" nagrodzony złotymi medalami na Wystawie Powszechnej w St. Luis i Chicago w 1904 roku oraz w Monachium w 1905. Obraz „Śpiewaczka" z 1897 roku, obecnie w Państwowej Galerii Obrazów we Lwowie, nagrodzony był wielkim złotym medalem na światowej wystawie w Paryżu w 1900 roku.

W dziedzinie malarstwa monumentalnego Mehoffer stworzył polichromię Skarbca katedry wawelskiej (1901) oraz kartony witraży katedry wawelskiej w Kaplicy Świętokrzyskiej z 1904 roku zrealizowane dwadzieścia lat później. Kartony, przygotowane na Międzynarodową Wystawę Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu (1925), nagrodzono Grand Prix. Bardzo wysoko ocenione dzieło Mehoffera doczekało się realizacji w niezwykle wyrafinowanej kolorystyce o barwach w wielu odcieniach, czego osobiście nadzorował podobno sam artysta. W najwyższej zwieńczonej strefie, przestylizowane korony przenikające w bogaty motyw roślinny. W środku postać modlącego się anioła. Sceny Ukrzyżowania Chrystusa i Odnalezienia Krzyża przez św. Helenę, widzimy w górnym pasie. Motyw pochodu ludzkości dźwigającej swe krzyże został przedstawiony w sposób nowatorski w dolnym pasie obu okien. Pod stopami wybujałe osty symbolizujące trudy życia, cierpienie łączące się z ideą zmartwychwstania, z nadzieją na oswobodzenie ojczyzny.

Witraże i polichromie dla katedry wawelskiej były częściowym spełnieniem marzeń artysty o kompleksowym wystroju świątyni krakowskiej jako symbolu historii narodu polskiego oraz nadziei wyzwolenia. Dla Mehoffera katedra na Wawelu posiada tajemnicę nadzwyczajną w sobie, tajemnicę malowniczości i uroku polskiego kościoła. Mehoffer miał to szczęście, że jego projekty i realizacje witraży w katedrze na Wawelu zostały w większości zrealizowane.

Pięknym przykładem polskiej secesji jest projekt polichromii do katedry w Płocku, wykonany akwarelą i gwaszem ze złoceniem, zatytułowany „Anioł" z roku 1903. Ta dość odważna dekoracja katedry, jako „symfonia kolorowa obejmująca gmach cały", z motywem bardzo żywej ornamentyki zaczerpniętej z ludowego budownictwa z motywami kwiatków, ptaszków, dzbanuszków. Odważny nowatorski projekt o korzeniach z ludowej sztuki mazurskiej. Sylwetki młodzieńców aniołów w stylizowanym stroju, wzbogaconym złoceniami, nie straciły nic z wdzięku i świeżości swych dziecięcych modeli rodem znad Wisły.

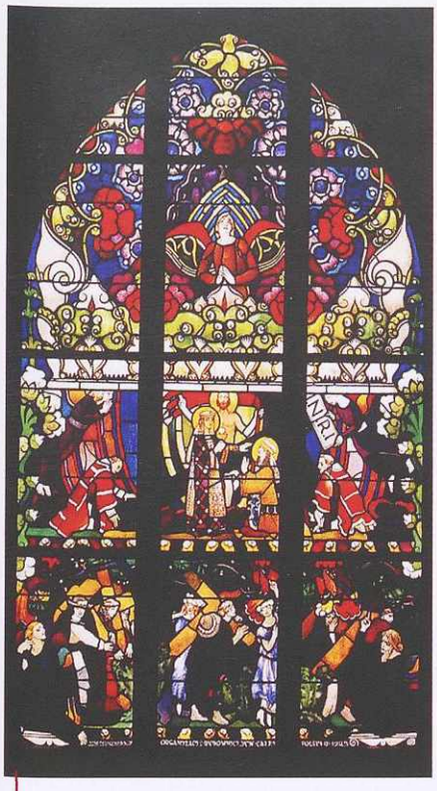

„Dzieje Krzyża Świętego", witraż w Kaplicy Świętokrzyskiej, 1904-1924

© KATEDRA NA WAWELU

„Anioł", projekt polichromii do katedry w Płocku, 1903

© MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

„Chrystus Frasobliwy" i „Sancta Virgo", projekt witraży do katedry na Wawelu, 1909 © MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Życie kulturalno-artystyczne w Krakowie

W krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych Mehoffer zostaje zatrudniony jako wykładowca, a w latach 1914/1915-1917/1918 i 1932/1933 piastuje godność rektora. Surowo rozprawiał się z malarstwem akademickim. Uważał, że sztywne zasady chronią jedynie przeciętnych, którzy nie potrafią zdobyć się na oryginalność. Stosował nasycone barwy, mistrzowskie zespolenie dekoracyjnej płaszczyzny w kompozycjach z falistą linią. Jego charakterystyczny styl przejawiał się we wszystkich dziedzinach twórczości.

Dom Mehofferów przez lat kilkadziesiąt odgrywał liczącą się rolę w życiu kulturalno-artystycznym Krakowa. W salonie muzycznym Mehofferów grywali znani muzycy. Częstymi gośćmi byli Zenon F. Przesmycki, Karol Stryjeński, Ludwik Solski, Grzymała Siedlecki, Hubert Rostworowski.

Po wybuchu II wojny światowej Mehoffer przebywał we Lwowie, następnie trafił do obozu hitlerowskiego w Aš na terenie Reichsgau Sudetenland (Okręg Rzeszy Kraj Sudetów). Zwolniony w wyniku interwencji dyplomatycznej Watykanu i rządu włoskiego powrócił do Krakowa.

W latach okupacji dom Mehofferów stał się znów ośrodkiem życia artystycznego ze stałymi niedzielnymi koncertami. Uczestniczyli w nich: Zygmunt Przeorski, Egon Petri, Zygmunt Dygat, Bolesław Wallek-Walewski. Jego dom był schronieniem dla syna słynnego Feliksa Manghi Jasieńskiego, słynnego kolekcjonera i entuzjasty sztuki japońskiej. Artysta o niezwykłej dyscyplinie, pracujący twórczo niemal do ostatnich chwil życia. Zmarł 8 lipca 1946 roku w Wadowicach, pochowany został na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

TADEUSZ BRZESKI

Ławeczka Józefa Mehoffera w Turku według projektu Mai Brzyskiej

FOT. © WIKIMEDIA

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH oraz UNIWERSYTET MUZYCZN
FRYDERYKA CHOPINA

zapraszają do Domu Dziennikarza na

"Muzyczne impresje w kobiecej odsłonie"

Koncert muzyki barokowej, romantycznej i współczesnej

Wystąpią laureaci międzynarodowych konkursów:

ZOYA RUDKO
saksofon (Ukraina)

IRINA SEROTYUK
akordeon (Ukraina- Szwecja)

ZUZANNA FEDEROWICZ
harfa (Polska)

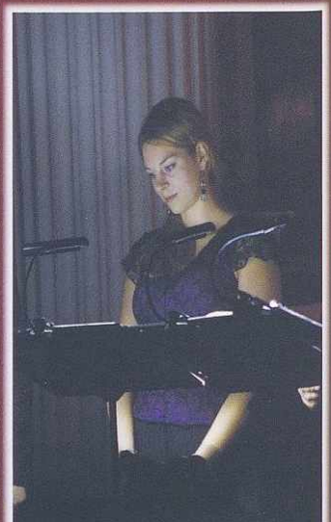

MARTA CZARKOWSKA
sopran (Polska)

15 kwietnia, godz. 18:00
ul. Foksal 3/5

W programie: François Schubert L'Abeille, Volodymyr Runchak Suite No 2 Ukrainian cz.2 i 3 Johann Sebastian Bach, Preludium i Fuga cis moll II DTK, Eugène Joseph Bozza Pièce brève , Marc Antonio Cesti Intorno all' idol mio, Giovanni Felice Sances Usurpator tiranno Volodymyr Runchak Yin and Yang,the Harmony of Opposites. Diptych for Accordion, Jean-Philippe Rameau Les Cyclopes,Claude Debussy Clair de lune, Maurice Ravel Cinq Mélodies populaires Grecques, Vladimir Kharlamov Rozmowa z saksofonem

WSTĘP WOLNY

Rok 2016. O nowomowie politycznej poprawności

Największymi sojusznikami islamskich radykałów są poprawnie polityczni dziennikarze, naukowcy i publicyści, którzy przez lata dławili otwartą i rzetelną krytykę islamu.

Język poprawności politycznej wprowadzony do debaty publicznej przypomina komunistyczną nowomowę. Ma też podobny cel – ukryć niewygodne fakty.

Islamofobia jako wytrych

Jedną z podstawowych cech nowomowy jest widoczna tendencja do jednoznacznego wartościowania, prowadząca do trwałego podziału na nas – dobrych, postępowych, miłujących tolerancję i tych złych – rasistów, islamofobów, rozmaitej maści „siejących nienawiść". Charakterystyczne dla nowomowy jest wprowadzanie znaczeń, które w gruncie rzeczy nie mają żadnego konkretnego znaczenia. Użytkownikom nowomowy nie chodzi bowiem o opis świata, lecz o jego jednoznaczną ocenę, stąd też w języku publicznym karierę robi pojęcie „islamofobii".

Czym ona właściwie jest? Na czym dokładnie polega? Tego nie wiadomo. Pojęcie to służy jedynie zamknięciu ust krytykom islamu. Mówisz źle o islamie, więc masz psychologiczny problem; jesteś ogarnięty nieuzasadnionym lękiem, więc powinieneś się leczyć. Użytkownikom tego sloganu chodzi o to, żeby uniemożliwić postawienie pytania, czy obawy przed islamem mają swoje racjonalne uzasadnienie.

„Mowa nienawiści"

„Mowa nienawiści" doczekała się oficjalnej definicji jeszcze w 1997 roku. Oficjalna rekomendacja Rady Europy uznaje za mowę nienawiści „wszelkie formy wypowiedzi, które szerzą, propagują czy usprawiedliwiają nienawiść rasową, ksenofobię, antysemityzm oraz inne formy nienawiści bazujące na nietolerancji m. in. nietolerancję wyrażającą się w agresywnym nacjonalizmie i etnocentryzmie, dyskryminację i wrogość wobec mniejszości, imigrantów i ludzi o imigranckim pochodzeniu. «Rasistowski i ksenofobiczny materiał» oznacza każdy materiał, obraz lub jakąkolwiek inną ilustrację idei lub teorii, która zaleca, promuje lub nawołuje do nienawiści, dyskryminacji lub przemocy wobec osoby lub grupy osób ze względu na rasę, kolor, religię, pochodzenie albo przynależność narodową lub etniczną, jeśli są wykorzystywane jako pretekst do któregokolwiek z tych czynników".

Z tego wynika, że „mową nienawiści" może stać się krytyka islamu, obrona europejskich wartości, stanowisko mówiące, że idee tradycyjnego islamu stoją w jawnej sprzeczności z europejskim rozumieniem praw człowieka i wolności. Może być nią nawet przekonanie, że kultura polska czy europejska jest wartością, której należy bronić przed niszczącymi wpływami z zewnątrz. Czyż to nie jest jaskrawy przykład „etnocentryzmu"?

Zadziwiające, że tropiciele przykładów „mowy nienawiści" ignorują liczne, pełne nienawiści kazania wobec niewiernych. Przykłady? W połowie marca tego roku duński imam mówił otwarcie o tym, że z niewiernymi nie należy się integrować, zamiast tego zalecał kulturowy podbój Europy. Z tej perspektywy nie dziwi opór duńskich imamów przeciwko serialowi dokumentalnemu, emitowanemu w telewizji TV2, którego twórcy upubliczniają treści przekazywane w meczetach wiernym. To z ich materiału można było się dowiedzieć, że Imam Abu Bilal z miasta Aarhus otwarcie popiera kamienowanie niewiernych kobiet.

Nie używać tego słowa na „i"

Najczęściej wykorzystywanymi figurami retorycznymi w języku politycznej poprawności, podobnie jak w nowomowie, są peryfrazy, hiperbole i eufemizmy. Peryfraza uniemożliwia nazywanie rzeczy po imieniu; jej funkcją jest zastępowanie jednego pojęcia kilkoma innymi słowami. Zamiast powiedzieć „muzułmanin", niemieckie media po sylwestrowych atakach mówiły o „mężczyznach o nieeuropejskich rysach twarzy", „mężczyznach, których wygląd wskazywał na pochodzenie z Afryki Północnej", a także o „ludziach z emigranckim tłem".

Również w dyskursie publicznym unika się uparcie łączenia islamu z problemem terroryzmu, masowej migracji czy promowania wartości szariackich. W ten sposób tworzy się wrażenie, jakoby idea dżihadu rozumianego jako wojna z niewiernymi, czy też oparty na zniewoleniu i przemocy porządek prawny zwany szariatem, stanowiły osobne wobec islamu zjawiska.

W języku poprawności politycznej sięga się często po eufemizmy, mające na celu łagodzenie przekazu. Zamiast jednoznacznie nazwać wielu muzułmańskich duchownych zwolennikami totalitaryzmu, ekstremistami wrogo nastawionymi wobec Europy, mówi się o „islamskich konserwatystach" czy zwolennikach „tradycyjnego islamu". Jednocześnie poprawne politycznie media kreują zdecydowanie wrogi i nienawistny obraz krytyków islamu, w tym również islamskich reformatorów. Dlatego też opinie mówiące o tym, że w islamie istnieją treści zachęcające oraz usprawiedliwiające przemoc, czy też, że pozycja muzułmańskich kobiet jest upośledzona i podrzędna, uznane zostają za niesprawiedliwy stereotyp czy nawet przejaw nienawiści.

„Terroryzm nie ma nic wspólnego z islamem"

W krajach komunistycznych język pełnił także funkcje rytualne. Partyjni notable w czasie okolicznościowych przemówień wielokrotnie powtarzali te same kalki językowe. Podobnie dzieje się dziś. Te same frazesy towarzyszą każdemu zamachowi przeprowadzonemu w imię Allaha. Dają się one ułożyć w następujący schemat: „Duchowny islamski X potępił terroryzm", „Arabista Y mówi, że terroryzm nie ma nic wspólnego z religią", „Polityk Z wyraził nadzieję, że w społeczeństwie nie wzrośnie islamofobia po zamachach, które psują opinię pokojowym z natury muzułmanom".

Niewielu ma odwagę po prostu sięgnąć do Koranu, hadisów, sunny czy innych teologicznych tekstów islamu i wskazać te fragmenty, które do otwartej walki z niewiernymi zachęcają. Pytania o religijne powody terroryzmu są przecież nie na miejscu, gdyż jak wiadomo... terroryzm nie ma nic wspólnego z islamem.

Myślenie życzeniowe

Język komunistycznego totalitaryzmu w swoim dążeniu do kształtowania rzeczywistości, modelowania jej w sposób dowolny, zdradzał i w tym punkcie podobieństwa do politycznie poprawnego przekazu. Orientaliści, dziennikarze czy politycy zapewne wierzą w to, że jeżeli setki razy powtórzą zadanie „islam jest religią pokoju", to od tego powtarzania zmieni się rzeczywistość.

Cóż, jak widać, islam o tym nic nie wie i znowu pokazał nam swoją brutalną twarz.

PIOTR ŚLUSARCZYK
euroislam.pl

Dopuśćmy rozum do głosu!

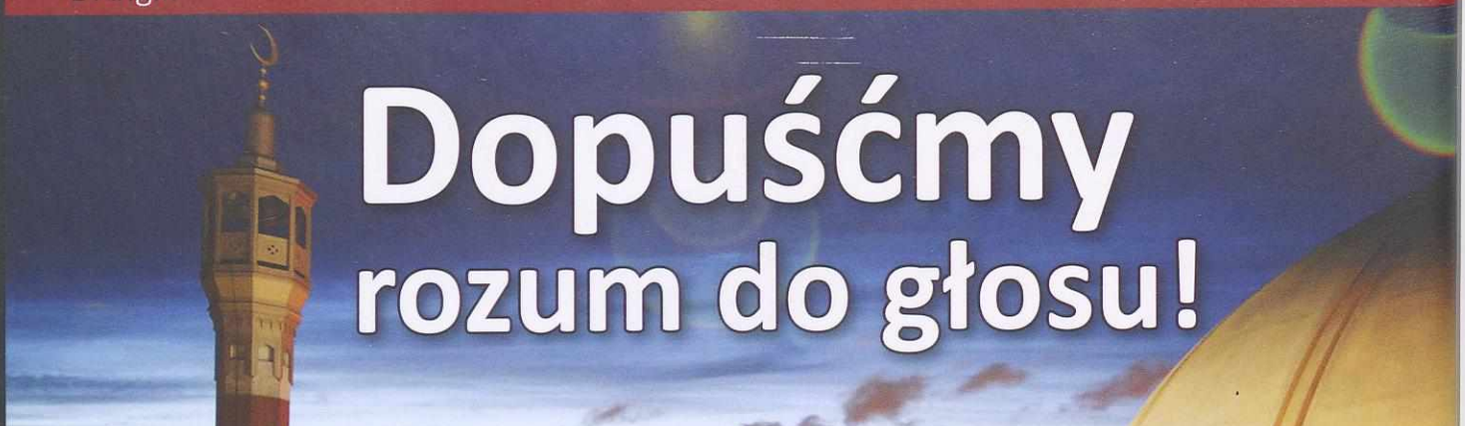

FOT. © EAST LONDON MOSQUE, 2011

Informacje z ostatniej chwili: dżihadysta z Antwerpii na video zapowiada, że „zamach terrorystyczny w Brukseli, to dopiero początek"; w Pakistanie zamordowano polityka, który ujął się za chrześcijanką; podczas eksplozji w Lahore w Pakistanie zginęło 65 osób, 300 zostało rannych, celem talibów byli chrześcijanie; niedzielny marsz w Brukseli pod hasłem „nie bójmy się!" został odwołany. Najwyraźniej, jeśli ktoś się nie boi, nie są to Belgowie.

„To Merkel i inni liderzy Zachodu i ich tajne służby ściągnęli do Europy upiora terroryzmu" – pisał Stanisław Janecki. Nic bardziej mylnego! Owszem, to Merkel przed rokiem swoim *Wilkommen* uwolniła dżina z butelki i spowodowała masowy napływ ludności do Europy, ale z tajnymi służbami i policją, to już zupełnie inna sprawa! Pozycję „spocznij!" kilka dekad temu podyktowały im lewicowo-liberalne elity polityczne, zainfekowane *political correctness*. Ta „laicka biblia Europy", bryk Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, to najgroźniejsza epidemia przełomu XX i XXI wieku. To prawda, że wszystkie wzloty i upadki cywilizacji zaczynały się od idei.

Niedzielny marsz „nie bójmy się!" został odwołany – czy trzeba dobitniejszego dowodu w jakiej kondycji znajduje się dziś Europa? Dotarliśmy do momentu, przed którym lata całe ostrzegali konserwatyści – Kontynent pozbawiony idei, niepewny własnej tożsamości, zajęty pospieszną konsumpcją, niezdolny do obrony, dziś dodatkowo sparaliżowany strachem. Lecz do tego stanu doprowadziły go nie policja i tajne służby, lecz „właściciele policji i tajnych służb", liberalne elity władzy, oddalając się od swego europejskiego dziedzictwa wartości, kontestując dorobek cywilizacyjny, oprotestowując osiągnięcia. Zaczęło się aplikowanie zasad PP, niszczenie państwa i rodziny, podmiana demokracji, rządów większości na dyktaturę mniejszości, promowanie wolności ponad bezpieczeństwo. Doprowadzono do tego, że dziś Europa nie jest ani operacyjnie, ani psychologicznie, mentalnie przygotowana do walki z terroryzmem. To znaczy, z pewnością ma instytucje – narodowe i ponadnarodowe, unijne – powołane do tego, żeby zapewnić obywatelom bezpieczeństwo, ale brak jej woli i odwagi, żeby je wykorzystać.

I tak w Wielkiej Brytanii jest MI5 (kontrwywiad), jest MI6 (wywiad) i GCHQ, jest słynna policja metropolitalna Scotland Yard, ale laburzyści, liberalni demokraci i ich media przez ostatnich 30 lat zrobiły wszystko, żeby „wyrwać im zęby", pozbawić możliwości działania. Już przy okazji zamachów bombowych w Londynie w 2005 roku wiele mówiło się, że policja i *secret service* zawodzą głównie z obawy o posądzenie o rasizm. Trzeba było posłuchać ostrożnych wypowiedzi szefa Scotland Yardu w BBC, poczytać wypowiedzi laburzystów w prasie grupy Mirror po zaszlachtowaniu przez dwóch dżihadystów młodego żołnierza Lee Rigby, kiedy mniej mówiło się o okrucieństwie morderców, a więcej o policji, która przyjechała na miejsce nie po 3, a po 20 minutach! To dlatego ze statystyk przestępstw zniknęły rubryki „rasa". A była szefowa MI5 Stella Rimington, w imię hasła „najpierw wolność potem bezpieczeństwo", tuż po odejściu ze służby pozwoliła sobie na opisanie w książce tajnych operacji, które sama zlecała. Policja bardzo rzadko wkracza w rozrastające się szybko getta muzułmańskie, w Londynie, Manchesterze, Birmingham, Leeds, gdzie duże połacie miasta przypominają dzielnice Algieru czy Karaczi. Bo każdy pretekst jest dobry, by zaatakować policję i służby, które od dekad są dla europejskiej lewicy dyżurnymi chłopcami do bicia. Nic dziwnego, że w przypadkach przestępstw z udziałem muzułmanów pracują opieszale i częściej niż powinni przymykają oczy na łamanie prawa.

Przyczyny osiedlania się muzułmanów w państwach Europy były zróżnicowane – w Wielkiej Brytanii na wielką skalę pojawili się po roku 1947, po podziale na Indie i Pakistan. Nędza i głód wygnały ich z kraju, na Wyspach znajdowali pracę, głównie w przemyśle tekstylnym. Te enklawy rosły – ale wbrew temu, co twierdzą liberałowie – nie była to wina władz, lecz logika wydarzeń. Przyjeżdżali, żeby pracować – powojenna Wielka Brytania nie była zamożna, do 1952 roku obowiązywały kartki na żywność – a nie po wypasione zasiłki. Dopiero wychodzenie Europy z biedy, skutki rewolucji kontrkulturowej, przesunięcie na lewo myślenia o państwie, religii, rodzinie, mniejszościach etnicznych i wielki projekt reedukacji społeczeństw w myśl zasad politycznej poprawności, zmieniły krajobraz społeczny nie do poznania. Także relacje: rdzenni mieszkańcy Kontynentu a przybysze

– muzułmanie. Lecz choć kronika islamskiego terroryzmu datuje się od 1972 roku – masakra izraelskich sportowców podczas Olimpiady w Monachium – a potem były Bejrut, Nairobi, Dar-es-Salam, Mombasa, Zatoka Adeńska i Filipiny, dopóki terror trzymał się z daleka, Europa nie reagowała. Obudziła się dopiero w 2001 roku, po ataku na World Trade Center i Pentagon, do niemrawych działań przystąpiła po eksplozji na madryckim dworcu kolejowym Atocha (2004) i w Londynie (2005). Ale dopiero ostatnio w Paryżu i Brukseli, europejskie elity „rozpoczęły wojnę z terroryzmem", która, jak dotąd, polega głównie na publicznych deklaracjach władz, okrągłych i skierowanych do nikogo, oraz sentymentalnych i nic nie znaczących gestów współczucia bezradnych obywateli.

A środowiska muzułmańskie przez te wszystkie lata umacniały swoje pozycje. Są już dobrze osadzone w systemach opieki socjalnej, zdrowia i edukacji, w mediach widać nadreprezentację mniejszości etnicznych, mają swoje lobby w Westminsterze. Pączkują muzułmańskie getta: nowe meczety i centra kultury, bazary, sklepy z żywnością halal, kawiarnie z shishą, banki i biura podróży. Choć w Wielkiej Brytanii na 60 mln całkowitej populacji jest ich tylko 2 mln, cieszą się niezwykłą sympatią mediów oraz wsparciem władz. W BBC i na lewicowym Kanale 4, ale i w komercyjnej ITV zawsze ostatnie słowo należy do muzułmańskiego imama, prezesa Civil Service Islamic Society czy ojca młodego islamisty, który pojechał wspierać DAESH, a ojciec jakoby „nic nie wiedział o planach 16-latka".

Dziś „*Muslim is beautiful*". I tylko od czasu do czasu konserwatywna prasa podaje jakieś informacje o *forced marriages* (nie mylić z „małżeństwami aranżowanymi", które jednak zakładają zgodę obu stron), o „zbrodniach honoru" jak ta Ali Gorena rodem z Kosowa, który razem z kuzynem zamordował swoją córkę Tulay, bo wyprowadziła się od rodziny i zamieszkała ze swoim chłopakiem. Albo sprawie doktor Humayry Abedin, która podczas wizyty u rodziców w Bangladeszu, została przez nich uwięziona i trzymana w zamknięciu przez cztery miesiące, bo nie chciała poślubić człowieka, którego jej wybrali. O „*mother-in-law crimes*", kiedy teściowa oblewa synową gorącym olejem, a po jej śmierci znów żeni syna, by dostać kolejny posag. O „*Muslim pimps*", islamskich alfonsach, przysposabiających do prostytucji białe nastolatki i o tureckich gangach samochodowych w Midlandach. Brygada antyterrorystyczna ujawniła w Crowborough w idyllicznym hrabstwie Sussex szkołę terrorystów, działającą w byłym klasztorze katolickim. Nakryła „wykładowcę" w chwili, gdy demonstrował pomoce naukowe jak kałasznikow, uczył produkcji bomb domową metodą oraz sposobach ich wykorzystania. A to tylko czubek góry lodowej bezprawia w muzułmańskich gettach i poza nimi, które ujrzały światło dzienne.

Więcej, lewicowe elity władzy i ich media bronią muzułmanów nawet wtedy, gdy ci ostatni zostali schwytani na ewidentnym przestępstwie. Jak skandal z „taśmami prawdy" z 1992 roku. Dziennikarz BBC (pewnie nieświadomy polityki szefostwa freelancer) nagrał ukrytą kamerą imama Abu Hamzę, który nawoływał w meczecie do „świętej wojny z Zachodem" oraz sceny szkolenia młodych do walki z niewiernymi. Na to Abu Hamza, w radiowym programie Today, wyparł się wszystkiego i oskarżył BBC o... manipulowanie faktami i szerzenie nienawiści rasowej. A Korporacja stuliła po sobie uszy i zamilkła.

Potrzeba było kolejnych ośmiu lat i 1,3 mln publicznych pieniędzy, żeby zasądzono wreszcie ekstradycję imama do USA, gdzie odpowiadał za przestępstwa, powiązane z jego działalnością terrorystyczną. Powstała zupełnie nowa specjalizacja prawnicza – obrońców kryminalistów – muzułmanów, świadomych tego, że brytyjski wymiar sprawiedliwości sprzyja mniejszościom, no i zawsze jest Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu.

W 2009 roku powstało nawet AIRE, centrum doradztwa dla mniejszości, które otrzymało od szczodrego państwa 200 tys. funtów z pieniędzy podatników. AIRE wygrało np. w Trybunale sprawę dwóch kryminalistów z Somalii (oszustwa, napady, gwałty, publiczne obnażanie się), których sąd brytyjski nakazał wydalić z kraju. Strasburg orzekł, że Abdisamad Sufi i Abdiaziz Elma nie podlegają deportacji, bo „w Somalii mogą być narażeni na złe traktowanie". Z tego werdyktu Trybunału skorzystało około dwustu innych Somalijczyków. AIRE wygrało także sprawę nigeryjskiego muzułmanina – gwałciciela, który „nie może został ekspulsowany do Nigerii, bo ma żonę Angielkę i naruszałoby to jego prawa do życia rodzinnego". Nic więc dziwnego, że już w 2013 roku poseł konserwatywny Eric Pikes nawoływał: „Oto wolne, demokratyczne społeczeństwo znalazło się w śmiertelnej konfrontacji z islamskim terrorem na słabszej pozycji. I jeśli nie zrezygnujemy z ideologii, nie oddamy części swoich wolności obywatelskich w zamian za bezpieczeństwo, jeśli policja i tajne służby, bojąc się politycznej poprawności, nadal będą w defensywie, niech Bóg ma nas w swojej opiece!".

W Europie widać coraz głębszy podział na elity władzy i resztę obywateli. Elity głoszą swoje „słowo objawione", narażając zdrowie i życie całych społeczeństw, a ludzie – powoli, choć widoczna jest tendencja wzrostowa – zaczynają się przeciw ich „ewangelii" buntować. Choć proces przebiega wolno, jest to już skala całego Kontynentu. Jeśli jednak lewicowe elity polityczne nie zrezygnują ze swoich śmiertelnie niebezpiecznych utopii, a Eole nie obudzą się dość szybko, to rzeczywiście, „niech Bóg ma nas w swojej opiece".

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

The East London Mosque & London Muslim Centre

FOT. © EAST LONDON MOSQUE, 2011

FOT. © PATRIA NOSTRA

Nie walczymy z wiatrakami

Z mecenasem Lechem Obarą ze Stowarzyszenia „Patria Nostra" rozmawia Łukasz Kaźmierczak.

Łukasz Kaźmierczak: Ma Pan w sobie coś z Don Kichota?

Lech Obara: Nie, nie (śmiech). Skoro jednak przez wiele lat nasze państwo nie podjęło żadnych skutecznych działań przeciwko coraz bardziej rozpowszechnionemu na Zachodzie określeniu „polskie obozy zagłady", zrobiliśmy to my, jako polscy obywatele. Ale nie jest to żadna donkichoteria, bo osiągnęliśmy już na tym polu całkiem realne sukcesy.

Kiedy się to zaczęło?

W 2008 roku zwrócił się do naszej kancelarii Zbigniew Osewski, wnuk więźnia Auschwitz, który spróbował sam, na własną rękę, ukrócić stosowanie tego kłamliwego określenia. Konsekwencją tego stało się potem założenie Stowarzyszenia „Patria Nostra", grupującego dawnych więźniów obozów koncentracyjnych, ich potomków oraz prawników. My nie potrafimy organizować wielkich manifestacji ulicznych, ale na pewno umiemy pisać pozwy sądowe.

Wierzy Pan, że określenie „polskie obozy śmierci" to przypadkowe, niefortunne sformułowanie?

Nie wydaje mi się.

Takie tłumaczenie stosują powszechnie zachodnie koncerny medialne.

Proszę zwrócić uwagę, że tylko w przypadku Polski używa się tego określenia z przymiotnikiem narodowościowym. Mówi się „polskie obozy zagłady", a na przykład w przypadku Terezina nie mówi się „czeski obóz zagłady" czy w stosunku do Mauthausen – „austriacki obóz zagłady". Podobnie jak nikt nie powie „kubańskie więzienie" na określenie Guantanamo. To byłby przecież absurd.

Skąd zatem to „wyróżnienie"?

W języku prawniczym istnieje pojęcie domniemania faktycznego. W tym przypadku jest to efekt bardzo świadomej, konsekwentnej, prowadzonej od wielu lat niemieckiej polityki historycznej, której celem jest rozpowszechnienie tzw. wadliwych kodów pamięci. Jeśli powiemy „polskie obozy zagłady", to już nie będą się one kojarzyły z faktycznymi sprawcami ich powstania i sposobu działania. Podobnie kiedy mówimy nie o Niemcach,

tylko o jakichś bliżej nieokreślonych „nazistach". Tym sposobem dokonuje się podwójnej, wysublimowanej operacji zafałszowania świadomości historycznej.

Były więzień Auschwitz Karol Tendera podczas jednego z niedawnych spotkań z niemiecką młodzieżą usłyszał: „To kogo zamykaliście w tym obozie: Polaków czy Niemców?"

Niestety, z każdym tygodniem to perfidne kłamstwo utrwala się coraz bardziej. Badania, nie tylko wśród niemieckiej, ale także na przykład wśród francuskiej młodzieży wykazują, że określenie „polskie obozy" prowadzi do skojarzenia „polscy naziści".

Jaką macie przeciw temu amunicję prawną?

Zwróciliśmy się o pomoc do prof. Aurelii Nowickiej, kierownik Katedry Prawa Europejskiego UAM w Poznaniu – osoby o ogromnej wiedzy, bezinteresownie wspierającej naszą działalność – która pomogła nam pokonać pierwszą barierę. Otóż pozew wspomnianego pana Osewskiego został pierwotnie odrzucony z argumentacją, że nasze sądy są niewłaściwe do rozpatrywania tego rodzaju spraw. Złożyliśmy zażalenie na tę decyzję. Prof. Nowicka wskazała na europejskie orzecznictwo, które daje podstawę do twierdzenia, że właściwy jest sąd w miejscu, w którym znajduje się osoba, której dobro osobiste zostało naruszone. Sąd Apelacyjny w Warszawie potwierdził nasze stanowisko, że tego rodzaju sprawy mogą być rozpatrywane na podstawie polskiego prawa, czyli opierając się na Kodeksie cywilnym, i właśnie przed polskim sądem.

Nie próbowaliście walczyć w zachodnich sądach?

Zaprzyjaźniony z nami berliński adwokat Piotr Duber usiłował działać na drodze niemieckich procedur karnych, ale jego pisma zostały natychmiast odrzucone. Nie wierzę też, że udałoby nam się cokolwiek zdziałać w procesach cywilnych przed tamtejszymi sądami, czego dowodem choćby sprawa przeciwko pani poseł Arciszewskiej-Mielewczyk, za jej plakat wymierzony w Powiernictwo Pruskie. Dlatego od samego początku walczyliśmy o polski sąd.

Nadal jednak macie potężnych przeciwników.

Adresatów pozwów wybraliśmy celowo. Dociera do nas wiele informacji z Niemiec o różnych publikacjach zawierających określenie „polskie obozy", ale my zdecydowaliśmy się na trzy procesy: przeciwko „Die Welt" – jako niezwykle opiniotwórczemu, wysokonakładowemu czasopismu. Ponadto wybraliśmy portal Focus Online, jako jeden z najważniejszych niemieckich portali internetowych, i wreszcie niemiecką telewizję publiczną ZDF.

Żaden sąd nie wydał jednak do tej pory wyroku przeciwko używaniu sformułowania „polski obóz zagłady".

Uważamy, że choć nie osiągnęliśmy jeszcze miarodajnego sukcesu, jakim byłoby zasądzenie godziwego zadośćuczynienia, przeprosin i publikacji w mediach – czyli tego, czego żądamy w naszych pozwach – to i tak posunęliśmy sprawę daleko do przodu. Kiedy zaczynaliśmy, nikomu w ogóle do głowy nie przychodziło, że takie sprawy mogą być rozpatrywane przez polskie sądy. Wszyscy mówili, że trzeba z tym jechać do Berlina. Dziś nie ma już co do tego wątpliwości, mimo że przeciwnicy wynajęli wielką polską kancelarię z tytułami profesorskimi, której jednak nie udało się podważyć właściwości miejsca.

Czyli są możliwości ścigania „polskich obozów" przed polskimi sądami?

Tak, i mamy na to już dwa sądowe potwierdzenia. Ale jest jeszcze inna, znacznie ważniejsza kwestia. Od początku naszej batalii bazowaliśmy na art. 23 Kodeksu cywilnego, który stanowi o ochronie dóbr osobistych. Wśród nich Kodeks wymienia w szczególności zdrowie, wolność, cześć, swobodę sumienia, nazwisko, wizerunek itp., nie mówi jednak ani słowa o takich pojęciach jak „godność narodowa" i „tożsamość narodowa". Ale kluczowe jest tutaj owo „w szczególności". Na tej podstawie chcieliśmy doprowadzić do tego, żeby godność i tożsamość narodowa również były uznawane za dobro osobiste.

I to się udało uzyskać?

Pośrednio tak, sąd w Warszawie po długim procedowaniu, a po nim także sądy w Olsztynie oraz w Białymstoku uznały, że istnieje takie dobro. Przykładowo: stwierdzono, że występująca przed sądem była więźniarka niemieckich kacetów Janina Luberda-Zapaśnik może czuć się skrzywdzona sformułowaniami o „polskich obozach zagłady" czy „polskich obozach koncentracyjnych" i że są one niedopuszczalne.

Dlaczego więc oddalono Wasze powództwa?

Sądy uznały, że musiałaby dodatkowo jeszcze istnieć jakaś bezpośrednia identyfikacja tożsamościowa osoby i miejsca. Sąd w Białymstoku podkreślił, iż pani Luberda-Zapaśnik nie była bowiem więźniarką obozów w Sobiborze i w Treblince – które portal Focus Online nazwał polskimi obozami zagłady. Gdyby natomiast przebywała właśnie w tych konkretnych obozach, uznano by to za wystarczający warunek do konieczności ochrony jej dóbr. I to jest właśnie furtka, którą zamierzamy wykorzystać.

Teraz złożyliście pozew przeciw telewizji ZDF.

To może być przełomowe orzeczenie. Sprawa dotyczy użytego przez niemiecką stację określenia „polski obóz zagłady Auschwitz", a pozywającym jest w tym wypadku Karol Tendera, właśnie były więzień Auschwitz. To jest szczególna sytuacja, precedensowa sprawa. Wierzymy, że sąd w Krakowie nie może już teraz nie uznać naszych racji, na co będziemy przywoływać wyrok sądu w Białymstoku.

Złożyliśmy także kasację do Sądu Najwyższego od wyroku sądu apelacyjnego w Białymstoku. Liczymy na to, że SN pójdzie dalej i uzna, że w takich sprawach nie potrzeba aż tak bliskiej identyfikacji podmiotowej. Wskazaliśmy między innymi na proces, który ks. Zdzisław Peszkowski wytoczył niegdyś Jerzemu Urbanowi za jego publikację obrażającą Jana Pawła II. I Sąd Najwyższy przyznał wówczas ks. Peszkowskiemu rację.

„Obiektywnie uzasadnione poczucie krzywdy", tak to się nazywa w języku prawnym?

Tak, i to jest jedno z podstawowych określeń, na które możemy się powoływać.

Co się jednak stanie, kiedy odejdą ostatni więźniowie?

Od polskich sądów oczekujemy dziś jednego: przyspieszenia. Janina Luberda-Zapaśnik czy Karol Tendera są osobami w podeszłym wieku, schorowanymi. Mamy nadzieję, że sądy wezmą to pod uwagę przy wyznaczaniu terminów kolejnych rozpraw. Musimy błagać, żeby zrobiono to jak najszybciej. Ale nawet kiedy odejdą ostatni świadkowie historii, będziemy działać dalej. W naszym przekonaniu, jeśli nawet nie wszyscy Polacy, to przynajmniej potomkowie więźniów mają prawo być mocno emocjonalnie dotknięci twierdzeniami o „polskich obozach", a zatem domagać się pełnej ochrony prawnej.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ŁUKASZ KAŹMIERCZAK
Przewodnik Katolicki

Lech Obara – mecenas Kancelarii Radców Prawnych i Adwokatów „Lech Obara i Współpracownicy" (Olsztyn – Warszawa), prowadzącej wiele spraw dziennikarzy *pro bono*; fundator Nagrody Wolności Słowa w Konkursie im. Seweryna Pieniężnego; prezes Stowarzyszenia „Patria Nostra", przeciwstawiającego się na drodze prawnej fałszowaniu polskiej historii. Stowarzyszenie zostało założone w 2009 roku. W jego skład wchodzą przedstawiciele zawodów prawniczych, a także byli więźniowie obozów koncentracyjnych oraz ich potomkowie.

Niemcy wysadzają kościół św. Michała w Wieluniu, wrzesień 1939 Fot. © WIKIPEDIA

Niemieckie represje wobec Polaków

Najważniejszych celem polityki prowadzonej przez Niemców na okupowanych ziemiach polskich było całkowite podporządkowanie Polaków* interesom III Rzeszy. Stosując terror – rozstrzeliwania, osadzanie w więzieniach i obozach – zamierzano wyeliminować rzeczywistych i potencjalnych przywódców ruchu oporu oraz warstwę przywódczą narodu (księża, nauczyciele itd.), pozostałą zaś jego część zmusić do posłuszeństwa.

Ze szczególną zaciekłością prześladowano Polaków podejrzewanych o nastawienie antyniemieckie, biorących udział w ruchu oporu oraz udzielających pomocy Żydom. Pozbawiony elity naród miał się stać tanią, niewykształconą i bezwzględnie eksploatowaną siłą roboczą, pracującą zarówno w okupowanym kraju, jak i w Rzeszy. Antypolska polityka niemiecka doprowadziła do śmierci setek tysięcy osób, a kolejnym tysiącom przyniosła trwałe obrażenia fizyczne i psychiczne, obserwowane jeszcze w wiele lat po zakończeniu wojny.

Zbrodnie popełnione na Polakach w czasie niemieckiej agresji na Polskę

Niemieckim działaniom wojennym przeciwko Polsce od samego początku towarzyszyły zbrodnie popełniane na ludności polskiej. W wielu miejscach niemieckie oddziały wojskowe dokonały wówczas barbarzyńskich ostrzeliwań i bombardowań obiektów pozbawionych jakiegokolwiek znaczenie wojskowego. Ich celem było wzniecenie paniki i złamanie morale polskich żołnierzy, starających się zatrzymać nieprzyjaciela. Do rangi symbolu tych brutalnych działań urosło zniszczenie przez niemieckie lotnictwo (Luftwaffe) Wielunia w okolicach Łodzi, gdzie zrównano z ziemią większość zabudowy wraz z kościołem katolickim, synagogą oraz cywilnym szpitalem. Ofiarą tego typu bombardowań padło także wiele innych miast polskich. Niemieccy lotnicy atakowali często pociągi oraz kolumny cywilnych uchodźców, ostrzeliwując je z broni pokładowej. Już po zakończeniu walk w wielu miejscowościach dochodziło do mordów na wziętych do niewoli żołnierzach Wojska Polskiego oraz cywilach znalezionych w miejscach uznanych za punkty polskiego oporu.

W ślad za oddziałami wojskowymi przez zajęte ziemie polskie posuwały się specjalne grupy operacyjne niemieckiej policji (Einsatzgruppen), których celem było zapewnienie spokoju na tyłach armii. Cel ten osiągano rozstrzeliwując lub aresztując Polaków uznanych za potencjalnie niebezpiecznych dla okupanta.

Represje na Polakach w okresie okupacji

Od pierwszych dni okupacji Niemcy prowadzili szeroko zakrojone działania eksterminacyjne na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy. Zostały one utajnione pod kryptonimem *Intelligenzaktion* (akcja „Inteligencja"). Okupantom chodziło o unicestwienie lokalnych elit, a tym samym pozbawienie narodu polskiego warstwy

* Pojęcie „Polak" rozumiemy w tym tekście w kategoriach narodowo-etnicznych, nie omawiając sytuacji osób narodowości żydowskiej, ukraińskiej, litewskiej itd., które przed wybuchem wojny miały polskie obywatelstwo.

kierowniczej. Najstraszliwsze rezultaty akcja ta przyniosła na Pomorzu – jej symbolem stała się krwawa pacyfikacja Bydgoszczy. Znaczna część Polaków aresztowanych na Pomorzu straciła życie w kilkudziesięciu miejscach masowych straceń. Znajdowały się one m. in. w Piaśnicy koło Gdańska (zamordowano około 14 tys. osób), Lesie Szpęgawskim koło Starogardu Gdańskiego (zginęło około 7 tys. osób, w tym blisko 1,7 tys. pacjentów zakładów psychiatrycznych w Kocborowie i Świeciu), „Dolinie Śmierci" koło Bydgoszczy i wielu innych miejscowościach. Liczba Polaków zamordowanych przez Niemców na Pomorzu od września 1939 do kwietnia 1940 roku szacowana jest na co najmniej 30 tys. Nie był to jednak ostateczny bilans strat ludzkich na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy. I tak, w omawianym okresie w Poznaniu i okolicach zamordowano blisko 2 tys. osób, a podobną liczbę ofiar przyniosły egzekucje na Śląsku. W Łodzi i okolicach Niemcy rozstrzelali około 1,5 tys. mieszkańców, na Mazowszu – zwłaszcza w rejonie Ostrołęki, Ciechanowa i Wyszkowa – blisko 6,7 tys.

W Generalnym Gubernatorstwie za początek masowych działań represyjnych należy uznać aresztowania inteligencji przeprowadzone przed Świętem Odzyskania Niepodległości (11 listopada 1939). Miały one prawdopodobnie zarówno zapobiec ewentualnym antyniemieckim wystąpieniom w tym ważnym dla Polaków dniu, jak i wykazać całkowitą dominację Niemców w okupowanym kraju. W więzieniach i aresztach osadzono wówczas prawdopodobnie około 1 tys. osób, w tym wykładowców uniwersyteckich, nauczycieli szkół średnich, sędziów, adwokatów, notariuszy, lekarzy, pracowników administracji państwowej, przemysłowców, członków władz związków kupieckich i rzemieślniczych oraz duchownych katolickich. W miejscach uwięzienia byli bici i głodzeni. Chociaż Niemcy stosunkowo szybko zwolnili więźniów (ich nieobecność paraliżowała działalność szpitali, uderzając też w życie gospodarcze), ostatni odzyskali wolność dopiero po kilku miesiącach. W Lublinie w ramach omawianej akcji przeprowadzono też egzekucje wybranych więźniów.

Listopadowe aresztowania stanowiły tylko wstęp do wielkiej akcji eksterminacyjnej Polaków, do której w GG doszło wiosną 1940 roku. Niemcy nadali jej nazwę *Ausserordentliche Befriedunkgsaktion* (Aktion AB, „Nadzwyczajna Akcja Pacyfikacyjna"). Celem operacji było uśmiercenie osób, które mogły odegrać istotną rolę w organizowaniu i wspieraniu ruchu oporu. Na listach osób przeznaczonych do rozstrzelania znaleźli się – obok wymienionych już członków elit społecznych

INTELLIGENZAKTION
w Okręgu Rzeszy Gdańsk - Prusy Zachodnie
(1939 - 1940)

miejsca straceń
granica Wolnego Miasta Gdańska z 1.09.1939
granica II RP z 1.09.1939
granica Okręgu Gdańsk - Prusy Zachodnie

– działacze polityczni, aktywiści organizacji paramilitarnych, ludzie oskarżeni o posiadanie broni i odbiorników radiowych. Więźniowie ci byli mordowani w zbiorowych egzekucjach w takich miejscach, jak Palmiry koło Warszawy, Krzesławice koło Krakowa, Rury Jezuickie koło Lublina oraz Firlej koło Radomia. Szacuje się, że w ramach Aktion AB Niemcy zamordowali około 6,5 tys. osób. Nieliczni spośród aresztowanych, którym udało się uniknąć egzekucji, zostali skierowani zbiorowymi transportami do obozów koncentracyjnych Sachsenhausen-Oranienburg i Auschwitz.

Zakończenie akcji represyjnych z pierwszych miesięcy okupacji nie oznaczało kresu polityki represyjnej wobec Polaków. Niemiecka policja nieustannie tropiła środowiska uznawane za wrogie okupantowi, uderzając silnie w struktury organizacji konspiracyjnych. Aresztowany nie tylko z powodu konkretnych zarzutów, ale jedynie podejrzeń o postawę antyniemiecką, miał nikłe szanse na odzyskanie wolności. Człowiek taki trafiał najpierw do więzienia, na długi, zazwyczaj wielomiesięczny okres śledztwa. Przebywał tutaj w tragicznych warunkach: w zatłoczonych celach, o głodowych racjach żywnościowych, bez jakiejkolwiek opieki medycznej i wśród nieustannych szykan ze strony strażników. Wszystko to miało złamać ducha więźnia, poddawanego następnie przesłuchaniom. Te ostatnie, przeprowadzane przez funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa, opierały się na biciu drewnianymi pałkami, metalowymi prętami, szpicrutami, skórzanymi pasami. W siedzibach policji znajdowały się też pomieszczenia przystosowane do tego rodzaju „przesłuchań". Pozwalały one podwieszać więźniów za ręce pod sufitem lub też krępować ich na specjalnych stołach, tak aby podczas bicia zadać jak największy ból. We wszystkich siedzibach policji wielokrotnie zdarzało się, że więźniowie umierali podczas tortur lub też odnosili obrażenia powodujące trwałe kalectwo. Finałem śledztwa stawała się rozprawa przed sądem doraźnym lub specjalnym, będąca w rzeczywistości farsą. W jej trakcie więzień nie miał prawa zabierać głosu i mógł tylko w milczeniu przysłuchiwać się obradom. Wspomniane sądy nie wydawały w praktyce wyroków uniewinniających, decydując po prostu, czy więzień ma zostać skazany na karę śmierci, czy też zesłany na czas nieokreślony do obozu koncentracyjnego. Począwszy od 1942 roku, Niemcy zaczęli rezygnować coraz częściej z egzekucji tajnych i przystąpili do publicznego uśmiercania skazanych na szubienicach, ustawianych w newralgicznych punktach miast. Świadkiem takich zbrodni stała się nie tylko Warszawa, ale także wiele innych ośrodków.

Już od pierwszych miesięcy okupacji niemiecka polityka eksterminacyjna uderzała silnie także w mieszkańców wsi. Zmasowane akcje na terenach wiejskich, w których brały udział nie tylko formacje policyjne,

ale niekiedy również oddziały wojskowe, miały dwie podstawowe przyczyny. Pierwszą z nich było wspieranie przez chłopów ruchu oporu, a zwłaszcza oddziałów partyzanckich. Równie ważne było także dążenie Niemców do wyegzekwowania od rolników nałożonych na nich obowiązkowych kontyngentów zboża, ziemniaków, mięsa i innych produktów rolnych.

Działania represyjne, które w okresie okupacji dotknęły blisko 800 polskich wsi, polegały zazwyczaj na przysłaniu do danej miejscowości tzw. karnej ekspedycji, której członkowie podpalali wybrane zabudowania, a następnie mordowali część schwytanych mieszkańców (od 5 do 50 osób). Wiele wsi zostało jednak poddanych pacyfikacjom, które polegały na rozstrzelaniu lub wysłaniu do obozów koncentracyjnych wszystkich mężczyzn (czyli osób powyżej 16. roku życia), wypędzeniu kobiet i dzieci, a następnie całkowitym spaleniu wszystkich zabudowań mieszkalnych i gospodarczych. Nierzadko podczas akcji pacyfikacyjnych Niemcy mordowali wszystkich mieszkańców bez względu na płeć i wiek. Największe akcje o takim charakterze zostały przeprowadzone m. in. we wsi Skłoby i wsiach okolicznych (kwiecień 1940 – zamordowanych ponad 700 osób), Michniowie (lipiec 1942 – zamordowane 203 osoby), Borowie i sąsiednich miejscowościach (luty 1944 – zamordowanych około 1250 osób, w tym 300 dzieci) oraz Lipniaku-Majoracie (wrzesień 1944 – zamordowanych 448 osób). W ciągu całego okresu okupacji wielu Polaków mieszkających na wsi padło też ofiarami indywidualnych egzekucji, mordów i pobić, przeprowadzanych przez funkcjonariuszy działających tutaj posterunków żandarmerii.

Oprócz omówionych form eksterminacji bezpośredniej, ważnym przejawem niemieckiej polityki wobec Polaków stało się stworzenie im bardzo trudnych warunków życiowych. Przejawiały się one powszechną biedą – niedoborem żywności, brakiem opieki medycznej, ciasnotą mieszkaniową, niewolniczymi warunkami pracy. Wiele osób odczuwało fizyczne i psychiczne konsekwencje tych realiów jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny.

Szczegółowe dane dotyczące strat ludności polskiej pod okupacją niemiecką są do dziś przedmiotem badań i weryfikacji. Minimalna liczba zamordowanych i zmarłych szacowana jest jednak na 1,5 mln mężczyzn, kobiet i dzieci.

Represje na Polakach za pomoc udzielaną Żydom

Już od pierwszych dni okupacji antysemickiej polityce prowadzonej przez Niemców towarzyszyła akcja propagandowa, której celem było rozbudzenie niechęci Polaków wobec Żydów. Korzystając z wydawanej oficjalnie prasy, a także plakatów, filmów i wystaw organizowanych w większych miastach, starano się skłonić ludność polską do zerwania wszelkich kontaktów

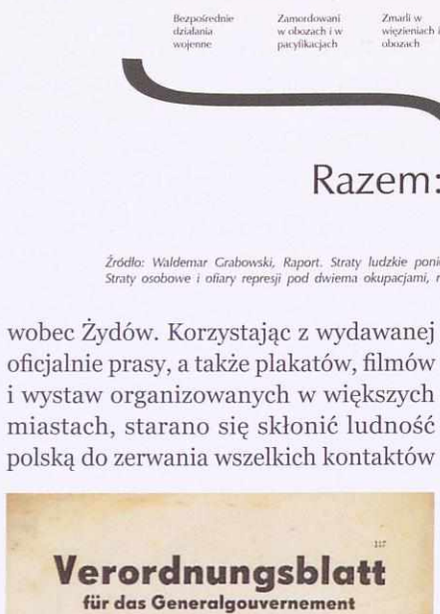
Verordnungsblatt
für das Generalgouvernement
Dziennik Rozporządzeń
dla Generalnego Gubernatorstwa
1941 Ausgegeben zu Krakau, den 2. April 1941 Nr. 26
Inhalt / Treść
Bekanntmachung
Obwieszczenie

z osobami narodowości żydowskiej. Po utworzeniu gett działania te uzupełniła zapowiedź zastosowania najsurowszych kar wobec każdego Polaka, który zechce udzielić nawet najdrobniejszej pomocy ludziom starającym się ocalić swe życie.

Najsurowsze rozporządzenie gubernatora Hansa Franka, grożące Polakom śmiercią za udzielanie pomocy Żydom, zostało ogłoszone w październiku 1941 roku. Mówiło ono: „Żydzi, którzy bez upoważnienia opuszczają wyznaczoną im dzielnicę, podlegają karze śmierci. Tej samej karze podlegają osoby, które takim Żydom świadomie dają kryjówkę. Podżegacze i pomocnicy podlegają takiej samej karze jak sprawca, czyn usiłowany karany będzie jak czyn dokonany".

W następnym roku, kiedy na ziemiach polskich Niemcy realizowali akcję likwidacji gett, wywożąc ich mieszkańców do obozów masowej zagłady, rozporządzenie to zostało uszczegółowione. Przypominano, że karą śmierci zagrożona jest wszelka pomoc udzielana Żydom, a więc przyjmowanie ich na nocleg, przekazywanie żywności, przewożenie ich jakimkolwiek środkiem lokomocji, kupowanie od nich różnych towarów itd. Karę śmierci przewidywano także dla każdego Polaka, który wiedząc o Żydzie przebywającym poza gettem, nie zameldował o tym niemieckim władzom. W dystrykcie radomskim zarządzeniom tym towarzyszył rozkaz przekazany posterunkom niemieckiej policji przez ich komendanta Herberta Böttchera, iż w przypadku odkrycia w polskim domu broni, lub też ukrywanych w nim Żydów, wszystkie zamieszkujące tam osoby – także dzieci – mają zostać uśmiercone, a zabudowania spalone. Działania takie miały być przestrogą dla innych Polaków, którzy by chcieli pomagać uciekinierom z gett.

Znane są liczne przykłady zbiorowych mordów dokonanych przez Niemców na polskich rodzinach ukrywających Żydów lub też udzielających im pomocy żywnościowej. Wiele takich wypadków miało miejsce na

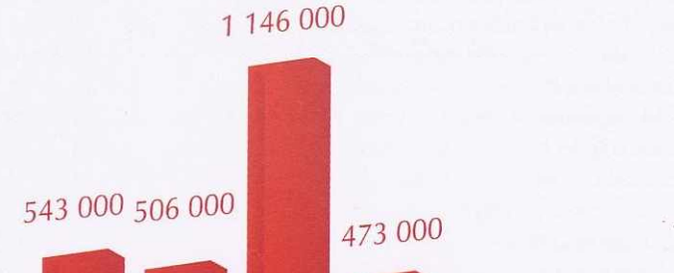

Źródło: Waldemar Grabowski, Raport. Straty ludzkie poniesione przez Polskę w latach 1939-1945 [w:] Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami, red. Wojciech Materski i Tomasz Szarota, Warszawa 2009, s.29-30.

wsiach, gdzie niektórzy polscy rolnicy wspomagali uciekinierów z gett ukrywających się w lasach, a wraz z nastaniem zimy decydowali się na udzielenie im schronienia w swych budynkach mieszkalnych i gospodarczych. Największą daninę krwi zapłacili mieszkańcy wsi leżących w okolicach Ciepielowa niedaleko Radomia. W grudniu 1942 i styczniu 1943 roku Niemcy przeprowadzili tutaj serię egzekucji, mordując ponad 30 osób, w tym całe rodziny Kowalskich, Kosiorów i Obuchiewiczów. Ponad połowę zamordowanych stanowiły osoby, które nie ukończyły jeszcze 16. roku życia. Zabudowania należące do rodzin zostały ograbione przez Niemców, a następnie spalone wraz z ciałami ofiar. Do wydobycia szczątków zamordowanych z ruin spalonych domów zmuszono później Polaków z sąsiednich gospodarstw. Podobny przebieg miał mord dokonany przez Niemców w marcu 1943 roku we wsi Siedliska koło Miechowa. Za ukrywanie Żyda zamordowano tutaj pięcioosobową rodzinę Baranków.

Symbolem losu, jaki czekał mieszkańców polskich wsi ratujących osoby narodowości żydowskiej, stały się jednak wydarzenia z marca 1944 roku we wsi Markowa, niedaleko Łańcuta. Wielodzietne małżeństwo Ulmów zdecydowało się ukryć w swych zabudowaniach ośmioro Żydów. Niemcy, którym o tym doniesiono, zamordowali Józefa Ulmę, jego będącą w zaawansowanej ciąży żonę Wiktorię i ich sześcioro małych dzieci. W egzekucji zginęli także wszyscy ukrywani w gospodarstwie Żydzi. Pomimo tej zbrodni rolnicy ze wsi Markowa przechowywali nadal w swych gospodarstwach blisko dwadzieścia osób narodowości żydowskiej, którym udało się doczekać końca niemieckiej okupacji.

Wśród Polaków, którzy zapłacili najwyższą cenę za pomoc udzielaną Żydom, było też wielu mieszkańców miast. Należeli do nich m. in. członkowie rodziny Wolskich. W Warszawie, w ogrodzie sąsiadującym z ich domem, wybudowali podziemny schron, w którym ratunku przed Niemcami szukało blisko czterdzieści osób narodowości żydowskiej. Był wśród nich Emanuel Ringelblum – znany historyk i kronikarz getta warszawskiego. W marcu 1944 roku na skutek donosu Niemcy wpadli na trop kryjówki i zamordowali wszystkich ukrywających się w nim Żydów, a także ich polskich opiekunów.

Pomocy okazywanej przez Polaków doświadczali także często żydowscy robotnicy uwięzieni w obozach pracy przy zakładach przemysłowych pracujących na potrzeby niemieckiej armii. W Częstochowie, Kielcach, Ostrowcu, Pionkach i innych miejscowościach polscy pracownicy dostarczali Żydom żywność, pomagając im zachować siły i ocalić w ten sposób życie. Symbolem tej pomocy stał się los młodego ślusarza z zakładów w Skarżysku-Kamiennej Tadeusza Nowaka. Schwytany w kwietniu 1943 roku podczas przekazywania Żydom chleba, został powieszony publicznie na terenie zakładu, w obecności wielu pracowników zmuszonych do oglądania egzekucji. Zawisł na szubienicy z rękami związanymi drutem kolczastym i z zawieszoną na szyi tablicą z napisem: „Za pomoc Żydom i dostarczanie listów".

Ci z Polaków aresztowanych za pomoc udzielaną Żydom, którym udało się uniknąć śmierci w egzekucjach, byli zazwyczaj kierowani do obozów koncentracyjnych. W dokumentach archiwalnych zachowały się liczne świadectwa takiego postępowania niemieckich władz okupacyjnych. Na przykład w 1943 roku Niemcy deportowali do KL Auschwitz trzech mieszkańców Szydłowca – Wincentego Kołbę, Stefana Erbela i Mariana Nazimka, prawdopodobnie współpracujących przy dostarczaniu Żydom fałszywych dokumentów i pomagających im ukrywać się przed Niemcami. Chociaż dwóch pierwszych przeniesiono z Auschwitz do obozów Buchenwald i Mauthausen, udało im się dotrwać tam do wyzwolenia. Losy Nazimka, przeniesionego do obozu Flössenburg, pozostają nieznane. W tym samym roku niemiecka policja aresztowała grupę mieszkańców Kozienic, oskarżonych o ukrywanie Żydów. Co najmniej dwaj jej członkowie zostali wywiezieni do Auschwitz, a stąd do innych obozów; Paweł Wachłaczenko doczekał wyzwolenia w obozie Litomierzyce (filia KL Flössenburg), natomiast Jerzy Burghardt zginął prawdopodobnie w Mauthausen. W Auschwitz zamordowany został także w 1943 roku mieszkaniec Radomia Marcin Kowalik, którego „winą" było pośredniczenie w przekazaniu innej osobie prywatnego listu, napisanego przez jednego z mieszkańców getta. To jedynie kilka nazwisk z długiej listy więźniów.

Dokładna liczba Polaków, którzy zostali zamordowani przez Niemców za pomoc udzielaną Żydom, pozostaje nieznana. Obecny stan wiedzy pozwala stwierdzić, że wynosiła ona co najmniej 1 tys. osób. Liczba Polaków, którzy za pomoc tę trafili do aresztów, więzień i obozów koncentracyjnych, była o wiele większa.

SEBASTIAN PIĄTKOWSKI

Pamięci pomordowanych w Lesie Szwęgawskim FOT. © ŁUKASZ KATLEWA

Sześćdziesiąt dwa lata temu, 24 marca 1944 roku w Markowej, jednej z tysiąca okupowanych przez Niemców wsi, doszło do zdarzenia, które wstrząsnęło nie tylko jej mieszkańcami, ale i całym regionem. Za przechowywanie Żydów została rozstrzelana polska rodzina Józefa i Wiktorii Ulmów.

Oddali życie za bliźnich

Bohaterska rodzina Ulmów zginęła za ukrywanie Żydów

Józef i Wiktoria Ulmowie. Józef, urodzony w 1900 roku, znany był doskonale w całej wsi. Wszechstronnie utalentowany, jako pierwszy w Markowej prowadził szkółkę drzew owocowych. Wybranką Józefa stała się najmłodsza córka Jana i Franciszki Niemczaków – Wiktoria, urodzona w 1912 roku jako ich siódme dziecko. Matka osierociła ją, gdy miała 6 lat; ojciec też nie doczekał ślubu córki – zmarł rok wcześniej.

Małżeństwo było dobrze dobrane i darzyło się miłością. Na jednym ze wspólnych zdjęć widać Józefa trzymającego Wiktorię na swoich kolanach, przytulonych do siebie.

Wiktoria Ulma ze swoimi dziećmi – pół roku przed tragedią

Od lewej: Franuś, Stasia, Basia i Władzio

FOT. © ARCHIWUM IPN

Szybko doczekali się potomstwa. W ciągu siedmiu lat małżeństwa urodziło się im sześcioro dzieci: Stasia, Basia, Władzio, Franuś, Antoś i Marysia. Gdyby nie tragedia, na wiosnę 1944 roku, cieszyliby się siódmym maleństwem.

Zbrodnia

Na krótko przed porankiem 24 marca 1944 roku żandarmi dotarli do zabudowań Józefa Ulmy, położonych na krańcu wsi. Pozostawiwszy na uboczu furmanów z końmi, Niemcy wraz z obstawą złożoną z granatowych policjantów udali się pod dom. Wkrótce rozległo się kilka strzałów – jako pierwsi zginęli Żydzi.

Naocznymi świadkami pozostałych rozstrzeliwań byli furmani, którzy zostali przez Niemców przywołani rozkazem, by przyglądać się, jaka kara może spotkać wszystkich ukrywających Żydów. Jeden z furmanów, Edward Nawojski, podaje, iż widział, jak wyprowadzono z domu gospodarzy – Józefa i Wiktorię Ulmów – i rozstrzelano ich. Jak podaje świadek: „W czasie rozstrzeliwania na miejscu egzekucji słychać było straszne krzyki, lament ludzi, dzieci wołały rodziców, a rodzice już byli rozstrzelani. Wszystko to robiło wstrząsający widok".

Po zastrzeleniu rodziców wśród krzyków żandarmi zaczęli się zastanawiać, co zrobić z dziećmi. Po naradzie szef posterunku żandarmerii niemieckiej w Łańcucie porucznik Dieken zdecydował, że należy je rozstrzelać. Trójkę lub czwórkę dzieci własnoręcznie rozstrzelał Joseph Kokott. Słowa tego zgermanizowanego Czecha wypowiedziane po polsku do furmanów wryły się głęboko w pamięć Nawojskiego: „Patrzcie, jak polskie świnie giną – które przechowują Żydów". Zginęli: Stasia, Basia, Władzio, Franuś, Antoś, Marysia i siódme w łonie matki, na kilka dni przed planowanym urodzeniem. W ciągu kilkudziesięciu minut zginęło siedemnaście osób. Niemieccy zbrodniarze dokonali tej zbrodni własnoręcznie, wykorzystując granatowych policjantów do obstawy.

MATEUSZ SZPYTMA
IPN Kraków

*

Ulmowie (a także rodzina Szylarów i Barów) zostali uhonorowani medalami „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata". W sierpniu 2003 roku rozpoczął się na

szczeblu diecezjalnym proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów. Społeczność Markowej uczciła ich pamięć 24 marca 2004 roku odsłonięciem pomnika z napisem: „Ratując życie innych, złożyli w ofierze własne. / Józef Ulma, jego żona, Wiktoria oraz ich dzieci: / Stasia, Basia, Władziu, Franuś, Antoś, Marysia, Nienarodzone / Ukrywając ośmiu starszych braci w wierze, Żydów z rodzin / Szallów i Goldmanów, / zginęli wraz z nimi w Markowej 24 III 1944 r. / z rąk niemieckiej żandarmerii. / Niech ich ofiara będzie wezwaniem do szacunku / i okazywania miłości każdemu człowiekowi! / Byli synami i córkami tej ziemi, / pozostają w naszym sercu".

To było w nocy...

MUZEUM POLAKÓW RATUJĄCYCH ŻYDÓW

FOT. © ANDRZEJ HRECHOROWICZ / KANCELARIA PREZYDENTA RP

Jechali tutaj – jak zeznał potem młody furman, chłop z jednej z podkarpackich wiosek – bocznymi drogami z Łańcuta. Niemieccy żandarmi i granatowi policjanci. Wśród nich ten, który prawdopodobnie, jak udało się ustalić, doniósł na rodzinę Ulmów i Goldmanów, którzy razem z nimi mieszkali.

Zatrzymali się na drodze, dom był na uboczu wsi, nie było obok innych zabudowań. Żandarmi i policjanci poszli w kierunku domu Ulmów. Potem słychać było strzały... Potem zawołali furmanów i kazali im patrzeć. Zabili najpierw synów Chaima Goldmana, potem jego, potem zabili Józefa i Wiktorię Ulmów. Jeden z Niemców mówił do furmanów: „Patrzcie, jak giną polskie świnie, które pomagają Żydom". A potem nie wiedzieli, co zrobić z dziećmi... Szóstką dzieci Józefa i Wiktorii. I wtedy niemiecki dowódca żandarmów powiedział: „Nie będziecie sobie we wsi robili kłopotu". I zabili wszystkie, po kolei. Człowiek, który składał to zeznanie, mówił: „Było słychać strzały, krzyk, lament. To było wstrząsające".

Dlaczego Józef Ulma i jego żona tak się zachowali? Dlaczego zdecydowali się przyjąć pod swój dach rodzinę Goldmanów? Chaima, ojca rodziny, człowieka prawie 80-letniego, kupca z pobliskiego Łańcuta, jego dorosłych synów, jego córki, wnuczkę. Dlaczego się na to zdecydowali? Czy kierowali się apelem dowództwa Polskiego Państwa Podziemnego, że jest moralnym obowiązkiem Polaków udzielać pomocy naszym współobywatelom Żydom, współobywatelom Rzeczpospolitej, wobec zagłady? Czy kierowali się tym, że znali Chaima Goldmana i całą rodzinę? Bo przecież w tej społeczności lokalnej wszyscy się znali. Czy może kierowali się biblijną przypowieścią o miłosiernym Samarytaninie, którą znaleziono podkreśloną w Biblii w domu Ulmów? Nie wiadomo...

Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. Jedno jest pewne. Józef Ulma był zwykłym podkarpackim chłopem, rolnikiem. Światłym, inteligentnym. Skończył cztery klasy szkoły podstawowej, ale potem jeszcze szkołę rolniczą. Był stawiany gospodarzom za wzór, fascynował się pszczelarstwem, hodował jedwabniki. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że był takim lokalnym liderem opinii. Z pewnością był. Ludzie do niego przychodzili po porady. Fotografując, dokumentował życie społeczności lokalnej i swojej rodziny. Też właśnie dzięki temu to muzeum jest tak wymowne i piękne, bo pełne jest zdjęć zrobionych przez Józefa. Zdjęć zrobionych także jego żydowskim sąsiadom, jego żydowskim gościom, których przyjął pod swój dach i z którymi razem zginął.

To niezwykle przejmujące muzeum. Jestem ogromnie wdzięczny i dziękuję w imieniu Rzeczypospolitej, w imieniu wszystkich moich rodaków tym, którzy przyczynili się do jego powstania. Tym, którzy przyczynili się do tego, że Ulmowie, ich rodzina i wszyscy ci, którzy pomagali przetrwać swoim pobratymcom, współobywatelom pochodzenia żydowskiego w czasie masakry ich narodu w okresie II wojny światowej, kiedy niemieccy naziści przeznaczyli ich do wyniszczenia. Dziękuję, że to muzeum jest ich wszystkich pomnikiem. Dziękuję, bo Polska, a także sprawiedliwość dziejowa bardzo takiego pomnika potrzebowała.

Nasze narody – polski i żydowski – przez tysiąc lat żyły na tej ziemi. Te tysiąc lat wspólnej historii doznało straszliwej wyrwy, jaką był Holokaust na okupowanych przez Niemców polskich ziemiach. Obozy śmierci, które znaczą czarną kartę w dziejach narodu żydowskiego. Wielu ludzi przyjeżdża do naszego kraju, by zobaczyć obóz Auschwitz-Birkenau i inne świadectwa wielkiej zagłady, będące ostrzeżeniem dla całego świata, co znaczy nienawiść, co znaczy chora ideologia i do czego zdolny jest oszalały nią człowiek. Ale na szczęście w ostatnich latach powstają w naszym kraju i inne miejsca, pokazujące to, co dobre w historii, co piękne w historii, nawet tej najtragiczniejszej. Z pewnością takim miejscem jest to muzeum – muzeum braterstwa, miłosierdzia i wspólnoty. Wspólnoty miejsca, ojczyzny, często wspólnoty przywiązania.

Bo może Józef Ulma przyjął rodzinę Goldmanów pod swój dach dlatego, że ich syn, tak jak on w 1939 roku, walczył w obronie Polski? Może dlatego, że tysiące obywateli polskich żydowskiego pochodzenia walczyło

FOT. © ANDRZEJ HRECHOROWICZ / KANCELARIA PREZYDENTA RP

za Polskę w roku 1918, 1919, 1920, 1939 i potem? Walczyli, bo Polska była naszą wspólną ojczyzną, gdzie się urodzili, wychowali i gdzie żyli. I gdzie na szczęście podczas tej straszliwej tragedii, jaką był Holokaust – próba, jak to cynicznie mówili hitlerowscy dowódcy, „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" – znalazły się tysiące Polaków, którzy umieli stanąć na wysokości zadania bycia braćmi i współobywatelami. Bycia ludźmi miłosiernymi, wsłuchanymi w naukę, jaką wszystkim nam głosi religia chrześcijańska: naukę miłości bliźniego. Na szczęcie byli ludzie, którym tej miłości nie zabrakło mimo wielkiego ryzyka, ryzyka śmierci – bo za pomoc Żydom groziła w okupowanej Polsce kara śmierci, jak nigdzie indziej na świecie, i była bezwzględnie wykonywana, tak jak tutaj. I nie tylko Józef i Wiktoria Ulmowie oraz ich dzieci w ten sposób zginęli. Były dziesiątki, setki takich rodzin; tysiące ludzi, którzy za pomoc swoim pobratymcom, współobywatelom oddali życie.

I kiedy dziś wspominamy tamten dramatyczny czas i te tysiąc lat wspólnej historii, to niech drogą przez te lata będzie to, co dzisiaj można w Polsce, wolnej i niepodległej, która pamięta o swojej historii, zobaczyć. To Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w Warszawie, pokazujące te piękne i te smutne karty, to niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny Auschwitz, ale to także Muzeum w Markowej, niezwykle ważne na trasie wspólnej historii. Muzeum, które pokazuje, choć w tragicznej postaci, najmocniejsze znamię Rzeczypospolitej Przyjaciół, gdzie przyjaciel za przyjaciela, brat za brata, człowiek za człowieka był gotów oddać życie. Niech świadectwem tego, że jest to prawda, będzie to, co już dzisiaj usłyszeliśmy. Że nawet ten niemiecki przykład grozy, jakim było zamordowanie rodziny Ulmów i ukrywanych przez nich Goldmanów, nie skłonił innych mieszkańców Markowej – też przecież mających swoje rodziny i chcących przetrwać – do wydania Żydów, których ukrywali. Mimo tej tragedii 21 Żydów było do końca wojny ukrywanych w tej wsi.

To wielkie miejsce dla Rzeczypospolitej Polskiej, bo tu jak w soczewce skupia się to, co jest jedną z przyczyn, że my jako Polacy możemy czuć się godnie. Byli bowiem wśród nas tacy, którzy byli więcej niż przyzwoici, którzy byli bohaterami, których trzeba postawić na równi z tymi, którzy z bronią w ręku walczyli o wolność Polski i ginęli. Nie ma różnicy: jedni i drudzy oddali życie za drugiego człowieka i za wolność. Bo wolność to godność. A to, że ukrywali swoich sąsiadów, znajomych czy nawet przypadkowych ludzi, było świadectwem sprzeciwu wobec okrucieństwa, pogardy, nienawiści – tego wszystkiego, co przynieśli na naszą ziemię niemieccy naziści – antysemityzmu, z którym nie chcieli się pogodzić i nie pogodzili się do końca życia.

I jako Prezydent Rzeczypospolitej chcę dziś jasno i wyraźnie powiedzieć: każdy, kto głosi i sieje nienawiść między narodami, każdy, kto głosi, sieje i podsyca antysemityzm, depcze po grobie rodziny Ulmów, depcze po ich pamięci, po tym, co oni jako Polacy poświęcili, oddając życie za godność, uczciwość, sprawiedliwość i elementarny szacunek należny każdemu człowiekowi. Niech to muzeum, obok innych, będzie dla wszystkich wielkim świadectwem tragicznej, ale dobrej pamięci i ostrzeżeniem przed tym, co nienawiść, pogarda czyni z ludzi.

Można tylko powiedzieć: dobrze, że w tym wszystkim także i władze Polskiego Państwa Podziemnego umiały zachować twardość. Bo ten, który prawdopodobnie wydał Ulmów i ich gości, żydowskich sąsiadów, nie żył długo. Oni zginęli w nocy z 23 na 24 marca, a Polskie Państwo Podziemne wykonało wyrok na kolaborancie 10 września tego samego, 1944 roku. Później udało się złapać jeszcze jednego z morderców – tego, który strzelał do co najmniej trójki dzieci. Został osadzony w więzieniu i skazany na karę śmierci, złagodzoną do dożywocia, potem 25 lat pozbawienia wolności. Umarł w więzieniu w Bytomiu. To dobrze, że polskie państwo potrafiło za mord okazać elementarną sprawiedliwość. Tak jak elementarna sprawiedliwość musi zostać wymierzona każdemu mordercy. Tak się dzieje w każdym uczciwym i praworządnym państwie. Tak jak żadne uczciwe i praworządne państwo nie może tolerować nawoływania do nienawiści, fobii narodowych, ksenofobii. I wierzę w to, że Polska nigdy tego nie będzie tolerowała. I tak jak dziś państwo Izrael i jego twórcy, nauczeni dramatycznym doświadczeniem Holokaustu, postanowili, że nigdy nie zostawią żadnego swojego obywatela i będą za wszelką cenę strzegli bezpieczeństwa każdego Żyda, tak i my, Polacy, i nasze państwo powinniśmy czynić to samo.

Niech tak, jak dla narodu żydowskiego, tak i dla naszego tragedia tego, co stało się w czasie II wojny światowej, będzie dramatyczną lekcją. Lekcją, z której wyciągamy wnioski my i przyszłe pokolenia, którym musimy przekazać prawdę. Prawdę o Holokauście; prawdę o tym, co się działo; prawdę o bohaterstwie, ale i czasem smutną prawdę o draństwie. Bo prawda buduje braterstwo między narodami i pozwala tworzyć przyjacielskie więzi. Bo tylko na prawdzie może być oparta dobra przyszłość.

ANDRZEJ DUDA
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Otwarcie Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów
Markowa, 17 marca 2016

FOT. © ANDRZEJ HRECHOROWICZ / KANCELARIA PREZYDENTA RP

Kultura i oręż

Najpierw ktoś się żachnął – jak to w Klubie Publicystyki Kulturalnej* naszego Stowarzyszenia prelekcja i dyskusja o husarii? To przecie odległa historia i na dodatek tematyka wojskowa, a my zbieramy się, żeby pogawędzić o kulturze. Dopiero wypowiedź ostatniego dyskutanta, profesora historyka militarysty (prosił o anonimowość), przekonała nieprzekonanych, że temat, jeśli mogę tak się wyrazić, wart jest kultury.

Klubem Publicystyki Kulturalnej kieruje od śmierci nieodżałowanej pamięci kolegi Wiesława Stradomskiego koleżanka dr Teresa Kaczorowska. Organizuje spotkania w każdą pierwszą środę miesiąca. I właśnie to, o jakim tu mówię, odbyło się 6 kwietnia. Protagonistami byli dr Radosław Rafał Sikora, ceniony w środowisku historyków specjalista od husarii; towarzyszyli mu Radosław Szleszyński, współautor książki z roku 2014 *Husaria*, promowanej na tym spotkaniu, oraz wydawca ich dzieł. Pierwsi z wymienionych przyszli w zbrojach husarskich, bronią i długą na około 6 metrów słynną kopią; zaprosili nadto muszkietera z „prawdziwie", zrekonstruowanym muszkietem siedemnastowiecznym i lontem (na szczęście niezapalonym), który służył do odpalania prochu.

Dr Sikora mając 41 lat zdołał już napisać ponad dwanaście książek o husarii; jedna *Fenomen husarii* miała pięć wydań; dwie – *Z dziejów husarii* i *Husaria Jana III Sobieskiego* – przetłumaczone na ukraiński uzyskały tytuł Książki Roku w ukraińskim rankingu „Bukvoid" (2012 i 2013).

Aż zdumienie ogarnia, że można napisać tyle dzieł na jeden temat. A można! Dlatego że husaria była w Europie chrześcijańskiej formacją wojskową bez precedensu. Powstała w połowie XVI wieku i przyczyniła się walnie do wielu zwycięstw Rzeczypospolitej. Zaryzykowałbym ocenę, że gdyby nie ona, nie bylibyśmy przez prawie dwa wieki mocarstwem. Podziwiali ją cudzoziemcy, nawet wrogowie. Karol Gustaw, król szwedzki, który sprowadził na nasz kraj „potop", zajął w połowie XVII wieku dużą powierzchnię ogromnego państwa (prawie milion km kw.), ponoć powiedzieć, że gdyby miał 10 tysięcy takiej jazdy to ze swoją piechotą (rzeczywiście ówcześnie najlepszą na kontynencie), zdobyłby Stambuł. Wprawdzie tego nie dokonał i nikt tego do dziś nie osiągnął, lecz właśnie husaria w liczbie niemal dziesięciokrotnie mniejszej rozgromiła armię sułtańską pod Wiedniem w 1683 roku ratując tym samym Europę przed zalewem islamu.

To było właściwie ostatnie wielkie zwycięstwo oręża polskiego na miarę kontynentalną. W następnym stuleciu husaria straciła znaczenie, zdegenerowała się z całym wielkim państwem. Inna rzecz, że do schyłku husarii przyczyniły się również nowe techniki wytwarzania i wykorzystywania broni palnej.

W każdym razie przedtem ta formacja była niezwyciężona. Raz jedyny w czasach swej świetności przegrała na polu walki – w drugiej bitwie ze Szwedami pod Warszawą. Dowodził nią bezpośrednio król Jan Kazimierz, kiepski polityk i jeszcze gorszy taktyk. Otóż husaria była formacją odwodową, nigdy w czasach swej wielkości nie uderzała na początku bitwy, natomiast zawsze pod koniec, gdy dowódca dopatrzył się w przestrzeni bitewnej odpowiednich miejsc do jej szarży. Tymczasem Jan Kazimierz, nie wiadomo czym powodowany: małostkową ambicją? – husarii użył w początkach owej drugiej bitwy warszawskiej. Husarze polecieli, jak wtedy się mówiło, w dym (prochowy po palbie muszkietowej), znieśli regiment piechoty, starli się z rajtarami, rozbili następny czworobok, lecz zmalał impet, który był z komasacją żołnierzy uzbrojonych w każdy rodzaj broni stosowanej wówczas w Europie głównym atutem zwycięstwa, i poszli w rozsypkę...

Jeszcze, jak wiemy, Sobieski pod Chocimiem (drugim; 11 XI 1673) rozbił husarią nieprzebrane zastępcy tureckie, a później pod Wiedniem dokonał niemal cudu. Bo tak pokierował bitwą i atakiem chorągwi husarskiej, że wdarł się w środek pozycji nieprzyjaciela.

Mieliśmy w XVI i XVII wieku w każdej generacji geniusza wojskowego. Sobieski był ostatni chronologicznie w tym szeregu. Widocznie w XVI i XVII wieku wyczerpała się energia polsko-litewskiego geniuszu. Potem nastąpiła pustka aż do Piłsudskiego.

Wojsko litewskie, dowodzone przez własnych hetmanów, a politycznie podlegające wspólnej władzy Królestwa Polskiego i zarazem Wielkiego Księstwa Litewskiego nie miało husarii. Ale los mu zesłał na przełomie obu stuleci genialnego wodza – Jana Karola Chodkiewicza, który wsławił się m. in. rozbijając właśnie husarią (polską) niemal czterokrotnie liczniejszą armię szwedzką w 1605 roku pod Kircholmem.

W roku 1611 hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski pokonał armię moskiewską pod Kłuszynem też głównie husarią. W latach siedemdziesiątych XX wieku wydawnictwo „Bellona" wydało pionierską w owych czasach książkę o tej staropolskiej formacji wojskowej. Graficy oficyny sporządzili mapki bitew wygranych dzięki husarii, lecz zabrakło kampanii kłuszyńskiej. Autorzy upomnieli się o mapkę, skoro mają być wszystkie. Tej nie dano, bo Kłuszyn leży... za blisko Moskwy... Fałszowanie historii w PRL nie miało granic. A dziś nauczanie tego przedmiotu w gimnazjach i liceach budzi grozę, urąga tradycji dydaktyki Dwudziestolecia, kiedyśmy mieli najlepsze w Europie szkolnictwo średnie. Dlatego niektórzy współcześni politycy i publicyści postulują uprawianie tzw. polityki historycznej. Określenie językowo może nie najzgrabniejsze, ale jego idea jest więcej niż słuszna. Skoro dziejów ojczystych nie uczyło się w Polsce ludowej uczciwie, a dziś historii uczy się byle jak (w niewielkim zakresie, powierzchownie, chaotycznie), tak że młodzież niewiele wynosi z lekcji historii i zraża się do przedmiotu – to trzeba innymi sposobami uświadamiać społeczeństwo, co i dlaczego powinno wiedzieć o swych dziejach, dalekich i bliskich.

Wspomniany profesor historyk militarysta zwrócił w dyskusji uwagę na tę właśnie konieczność. Dodał, ze w uczelniach wojskowych też zupełnie nie dba się o wiedzę z dziejów oręża polskiego, a bez niej kadra nie wychowa żołnierzy gotowych za każdą cenę stanąć w obronie ojczyzny. Dlatego uznał temat naszego spotkania w Klubie Publicystyki Kulturalnej za nieoceniony Wszak kultura rozkwita jedynie w niepodległości. A niepodległości strzeże się, w razie potrzeby broni orężnie, a więc między orężem, którym włada głównie wojsko, a kulturą powstaje, jakby powiedzieli cybernetycy, sprzężenie zwrotne.

JACEK WEGNER

* Husarskie spotkanie Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP. Gość: dr Radosław R. Sikora. Klub „Cudzysłów" w Domu Dziennikarza, przy Foksal 3/5 w Warszawie, 6 kwietnia 2016.

West Coast Transsmision Building – „The Qube"

FOT. © ALBRIGNTON.CA

„How Poles built up Vancouver"

FOT. © ANDRZEJ MINUSKI I LIZ JUNG

FOT. © ALEC RING

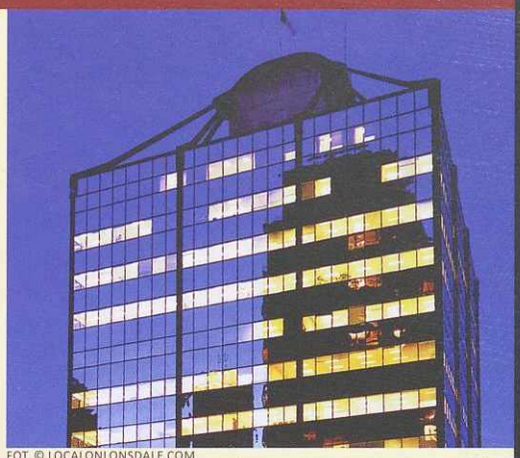

FOT. © LOCALONLONSDALE.COM

FOT. © ALBRIGNTON.CA

Jak Polacy zbudowali Vancouver

Niezwykła wystawa przedstawiająca prace polskich architektów tworzących w Vancouver oraz ich wkład w powstanie wielu imponujących budynków w Brytyjskiej Kolumbii można było obejrzeć w ubiegłym roku w Architectural Institute of British Columbia.

Na wystawie „How Poles built up Vancouver – Jak Polacy zbudowali Vancouver" zaprezentowano prace 15 architektów polskiego pochodzenia, którzy od dziesiątków lat pracują w Vancouver i Brytyjskiej Kolumbii: Pawła Balasa, Elizabeth Berezowskiej, Kristofa Borowskiego, Gregorego Borowskiego, Wojciecha Brusa, Hanny Brus, Anety Chmiel, Victora Chorobika, Wojciecha Grzybowicza, Michaela Jaszczewskiego, Irminy Jozkow, Adama Sławinskiego, Toma Staniszkisa, Ivony Zebrowskiej i Bogue (Bogusława) Babickiego.

Kuratorem wystawy, która została wymyślona przez Konsulat Generalny RP w Vancouver, a zrealizowana przy współpracy Architectural Institute of British Columbia, był Jan Böttcher, architekt polskiego pochodzenia na stałe mieszkający w Vancouver.

W trakcie inauguracji wystawy Bogue (Bogusławowi) Babickiemu, Honorowemu Członkowi AIBC, autorowi m. in. głównych budynków światowej wystawy EXPO w Vancouver oraz sławnego West Coast Transsmision Building, zwanego „The Qube", wręczono dyplom w uznaniu dla jego zasługi w propagowaniu polskiej myśli architektonicznej w Brytyjskiej Kolumbii i Zachodniej Kanadzie. **ISB / MSZ**

Wręczenie dyplomu uznania Bogue Babickiemu, obok Krzysztof Olendzki, konsul generalny RP w Vancouver FOT. © ANDRZEJ MINUSKI i LIZ JUNG

„Spotlight" – dlaczego warto zobaczyć?

„Spotlight" – to oskarowy film roku, opowiadający o aferze pedofilskiej w Kościele katolickim w Bostonie. Film podobno mitologizuje zawód dziennikarza. I dobrze, bo pokazuje wzorzec nieugiętości, niezależności i ważkości pracy dziennikarskiej.

Słyszę w „Pegazie" TVP, że film dostał nagrodę, bo uderza w tzw. „czarnego luda" czyli w Kościół. Ale to jeden punkt widzenia. Ważniejszy, i bardziej amerykański jest taki, że film pokazuje, że nie ma rzeczy niemożliwych. Że setki ludzi i bardzo ważne instytucje próbowały „unieszkodliwić" śledztwo w sprawie przestępstw pedofilskich, o które oskarżano księży. Że sprawę na pewnym etapie uznano za zamkniętą, ale znalazło się pięciu dziennikarzy z zespołu Spotlight dziennika „Boston Globe", i właśnie oni nie poddali się, ciężko pracując przez wiele miesięcy, mając wsparcie ze strony redaktora naczelnego i – kiedy się rozwinęło śledztwo – ze strony kluczowych informatorów. Dokończyli swoje dzieło i „ukarali" winnych tragedii setek, a nawet tysięcy ofiar.

Film jest świetnym przykładem edukacyjnym dla studentów dziennikarstwa, także w Polsce, aczkolwiek wydaje się pokazywać rzeczywistość niewyobrażalną, bo nie możemy sobie wyobrazić pracy tylko nad jednym materiałem przez prawie rok, a właściwie to nawet trochę dłużej. Pamiętam, bo mieszkałem wtedy w latach 2002-2003 w Bostonie, że ta sprawa była szeroko komentowana we wszystkich mediach. I nie do końca są prawdziwe zapowiedzi filmu, wskazujące na kłody rzucane pod nogi przez polityków i hierarchów Kościoła katolickiego dziennikarzom gazety. Tak było może we wczesnej fazie śledztwa, ale później sprawa nabrała rozpędu. Co więcej, „Boston Globe" zdecydował się na rzecz, która w Polsce byłaby nie do przyjęcia: opublikował listę księży podejrzewanych tylko o molestowanie seksualne, po to, żeby zgłaszały się ofiary mogące potwierdzić zarzuty. I ofiary się zgłosiły...

W 2011 roku arcybiskup Bostonu Seán O'Malley upublicznił listę 159 księży, którzy byli oskarżeni o nadużycia seksualne. To był kolejny triumf dziennikarzy, którzy ujawnili aferę, w wyniku której ofiary księży otrzymały wielomilionowe odszkodowania, zaś arcybiskup Bostonu kardynał Bernard Francis Law, oskarżony przez dziennikarzy o tuszowanie przestępstw w swojej archidiecezji, zrezygnował ze stanowiska. Archidiecezja bostońska po rewelacjach „Boston Globe" musiała zadośćuczynić 1230 ofiarom i w sumie zapłaciła ponad 154 mln dolarów!

Film odwołuje się do klasyka gatunku, czyli do „All the President's Men", który opowiadał o dwóch dziennikarzach – Bobie Woodwardzie i Carlu Bernsteinie. Doprowadzili oni do ujawnienia afery Watergate i w konsekwencji do dymisji prezydenta Richarda Nixona. Podobnie jak w tamtym filmie, dziennikarze „Boston Globe" muszą przebić się poprzez początkowy mur obojętności i zarazem wrogości wobec wszelkich prób podjęcia tematu. Dla wielu studentów dziennikarstwa i praktyków dziennikarstwa śledczego „Spotlight" może być podręcznikiem zadawania pytań śledczych i wskazówek, jak oprzeć się naciskom.

Reżyserem filmu jest Tim McCarthy. Waltera Robinsona, który kierował pracą zespołu w „Boston Globe" (obecnie wykładowca dziennikarstwa na Northeastern University w Bostonie) gra Michael Keaton. Sachę Pfeiffer, dziennikarkę, która zadaje trudne pytania księżom podejrzewanym o wykorzystywanie seksualne dzieci zagrała Rachel McAdams. W filmie występują jeszcze m. in. Mark Ruffalo jako Michael Rezendes, John Slattery jako Ben Bradlee jr., Brian D'Arcy James jakoMatt Carroll oraz Liev Schreiber, który gra naczelnego gazety Martina Barona. W 2003 zespół „Boston Globe" dostał za to 9-miesięczne śledztwo nagrodę Pulitzera.

MAREK PALCZEWSKI

FOT. © ENTERTAINMENT ONE LTD.

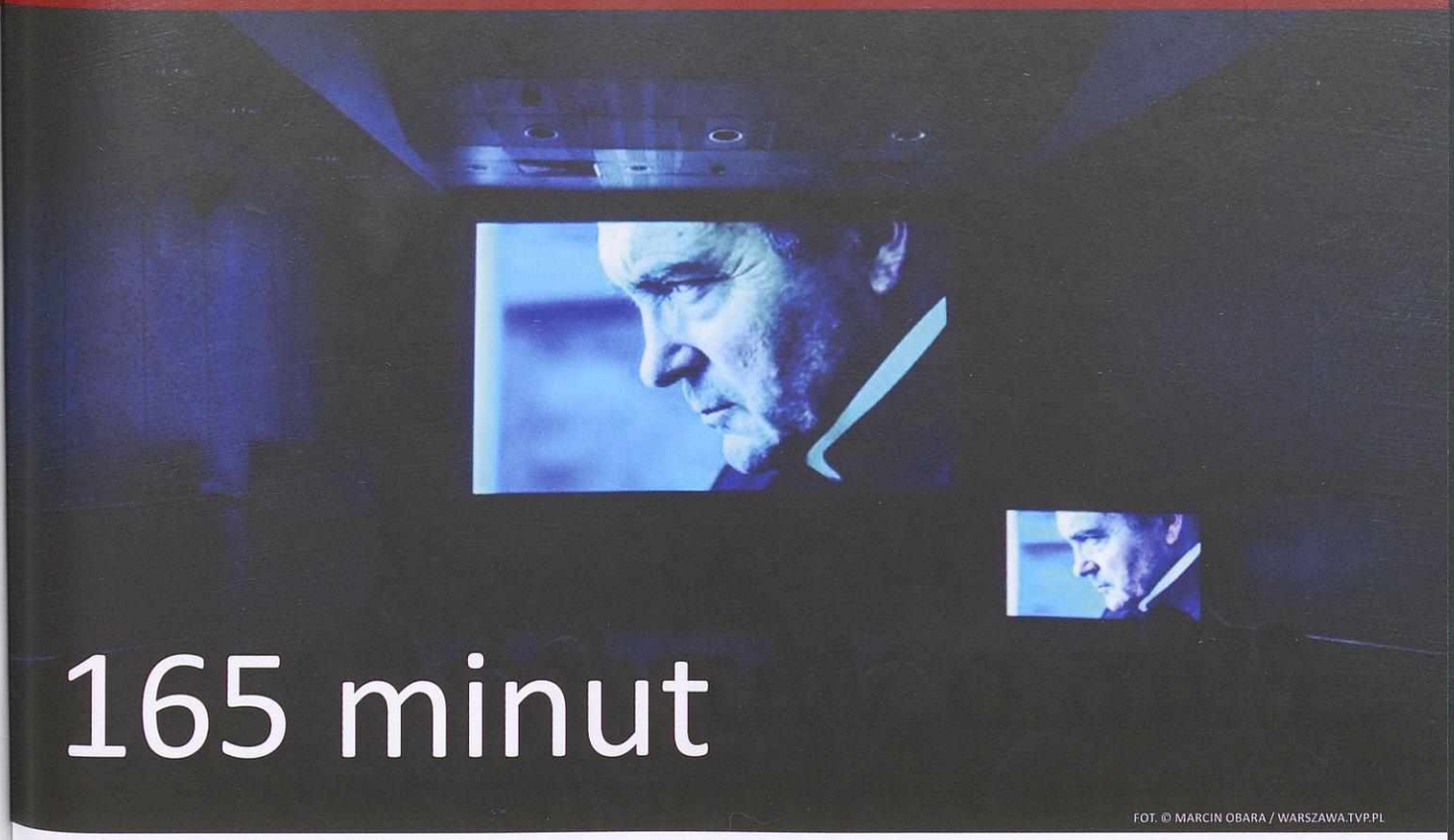

165 minut

FOT. © MARCIN OBARA / WARSZAWA.TVP.PL

Tak się czasem zdarza, że nieoczekiwanie kumulują się ważne sprawy – niemal w jednym miejscu i czasie. Coś takiego zdarzyło się w TVP w poniedziałek 21 marca.

Doprawdy był to swoisty Festiwal Prawdy. Prawdy o PRL, a więc prawdy bardzo przez wielu nie lubianej, niezależnie od tego, czy było się „dzieckiem PRL", beneficjantem tamtego systemu czy jest się dziś „poputczikiem" dawnych towarzyszy, obecnie przebranych w garnitury liberałów, demokratów etc.

Teatr Telewizji pokazał spektakl „**Czarnobyl. Cztery dni w kwietniu**" Dymka, Popowskiego i Sawina. Tytuł wyjaśnia wszystko: cztery dni piekła – najpierw piekła towarzyszy z KC PZPR, którzy nie wiedzą, co robić, żeby nie narazić się Wielkiemu Bratu, a z drugiej strony jakoś zachować się wobec narodu, wobec Polaków. Oczywiście wybierają kłamstwo lub półprawdy, jak zwykle w PRL. I wtedy piekło przenosi się na społeczeństwo. Pamiętam to wszystko bardzo dobrze: zrozpaczone kobiety z małymi dziećmi szturmujące apteki po płyn Lugola (który podany po czasie pomagał tyle, co umarłemu kadzidło!).

Jeżeli gdzieś dałaby się wyrazić prawda, że komunistyczna Polska była naprawdę piekłem dla ludzi, to właśnie w takich momentach – momentach zagrożenia zbiorowego. Dla „kacyków" to zagrożenie było nieistotne bez względu na zasięg, oni najbardziej bali się zagrożenia, mogącego dla nich przyjść z Kremla. Prócz tego było jeszcze środowisko naukowców, które w większości niestety zhańbiło się tchórzostwem i kolaboracją z władzą. I byli też ludzie mediów – osobna bajka. Wszystko razem dobrze napisane i zupełnie dobrze zagrane, a co najważniejsze – prawdziwe. I dlatego straszne. Okrutne. Porażające. Że można aż tak! Że można się załgać do szpiku kości, do dna duszy, że można mieć za nic zagrożenie dla innych, byle odbył się pochód 1-majowy, byle odbył się Wyścig Pokoju (Pokoju... sic!). Spektakl miał premierę w 2010 roku, ale nie bardzo pamiętam, czy rzeczywiście coś takiego miało miejsce, poza tym w 2010 roku Polacy mieli zupełnie co innego na głowach i w duszach. Rok 2010 to był rok smoleński...

Niemal zaraz po wspomnianym spektaklu – zupełnie niesamowity dokument Marii Dłużewskiej „**Ksiądz**". Autorka dotarła w IPN do milicyjnych nagrań filmowych dotyczących „śledztwa" w sprawie uprowadzenia i zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki. I wykorzystała ten filmy znakomicie: wyłowienie zwłok ks. Jerzego pod Włocławkiem... Wizje lokalne z udziałem Piotrowskiego, Pękali, Chmielewskiego, przesłuchania płk. Pietruszki... I w tym wszystkim postać księdza Stanisława Małkowskiego, kapelana „Solidarności", przyjaciela ks. Jerzego, wówczas potencjalnej kolejnej ofiary SB... Jego modlitwy, jego wyznania, jego opinie na temat tej koszmarnej, a wciąż nie do końca wyjaśnionej zbrodni... I znów zdziwienie – że można było aż tak się spodlić, zatracić całe człowieczeństwo, stać się zimną maszyną do torturowania i zabijania.

Pokazanie w TVP tego filmu to tak naprawdę jedyny bardzo, bardzo wyraźny dowód tzw. Dobrej Zmiany ma Woronicza. I Palec Boży. Pomyśleć tylko, co by się stało, gdyby do tych filmów dotarli ludzie poprzedniej władzy. Nikt nigdy więcej nie zobaczyłby tych zdjęć – jak nikt nie zobaczył „wypożyczonych" przez Wałęsę (jako prezydenta) materiałów z jego SB-ckiej teczki. Jak nikt więcej nie widział i nie słyszał nagranych na kasetę magnetofonową wyznań Wałęsy o jego współpracy z bezpieką – kaseta trafiła w ręce Borusewicza i ślad po niej... Spektakl i film trwały razem 165 minut – najważniejsze 165 minut TVP w III RP, obok video z „narady" u Wałęsy przed obaleniem rządu Jana Olszewskiego, video wykorzystanego w filmie „Nocna zmiana". Tak tak – dokument... Jakie to ważne.

Ale żeby nie było za radośnie, za dobrze, w ten sam poniedziałek kanał TVP Historia pokazał film dokumentalny (? – raczej propagandowy!) Ireneusza Englera „Prezydent praktyk. Rok drugi", a w nim wspomnianego już Wałęsę jako prezydenta w drugim roku jego prezydentury. Film wazeliniarski, pokazujący Wałęsę jako błyskotliwego fightera, wizjonera, polityka który sam przeciw wszystkim... Obok oczywiście Drzycimski, obok oczywiście Wachowski, obok oczywiście ks. Cebula, „kapelan prezydenta" (hihihi!) i – jakże by inaczej: cała galeria UD-ecko – UW-eckich wazeliniarzy i krętaczy.

Tak, to też była Polska, tyle że niby już wolna...

WOJCIECH P. KWIATEK

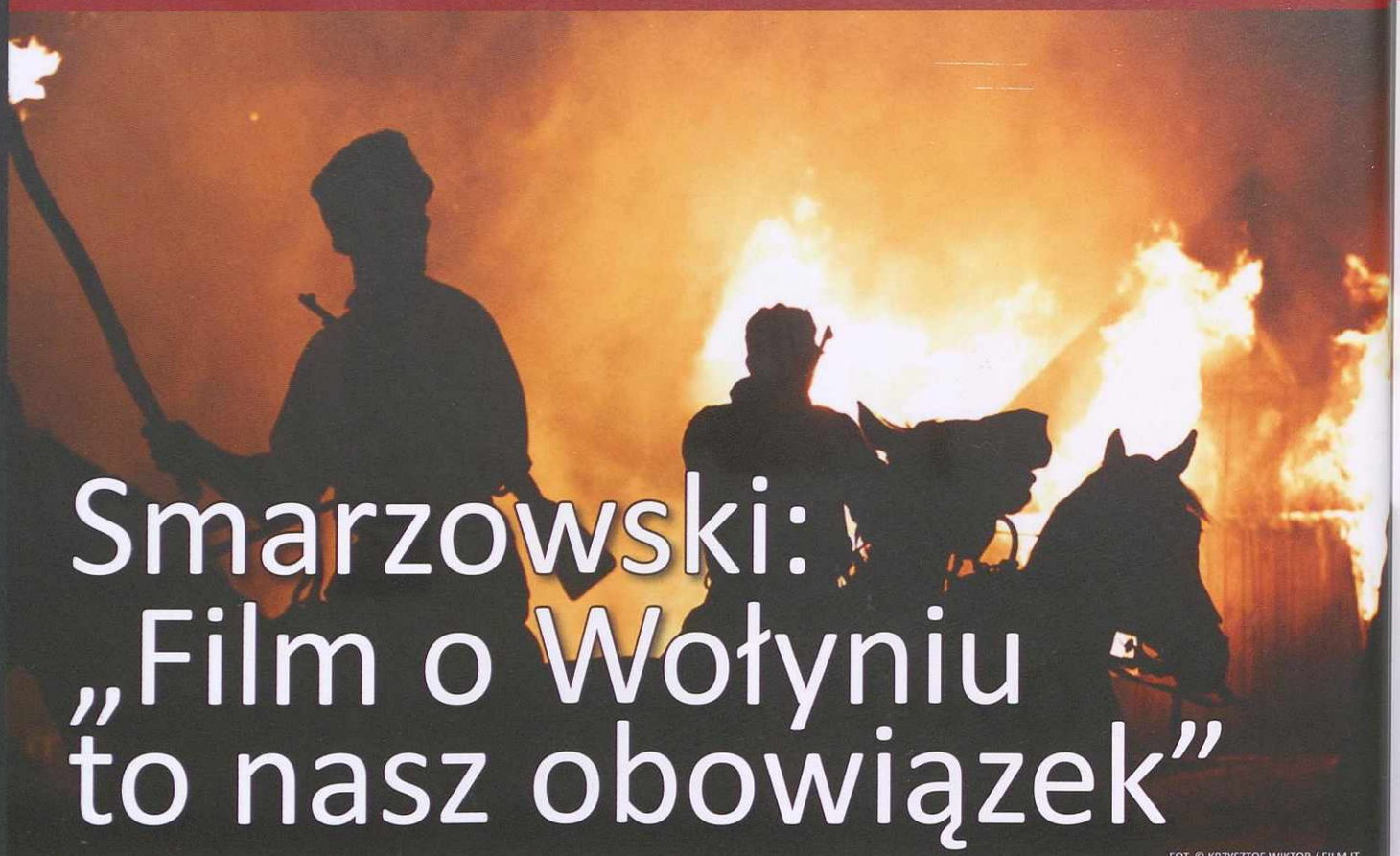

Smarzowski: „Film o Wołyniu to nasz obowiązek”

FOT. © KRZYSZTOF WIKTOR / FILM IT

Tak jak opowiadamy o Katyniu, jak opowiadamy o Powstaniu Warszawskim, trzeba również opowiedzieć o ludobójstwie na Kresach – mówił na ubiegłorocznym Festiwalu Filmowym w Gdyni Wojciech Smarzowski. „Wołyń” w jego reżyserii trafi do kin jesienią 2016 roku.

Smarzowski liczy na to, że film wywoła dyskusję oraz że zwiększy wiedzę o zbrodniach popełnionych na Wołyniu w czasie II wojny światowej. Podczas gdyńskiego Festiwalu, reżyser zwracał uwagę, że – jak wykazały badania – „połowa Polaków nie wie, co się wydarzyło na Kresach”. Smarzowski podkreślał, że zrealizowanie filmu o Wołyniu uważa za obowiązek.

„Wierzę, że jest grupa ludzi, która czeka na ten film. Są kresowiacy, którzy mają swoje lata, odchodzą od nas. Oni jeszcze pamiętają ten okres. Są rodziny. Im się też to należy. To jest nasz filmowy obowiązek – tak jak opowiadamy o Katyniu, jak opowiadamy o Powstaniu Warszawskim, trzeba również opowiedzieć o ludobójstwie na Kresach” – powiedział.

„Wołyń” jest obecnie na etapie montażu. Smarzowski poinformował, że chciałby pokazać go również na Ukrainie. Pytany, czy nie obawia się skrajnie negatywnych reakcji na „Wołyń”, zaznaczył: „Oczywiście, że się obawiam, ale chciałem ten film zrobić, żeby sprowokować do dyskusji”.

Dopytywany, czy spotkał się z „sugestiami, aby nie kręcić tego filmu ze względu na aktualną sytuację polityczną, żeby nie zadrażniać stosunków z Ukraińcami”, odparł: „Oficjalnie – nie”. Mówił jednak o trudnościach związanych ze staraniami o pieniądze na taką produkcję: „To się przekłada jednak na pozyskiwanie funduszy. Instytucje, które wspierają filmy, na hasło ludobójstwo na Kresach, rzeź – oni się z tego wycofują” – opowiadał Smarzowski.

Reżyser sam napisał scenariusz „Wołynia”, wykorzystując wątki ze zbioru opowiadań Nienawiść autorstwa Stanisława Srokowskiego. Tekst scenariusza konsultowany był z historykami. Smarzowski zaznacza, że „nie ma «jednej prawdy» o tych wydarzeniach”. Odnosząc się do scenariusza, dodał: „To nie jest tak, że to jest «moja prawda»”. W filmie mają być pokazane także akcje odwetowe Polaków na Ukraińcach.

W obsadzie „Wołynia” obok aktorów polskich znaleźli się Ukraińcy. Jednak nie wszyscy aktorzy z Ukrainy, którym udział w tym filmie proponowano, wyrazili zgodę. „Część z nich wyparła tę historię albo jej nie zaakceptowała” – komentował Smarzowski. Jedną z głównych ról w „Wołyniu” – ukochanego Zosi, Petro – zagrał młody ukraiński aktor Wasilij Wasilik, który na Festiwalu w Gdyni powiedział: „Bardzo mi się spodobała rola Petra. [...] Bardzo podobało mi się, że jest dużo miłości w tej roli. Bo uważam, że właśnie przez miłość możemy oddać hołd ofiarom. Przez miłość, a nie przez nienawiść”.

Opowiadając o zbrodni wołyńskiej, Smarzowski pragnie zarazem – jak mówił – stworzyć „film o miłości w czasach nieludzkich”. Główną bohaterką „Wołynia” jest Zosia Głowacka, grana przez Michalinę Łabacz. Akcja filmu rozgrywa się w okresie od wiosny 1939 do lata 1945 roku w wiosce zamieszkałej przez Ukraińców, Polaków i Żydów, położonej

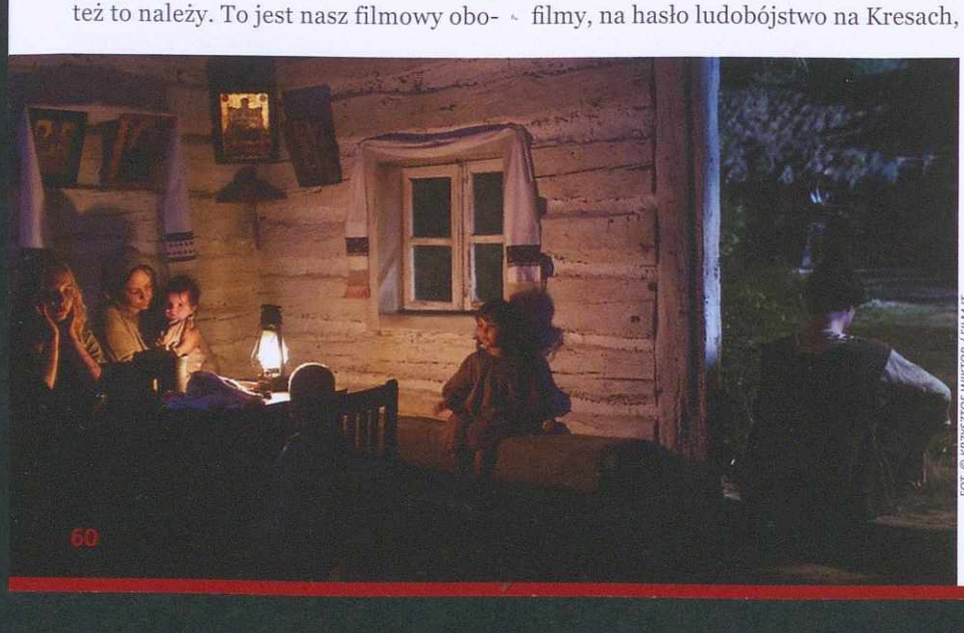

FOT. © KRZYSZTOF WIKTOR / FILM IT

w południowo-zachodniej części tej krainy. Oczami Zosi widz obserwuje toczące się wypadki, zapoczątkowane wybuchem II wojny światowej. Gdy poznajemy Zosię, jest ona zakochana w ukraińskim chłopcu z tej samej wsi. Dziewczyna dowiaduje się jednak, że ojciec postanowił wydać ją za mąż za najbogatszego we wsi gospodarza, Polaka Macieja Skibę, starszego wdowca z dwójką dzieci.

Życie wsi zostaje odmienione najpierw przez okupację sowiecką, potem przez niemiecki atak na ZSRR. Trwają brutalne mordy na Żydach. Ukraińskie aspiracje do stworzenia niepodległego państwa wciąż rosną. Wzrasta napięcie między polskimi i ukraińskimi sąsiadami. Oddziały UPA atakują polskie osady, a niekiedy Polacy z równą bezwzględnością biorą odwet na Ukraińcach. Pośród morza nienawiści Zosia próbuje ocalić swoje dzieci.

Oprócz Łabacz i Wasilika, w obsadzie „Wołynia" są między innymi Adrian Zaremba, Arkadiusz Jakubik i Jacek Braciak. Autorem zdjęć jest Piotr Sobociński jr. Zdjęcia do „Wołynia" rozpoczęły się 19 września 2014 roku, zakończyły – 21 sierpnia 2015. Realizowano je w Lublinie, w Puszczy Kampinoskiej, w Kolbuszowej, Kazimierzu Dolnym i okolicach Rawy Mazowieckiej.

*

Na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-1945 zginęło około 100 tys. Polaków, zamordowanych przez oddziały Ukraińskiej Armii Powstańczej i miejscową ludność ukraińską. Sprawcy zbrodni to Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – frakcja Stepana Bandery, podporządkowana jej Ukraińska Powstańcza Armia i ludność ukraińska uczestnicząca w mordach swoich polskich sąsiadów. Terror UPA spowodował, że setki tysięcy Polaków opuściły domy, uciekając do centralnej Polski. Zbrodnia wołyńska spowodowała polski odwet, w wyniku którego zginęło około 10-12 tys. Ukraińców, w tym 3-5 tys. na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Wojciech Smarzowski na planie filmu „Wołyń" FOT. © KRZYSZTOF WIKTOR / FILM IT

Z rąk nacjonalistów ukraińskich ginęły także rodziny polsko-ukraińskie, Ukraińcy odmawiający wzięcia udziału w zbrodniczej akcji oraz ratujący Polaków. *Kresowa Księga Sprawiedliwych* (wyd. IPN) opracowana przez Romualda Niedzielkę podaje, że Ukraińcy uratowali 2 527 Polaków. Za tę pomoc 384 Ukraińców zapłaciło życiem.

ANDRZEJ SZTUMSKI, culture.pl

Apel o wsparcie finansowane na ukończenie filmu „Wołyń"

Wspomóż produkcję filmu „Wołyń" w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego. Co zostanie zrobione dzięki Twojemu wsparciu?

Film „Wołyń" jest jedną z większych produkcji polskiej kinematografii ostatnich lat. Budżet, którym dysponowaliśmy pozwolił zrealizować ponad 90 proc. materiału scenariuszowego. Do ukończenia filmu pozostało nam jeszcze nakręcenie kilku symbolicznych scen. Zależy nam, aby film stał się wielką epicką epopeją o losach Polaków kresowych w czasach II wojny światowej przedstawiającą wydarzenia określane mianem ludobójstwa na Kresach, które objęły w głównej mierze tereny województw: lwowskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego, poleskiego oraz lubelskiego.

Realizacja ambitnych zadań obejmujących m. in. odtworzenie nieistniejącego już świata polskich kresów wschodnich, jego obyczajowości, języka oraz kultury materialnej zgodnie z wizją reżysera, którą w pełni akceptujemy, realizacja 74 dni zdjęciowych w różnych rejonach Polski podczas czterech pór roku, zaangażowanie wielu aktorów, kaskaderów oraz statystów, praca na planie zdjęciowym z dużą ilością dzieci, budowa plenerowej dekoracji, duża ilość zwierząt na planie filmowym, wykorzystanie wielu rekwizytów z epoki oraz sprzętu i pojazdów wojskowych, zastosowanie licznych charakteryzatorskich, pirotechnicznych oraz komputerowych efektów specjalnych, to wszystko miało duży wpływ na konieczność zwiększenia budżetu produkcyjnego.

Oprócz uczczenia pamięci ofiar ludobójstwa na Kresach, reżyser postawił sobie również zadanie skonfrontowania widzów ze skutkami jakie niesie ze sobą nienawiść na tle narodowościowym, religijnym, czy rasowym.

Jako producenci nie ustajemy w wysiłkach, aby możliwie jak najpełniej zrealizować założenia artystyczne oraz odtworzyć prawdę historyczną.

Pomimo bardzo znaczącego wsparcia produkcji filmu przez Polski Instytut Sztuki Filmowej oraz przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wciąż poszukujemy środków finansowych, które umożliwiłyby nam realizację brakujących scen wiosną 2016 roku. Jesteśmy po pierwszych pokazach aktualnej wersji montażowej i mamy prawo sądzić, po ocenach widzów, że powstaje film znakomity i ważny. Byłoby niepowetowaną stratą, gdyby zamierzony kształt filmu musiał zostać ograniczony ze względu na niedobór środków finansowych.

Od 3 marca 2016 roku można dokonywać wpłat bezpośrednio na konto Fundacji na rzecz filmu „Wołyń".

filmwolyn.org

Fundacja na rzecz filmu WOŁYŃ

Filatelistyka

Pamiątkowa kartka pocztowa

Dni Seweryna Pieniężnego Anno Domini 2016 na Warmii i Mazurach przeszły już do historii. W pamięci uczestników pozostały niezapomniane chwile zarówno podczas olsztyńskiego Szlaku Pamięci Seweryna Pieniężnego, jak i Gali Dziennikarzy Warmii i Mazur.

Dziennikarze-jubilaci pozostali z pamiątkowymi dyplomami ufundowanymi przez Warmińsko-Mazurski Urząd Wojewódzki. Przyjaciele Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP z honorowym tytułem, a laureaci dziennikarskich konkursów z wyróżnieniami i nagrodami. Wszyscy uczestnicy zaś z pewnym filatelistycznym rarytasem... kartką pocztową wydaną przez Stowarzyszenie Sympatyków Filatelii Maltańskiej i Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Na karcie umieszczono pomnik Seweryna Pieniężnego, który znajduje się obok głównego wejścia do Olsztyńskich Zakładów Graficznych przy ul. Towarowej 2. W tle znajdują się winiety „Gazety Olsztyńskiej" (1886-1939), której pierwszy numer ukazał się 130 lat temu – 16 kwietnia 1886. Obok napisów: „Dni Seweryna Pieniężnego Anno Domini 2016. Święto dziennikarzy Warmii i Mazur, Olsztyn, 24-25 lutego 2016 r.", herbów patronów honorowych: Wojewody Warmińsko-Mazurskiego, Prezydenta Olsztyna i Burmistrza Pieniężna, kartka pocztowa została opieczętowana pamiątkowym stemplem: Filatelia Maltańska – Poczta Specjalna Polska oraz okazjonalnym datownikiem. Projektantem kartki jest Janusz Cejmer (Studio Projekt Olsztyn).

ISB

Z księgarskiej półki

Książka dr Piotra Kardeli jest pierwszą kompleksową monografią Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych, napisaną przez najlepszego znawcę tej problematyki. Szczególnie interesującym i wartościowym jej aspektem jest narracja równoległa na temat działań komunistycznego aparatu represji wobec uchodźstwa niepodległościowego, a zwłaszcza tytułowej organizacji. Dokładność zaprezentowanego wykładu stanowi wielki walor tego dzieła, zwalniając przyszłych badaczy tematu od powielania precyzyjnie już opisanych wydarzeń i zjawisk.

TADEUSZ KONDRACKI

Publikacja wszechstronnie i w sposób szczegółowy ukazuje organizacyjny rozwój Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych i różnorodne formy działalności, ulegające zresztą modyfikacjom w miarę upływu czasu i pojawiających się nowych wyzwań. Bardzo ciekawe są opisy stosunków z organizacjami polonijnymi, zwłaszcza SWAP i Kongresem Polonii Amerykańskiej, oraz relacji między SPK i „polskim" Londynem. Autor słusznie dużo miejsca poświęca ideowej postawie kierownictwa i członków organizacji kombatanckiej. W sposób przekonujący udowadnia, że niezłomna, niepodległościowa postawa środowiska kombatanckiego w istotny sposób przyczyniła się do umocnienia niepodległościowego i antykomunistycznego kierunku polityki polonijnej, realizowanej głównie przez Kongres Polonii Amerykańskiej.

JANUSZ WRÓBEL

Piotr Kardela, *Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953–1990*, Instytut Pamięci Narodowej, Oddział w Białymstoku, Olsztyn-Białystok 2015, ss. 730.

Hrabal i inni

Niewielkich rozmiarów książka autorstwa Tomasza Gruszczyka (*Czytanie filmu – oglądanie literatury. Propozycje interpretacji do spotkań edukacyjnych*, Katowice 2015, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, ss. 183) składa się z ośmiu szkiców, poświęconych zagadnieniom literatury i sztuki filmowej: 1. Na początek garść faktów (skrótowa historia kina), 2. Kino, narracja, życie (kino jako sztuka narracyjna, posługująca się schematami fabularnymi), 3. Hrabal i filmowcy (rola Bohumila Hrabala w rozwoju filmowej czeskiej nowej fali lat 60 XX wieku), 4. Wampir. Nosferatu. Pre-teksty (mit wampiryczny w literaturze i filmie), 5. Archaiczny spisek Pythonów. Groteska i absurd w służbie rewolty (komediowe i groteskowe akcenty w twórczości grupy „Latający Cyrk Monty Pythona"), 6. Popiół i diament, czyli w sidłach romantyzmu (fenomen Polskiej Szkoły Filmowej), 7. Literacka i filmowa autorefleksyjność (autotematyzm w literaturze i w filmie), 8. Nowe wołanie o autentyk (nowa filmowa awangarda).

Jak stwierdza autor, „celem publikacji jest dostarczenie podstawowych narzędzi, niezbędnych do właściwego, dojrzałego i pogłębionego odbioru tekstów kultury, zwłaszcza audiowizualnej. Rozdziały zostały tak pomyślane i zredagowane, by mogły służyć jako pomoc naukowa nauczycielom przedmiotów humanistycznych w zajęciach szkolnych nt. kultury XX i XXI wieku, a także edukatorom zajmującym się kulturą medialną. [...] Dlaczego uczenie i popularyzowanie czytania filmu wśród młodzieży jest tak ważne? Albowiem praktykowanie lektury prowadzi do wykształcenia nawyku sięgania po teksty kultury współczesnej – nierzadko trudne, wymagające, nieoczywiste, o wysokim stopniu złożoności – oraz do rozbudzenia zainteresowania niebanalnymi zjawiskami kulturowymi" (s. 10). Niestety, książka w warstwie deklaratywnej obiecuje sporo, jednakże w sposobie wykonania nieco już zawodzi, gdyż momentami jest zbyt szkicowa, zaledwie naskórkowo opisując dane zjawisko kulturowe.

Rozpocznę od tytułu, który w mojej ocenie nieco na wyrost obiecuje, iż czytelnik otrzyma, jak informuje podtytuł: „Propozycje interpretacji do spotkań edukacyjnych". Zakładam, że większość pisanych książek o tego typu charakterze, mających ambicje poznawcze, zaopatrzona w odnośniki do literaturowych źródeł, prac refleksyjnych, chociaż bez nadmiernych ambicji naukowych (to w końcu nie dysertacja doktorska, lecz książka mająca rolę pracy popularnonaukowej), jest w jakiejś mierze „edukacyjna", gdyż w zamierzeniu ma zaznajomić z nowymi obszarami wiedzy, aktualnym stanem danej dyscypliny badawczej. W przypadku książki Tomasza Gruszczyka rzecz dotyczy współczesnego literaturoznawstwa, kulturoznawstwa i filmoznawstwa, a zatem jej autor musiał wykazać się wiedzą z kilku odrębnych obszarów, czyni to – dodajmy – ze sporym znawstwem, ale nieco na siłę stara się stworzyć nowy *quasi* podręcznik do przedmiotu wiedza o kulturze.

Nie będę relacjonował wszystkich ośmiu szkiców pomieszczonych w książce *Czytanie filmu – oglądanie literatury*, jednakże wspomnę o szczególnie istotnym dla mnie tekście „Hrabal i filmowcy", będącym przypomnieniem niesłychanie ważnej roli, jaką w dziejach europejskiej kinematografii odegrała, obok włoskiego neorealizmu, angielskiego kina „młodych gniewnych", polskiej szkoły filmowej, czeska nowa fala lat 60. dwudziestego wieku. Młodzi reżyserzy, debiutujący w połowie lat sześćdziesiątych, jak zauważa badacz, w pewnej mierze swój sukces artystyczny zawdzięczają jednej w zasadzie osobie, na swój filmowy debiut wybierając twórczość Bohumila Hrabala. Skromny ilościowo tekst (pomieszczony na zaledwie 13 stronach), nie jest z oczywistych względów całościowym opisem fenomenu ówczesnego kina Czechosłowacji, który zaskoczył widzów i krytyków, nieoczekujących nowych propozycji intelektualnych z małego, komunistycznego kraju Europy Wschodniej, od razu jednak dokonano spostrzeżenia, że autentyczny sprzeciw plejady młodych autorów filmowych wyrósł w opozycji do kina lat pięćdziesiątych, kostniejącego w dramaturgicznej sztuczności, o czym pisałem przed laty w swojej książce *Kino znaczeń* (1998), nie odnotowanej w książce Tomasza Gruszczyka. Filmem, który zainicjował czeską nową falę oraz jej ścisły związek z twórczością i filozofią Hrabala, był obraz „Perły na dnie", zrealizowany w 1965 roku swoisty manifest nowego pokolenia filmowców, ja zaś ze swojej strony dodam, iż równie ważna dla narodzin owego kina była postać i literacka twórczość Jaroslava Haska, za którego kontynuatora myśli uważa się Bohumila Hrabala, który w podobny sposób odczytywał świat poprzez schemat groteski, tragifarsy, dramatu obyczajowego, wreszcie niepowtarzalnego, co Szwejkowski, poczucia humoru.

MAREK SOKOŁOWSKI

Okiem satyryka

Budżetowe wydatki

Program 500 plus wdrożony,
Kto ma, jest zadowolony,
Emeryci, chwilę potem,
Też dostali... po dwa złote.
Nie starczyło na opony.

Za, a nawet przeciw

Krzyk tryumfu? Jęk zawodu?
Jak tu złamać hasła KOD-u?
By w tym wszystkim nie zwariować,
Trzeba wszystko rozKODować.
Potem zaKODwać znowu.

ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Z życia Oddziału w Olsztynie

20. Posiedzenie Zarządu Oddziału – w połączeniu ze spotkaniem wszystkich członków olsztyńskiego SDP – odbyło się 4 lutego w olsztyńskiej kawiarni „Premium" przy ul. Kołłątaja 17. Prezes Oddziału złożył gratulacje kierownikowi Instytutu Socjologii Katedry Nauk Społecznych UWM, członkowi SDP – Markowi Sokołowskiemu z okazji nadania mu przez Prezydenta RP tytułu profesora nauk humanistycznych.

Przedstawiciele Oddziału (A. J. Socha, I. St. Bruski), którzy 21 stycznia br. uczestniczyli w posiedzeniu Zarządu Głównego SDP zapoznali obecnych z ustaleniami władz naczelnych ws. mediów SDP. W związku z mniejszym dofinansowaniem przez ZG SDP tegorocznych obchodów Dni Seweryna Pieniężnego dokonano zmian w organizacji imprez, m. in. zmieniono miejsce Gali Dziennikarzy oraz jej zakończenie w formie poczęstunku, który zasponsorował właściciel Restauracji Corner Cafe, a równocześnie członek SDP – Tobiasz Niemiro.

Jednogłośnie przyjęto uchwałę o powołaniu Honorowego Wyróżnienia „Przyjaciel Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP". Tytuł ma być nadawany osobom spoza SDP, bądź należących do innych oddziałów, bezinteresownie włączających się w realizację statutowych zadań Oddziału w Olsztynie. Równocześnie Zarząd podjął uchwałę o nadaniu Tytułu pierwszym osobom zasłużonym dla Oddziału, których nazwiska (Elżbieta Fabisiak, Stanisław Kowalski, Alina i Alfred Prusikowie, Stefan Truszczyński) ogłoszono podczas Gali Dziennikarzy Warmii i Mazur – 25 lutego.

Omówiono również sprawy członkowskie. W związku z nieuregulowaniem składek członkowskich za lata 2012-2015, brakiem udziału w pracach Stowarzyszenia oraz po zapoznaniu się z nadesłanym listem Ryszarda Borkowskiego, Zarząd Oddziału podjął decyzję o skreśleniu ww. z listy członków zwyczajnych SDP.

W liście skierowanym do Stowarzyszenia, R. Borkowski napisał (pisownia oryginalna):

„Trzydzieści siedem lat temu z dumą odbierałem legitymację kandydacką SDP. Miałem za sobą kilka lat pracy prasoznawczej i dziennikarskiej, pewien dorobek. Dwa lata później nie zdążyłem już odebrać legitymacji członkowskiej. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zostało rozwiązane jako wróg ówczesnej władzy, a moja legitymacja trafiła do «czarnej dziury» SB wraz z całą dokumentacją poznańskiego oddziału. Ja, po weryfikacji, trafiłem na emigrację wewnętrzną na wieś.

Na zjeździe reaktywującym Stowarzyszenie (uczestniczyłem w nim z kol. kol. Kurowskim i Langowskim) ze zdumieniem słuchałem podziękowań Stefana Bratkowskiego za pomoc świadczoną dziennikarzom wyrzuconym z pracy w stanie wojennym. Ja z trojgiem dzieci przeżyłem dzięki nauczycielskiej pensji mojej żony i niewielkiej uprawie boczniaków. No, ale skąd dziennikarskie „podziemie" miało się dowiedzieć o mojej sytuacji?

Po raz drugi zawiodłem się na Stowarzyszeniu, gdy zajęło stanowisko wobec ataku na wozy transmisyjne telewizji podczas prawicowej manifestacji. Winni byli «prowokatorzy», czyli ekipy TV, a nie narodowcy, kibole i pis-owscy fanatycy. Od tego momentu przestałem się udzielać w SDP i płacić składki.

Obecna kompromitacja SDP jest nie do wybaczenia. Nie protestuje przeciwko zamachowi na demokrację i wolne media. Nie broni godności zawodu dziennikarskiego, nie przeciwstawia się zagarnięciu mediów publicznych przez jedną opcję polityczną w celu uczynienia z nich tuby propagandowej władzy. Nie potępia masowych zwolnień dziennikarzy i weryfikacji. Pamiętam, jak łamała on kręgosłupy i jak upadlała tych, którzy chcieli zachować pracę, a niszczyła kariery tych, którzy bronili swojej godności. Nie życzę tego nikomu... Teraz znowu część środowiska zamieniona zostanie w stado dyspozycyjnych sługusów dysponenta politycznego. Moje Stowarzyszenie zaś nie ma już nic wspólnego z ideą służenia środowisku dziennikarskiemu w celu pełnienia zaszczytnej misji «czwartej władzy», z walką o niezależność i wolność słowa.

W takim SDP nie ma już dla mnie miejsca. Z przykrością wnoszę o skreślenie mnie z listy członków. Ryszard Borkowski

PS. Jako były członek Zarządu Oddziału, Komisji Rewizyjnej, Komisji Członkowskiej, redaktor miesięcznika „Bez wierszówki" proszę o opublikowanie tego oświadczenia na łamach „BW". Może ktoś się ocknie... RB".

Zarząd Oddziału podjął również decyzję o przyjęciu do grona członków zwyczajnych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: red. Henryka Plisa i dr. Sławomira Moćkuna.

Henryk Plis – rocznik 1947, prezes Towarzystwa Ziemi Rudzienickiej (od 1998 r.), sekretarz kolegium redakcyjnego „Rocznika Historycznego Ziemi Rudzienickiej". W latach 1976-1996 – prezes oddziału rudzienickiego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze". Autor publikacji o dziejach Rudzienic Suskich, Iławy i okolic.

Sławomir Moćkun – rocznik 1985, doktor nauk humanistycznych. Autor artykułów z zakresu bezpieczeństwa międzynarodowego oraz historii i socjologii m. in. na łamach „Bezpieczeństwa Narodowego", „Dziejów Najnowszych", „Mówią Wieki", „Debaty", „Gazety Polskiej". Współautor książek: Tatarzy pod Grunwaldem (2012), Kuchnia tatarska. Historia w strawie zawarta (2012), Buńczuk w kolorze biało-czerwowym (2012).

Po tych zmianach, Warmińsko-Mazurski Oddział SDP liczy 2 członków honorowych, 52 członków zwyczajnych i 6 kandydatów.

Wieczór autorski prof. Marka Sokołowskiego – połączony z prezentacją najnowszej jego książki Słowo, obraz, dźwięk. Wprowadzenie do historii mediów (UWM Olsztyn 2016) z udziałem przyjaciół i współpracowników autora, pracowników naukowych olsztyńskiego Uniwersytetu, członków Rotary Club i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich odbyło się w Klubie „Baccaliarum". O nowej książce oraz autorze mówili m. in. prof. Andrzej Staniszewski, prof. UWM Małgorzata Suświłło, doktor Antoni Celmer, prezydent olsztyńskich rotarian Aleksander Jarmołkowicz, red. Ireneusz Iwański, a w imieniu SDP – Ireneusz St. Bruski.

PREZES ODDZIAŁU

Składki członkowskie SDP

Wysokość rocznej stawki członkowskiej, zgodnie z wytycznymi Zarządu Głównego SDP, wynosi: 77 zł – składka normalna (od osób pracujących, 6 zł miesięcznie plus 5 zł rocznie na IFJ), 41 zł – składka ulgowa (emeryci, renciści i studenci studiów dziennych, 3 zł miesięcznie plus 5 zł rocznie na IFJ). Zwolnieni ze składek są członkowie honorowi SDP oraz osoby, które ukończyły 70 rok życia. Skladki należy wpłacać na konto Oddziału: nr 40 1240 5598 1111 0000 5031 6164.

bezwierszówki MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY SDP

Redaktor naczelny: Ireneusz St. Bruski, tel. 531 507 527, e-mail: bezwierszowki@wp.pl • **Kolegium redakcyjne:** Andrzej Zb. Brzozowski, Jan Rosłan, Stefan Truszczyński, Bożenna Ulewicz • **Stała współpraca:** Teresa Bochwic, Tadeusz Brzeski, Małgorzata Chomicz, Krzysztof Kłopotowski, Elżbieta Królikowska-Avis, Marek Palczewski, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Zbigniew Połoniewicz, Marek Sokołowski, Paweł Staszak, Monika Szczygło, Błażej Torański, Jacek Wegner • **DTP:** Marcelina Gorzka • **Adres redakcji** (do korespondencji): 11-041 Olsztyn, ul. kard. Hozjusza 12/3 • **Nakład:** 4000 egzemplarzy • **Druk:** Przedsiębiorstwo Poligraficzne Hakus, Maria i Andrzej Kuśmierczyk sp. j., 11-041 Olsztyn, ul. kard. Hozjusza 11, tel. 89 523 92 40, www.hakus.pl

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH

DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.

Oferujemy:

- *130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych*
- *Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)*
- *Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking*

Zapraszamy:
uczestników kongresów, szkoleń, konferencji i gości indywidualnych.

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com

Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.

LĘK
NIEPE-